Prześwietlamy **frakcje** w PiS

Ziemkiewicz wróży przyszłość **Kukizowi**

Oko w oko z **nowym rzecznikiem prezydenta**

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 20/222 15–21 MAJA 2017

CENA **6,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

TERLIKOWSKI POTĘPIA HOMOKAPŁAŃSTWO CHARAMSY

TAJEMNICZA ŚMIERĆ POLKI W EGIPCIE

WIELKIE ŚLEDZTWO W INTERNECIE

Jan Pietrzak w pełnym emocji wywiadzie:

Kaczyński nigdy mnie nie zawiódł

POŻYCZKA DLA FIRM NAWET W JEDEN DZIEŃ

Weź do 500 tys. zł na dowolny cel związany z Twoją firmą.

- minimum formalności: bez biznesplanu, prognoz finansowych i zabezpieczeń rzeczowych
- długi okres spłaty – nawet do 60 miesięcy
- ubezpieczenie spłaty na wypadek czasowej niezdolności do pracy lub przestoju w działalności gospodarczej
- bez konieczności przedstawiania faktur rozliczeniowych

Do 50 tys. zł w iPKO bez dokumentów i bez wychodzenia z domu.*

Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski bankiem numer jeden w Polsce
w prestiżowym konkursie „Bank of the Year 2016"

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 66 60 opłata zgodna z taryfą operatora
Szczegółowe informacje o produkcie, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w oddziałach PKO Banku Polskiego oraz na stronie www.pkobp.pl.
Pożyczkę w jeden dzień może otrzymać firma, która działa na rynku od 18 miesięcy, ma zdolność kredytową, a jej łączne zaangażowanie kredytowe w PKO Banku Polskim nie przekracza 1 mln zł.
Umowa może przewidywać inny sposób udokumentowania wykorzystania pożyczki oraz, w zależności od wyniku oceny zdolności kredytowej, konieczność przedstawienia zabezpieczeń rzeczowych lub innego rodzaju.
*W ramach usług bankowości elektronicznej iPKO, Bank umożliwia osobom fizycznym prowadzącym działalność gospodarczą, na podstawie propozycji dla wybranych klientów w zakładce „Oferta dla Ciebie", zawarcie umowy pożyczki do 50 tys. zł, po złożeniu stosownych oświadczeń wymaganych w procesie nabycia pożyczki w iPKO, przy użyciu kodu z narzędzia autoryzacyjnego. Udzielenie pożyczki jest uzależnione od oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl be20e2503b

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Raport (nie) dla idiotów

Czas jednak czegoś uczy. Dawno temu, kiedy jeszcze byłem młody i naiwny, chłonąłem z wypiekami na twarzy każde doniesienie z wolnego świata Zachodu. Na poważnie traktowałem to, co mówi się tam o wolności słowa, przyjmowałem, że to, co napiszą „Der Spiegel", „El País" lub choćby „The New York Times", jest prawdą. Cóż, teraz się z tego całkiem wyleczyłem. To zresztą dość smutne doświadczenie, każe mi bowiem zrewidować wiarygodność owych ocen nie tylko w odniesieniu do Polski – to mogę zrobić łatwo – lecz także wobec innych państw.

Jednak skoro koszula bliższa ciału, jak to mówią, zajmę się Polską. Najpierw organizacja Reporterzy bez Granic, a obecnie inna ceniona instytucja pozarządowa, amerykańska Freedom House, ogłosiły mianowicie, że w Polsce z wolnością słowa jest źle, bardzo źle. Ta ostatnia wydała raport, z którego wynika, że Polska w rankingu wolności mediów na świecie spadła o kilkanaście pozycji. Więcej: po raz pierwszy od 1990 r. nie zakwalifikowała się do kategorii państw, w których istnieje pełna wolność mediów. Żeby było zabawniej, znaleźliśmy się tym samym daleko, daleko za taką choćby Francją, która całkiem niedawno zakazała w Internecie organizacjom pro-life krytyki dokonujących aborcji kobiet. Jeszcze kilka „ustaleń" z tego raportu: dowodem na ograniczenie wolności w Polsce ma być wypowiedzenie przez urzędy prenumerat prasy sprzyjającej opozycji, przeniesienie budżetów reklamowych przez spółki Skarbu Państwa do mediów prorządowych oraz „ograniczenia wolności wypowiedzi na temat polskiej historii oraz tożsamości". Doprawdy, kiedy czytałem ten raport, przypomniało mi się hasło reklamowe dużej sieci supermarketowej, tylko że tym razem bym je odwrócił: jest to typowy raport dla idiotów.

Ciekawe, że jego autorzy nie zastanowili się nad prostą rzeczą: jeśli prawdą jest twierdzenie, że obecnie urzędy nie prenumerują opozycyjnej prasy, to znaczy, że wcześniej ją prenumerowały. Pomijam już pytanie: Czy tak się rzeczy mają? Skupiam się na logice autorów raportu: ich zdaniem kiedy rządziła obecna opozycja i prenumerowała obecnie opozycyjną wobec rządu prasę, wtedy był to przejaw wolności. Kiedy poprzedni rząd prenumerował poprzednią rządową prasę, było cacy, ale gdy teraz obecny rząd robi to samo, jest to „be". Podobnie jest z budżetami reklamowymi: gdy płynęły do ówczesnej prasy prorządowej, było to demokratyczne; gdy teraz zmieniły kierunek, jest to autorytarne.

Jeszcze większym absurdem jest twierdzenie, że w Polsce ogranicza się wypowiedzi na temat historii. Raport: „Rząd PiS starał się osłabiać głosy przeciwstawiające się preferowanej narracji historycznej, która w dużym stopniu pomija udział Polaków w zbrodniach okresu II wojny światowej". A, to was boli – pomyślałem sobie. Wreszcie od pewnego czasu w mediach publicznych – i chwała im za to! – skończyło się ujadanie na polską historię, wreszcie propagandyści, którzy chcą z Polaków zrobić współsprawców zbrodni, muszą sobie szukać miejsca na prywatnych portalach i w prywatnych mediach i to jest… ograniczenie wolności! Prostowanie bzdur, polemika z kłamstwami, odrzucenie fałszów, których stałym dostarczycielem jest choćby Jan Tomasz Gross, mają być znakiem cenzury. Niedługo okaże się, że zaprzeczanie „polskim zbrodniom podczas II wojny światowej" będzie tożsame z „kłamstwem oświęcimskim".

Dla tych ludzi wolnością jest powtarzanie przygotowanych z góry, poprawnościowych sloganów. Być wolnym to płynąć w głównym nurcie. Doprawdy, współcześni liberałowie w pełni przejęli orwellowską nowomowę, w której stare słowa zmieniają całkowicie znaczenie i używane są nie do opisu świata, ale kreacji własnej utopii. Dlatego nie przeszkadza mi spadek Polski w ich rankingu. Niech spadnie jeszcze dalej – to tylko dowód uprzedzeń i ślepoty autorów. A wolność nigdy nie miała się lepiej. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl be20e2503b

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z JANEM PIETRZAKIEM
PETRU JEST ZA GŁUPI DO KABARETU
Przeżyłem Hitlera i Stalina, więc nie boję się Tuska

KRAJ

22 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WOJNY RZĄDOWE
Partia rządząca potrzebuje „nowego otwarcia", bo konfliktów jest coraz więcej

26 KAMILA BARANOWSKA
CO SIĘ UDAŁO PIS

28 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŁAPIŃSKIM
PREZYDENT NIE MUSI SIĘ WYBIJAĆ NA NIEPODLEGŁOŚĆ

30 ŁUKASZ WARZECHA
UTRACONY ATUT

32 PIOTR GOCIEK
TRÓJKĄT ŚMIERCI

34 PIOTR GURSZTYN
KONSTYTUCYJNA HIPOKRYZJA

36 PIOTR SEMKA
DAŁ IM PRZYKŁAD EMMANUEL

38 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
HOMOKAPŁAŃSTWO CHARAMSY

40 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM JASTRZĘBOWSKIM
POLITYKA I EROTYKA

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CO SIĘ STAŁO Z MAGDĄ Ż.

KULTURA

44 ROZMOWA Z ANNĄ LISIECKĄ
W TAŃCU HISTORII
Oszałamiająca kariera i tragiczne życie polskiej gwiazdy dwudziestolecia międzywojennego

47 ANDRZEJ HORUBAŁA
PERYFERYJNE SMUTECZKI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KUKIZ'19. AKTYWACJA
Jak im zagra Paweł Kukiz?

58 ARTUR WDOWCZYK, RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SĄD NAD SĄDAMI

61 TOMASZ KAŹMIEROWSKI
WOJNA O MUZEUM WOJNY

64 ROZMOWA Z BORYSEM BUDKĄ
KAŻDY W POLITYCE MA CHWILĘ SŁABOŚCI

HISTORIA

68 SEBASTIAN LIGARSKI
CZARNY PROTEST NA WYBRZEŻU
W 1971 r. pochody pierwszomajowe w Szczecinie i Gdańsku stały się miejscem manifestacji przeciwko nierozliczeniu zbrodni Grudnia '70

70 WOJCIECH WYBRANOWSKI
GOODBYE, PANIE MARX

ŚWIAT

72 OLIVIER BAULT
CO DALEJ Z TĄ FRANCJĄ?
Nowy prezydent, stary kurs?

76 JACEK PRZYBYLSKI
ZABÓJCY DUSZ

EKONOMIA

80 EDYTA HOŁDYŃSKA
PROCENTY W WÓDCE, ORZEŹWIENIE W PIWIE
Jak się pije w Polsce

84 TOMASZ WRÓBLEWSKI
BRUTALNE PRAWA GLOBALIZACJI

86 EDYTA HOŁDYŃSKA
EMIGRACJA AMBICJI

ŻYCIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
DRUGIE ŻYCIE
To zdarza się tak wyjątkowo, że tę chorobę nazywa się ultrarzadką

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (67), ZYCHOWICZ, KOPER (71), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl be20e2503b

Neopoczta po polsku

Latem ubiegłego roku Poczta Polska (PP) wraz z nadzorującym ją Ministerstwem Infrastruktury i Budownictwa oraz Ministerstwem Cyfryzacji podpisały porozumienie, na mocy którego cyfrowa platforma Envelo, należąca do spółki córki Poczty (PPUC), może wkrótce stać się jedynym oficjalnym narzędziem do komunikacji obywateli ze wszystkimi podmiotami administracji publicznej. Już teraz dzięki Envelo można założyć Profil Zaufany (eGO), a także skorzystać z wielu usług łączących klasyczną pocztę z nowoczesną komunikacją cyfrową.

ZAUFANIE W ADMINISTRACJI

Profil Zaufany ePUAP to metoda uwierzytelnienia w systemach administracji publicznej, pozwalająca na komunikację z obywatelem za pośrednictwem Internetu. Zakładając Profil Zaufany ePUAP, który można potwierdzić i aktywować w wybranych miejscach, a od paru tygodni także przez platformę Envelo we wszystkich placówkach Poczty Polskiej, możemy nie wychodząc z domu, z poziomu przeglądarki internetowej złożyć podstawowe wnioski, np. o wydanie dowodu osobistego, roczne zeznanie podatkowe czy dopisanie do spisu wyborców. Dzięki Profilowi Zaufanemu od 24 kwietnia możemy także sprawdzić „konto" punktów karnych. Ta ostatnia usługa tuż po uruchomieniu stała się hitem – w ciągu 24 godzin ponad 1,1 mln Polaków sprawdziło przez Internet stan przyznanych im punktów za wykroczenia drogowe.

Platforma Envelo zintegrowała swoje Konto Zaufane z Profilem Zaufanym administracji publicznej. Możemy zatem korzystać z wielu oferowanych obecnie przez ePUAP ułatwień, do tego dochodzą jeszcze np. możliwość wysłania Neolistu drukowanego czy skorzystanie z usługi Neolistu Skanowanego.

Z PAPIERU DO PLIKU

Czym jest Neolist Skanowany? To możliwość przekonwertowania tradycyjnej poczty na dokument elektroniczny, który otrzymamy e-mailem. Zobrazujmy sprawę przykładem: Katarzyna na co dzień mieszka w Berlinie, w swoim rodzinnym domu w Warszawie bywa kilka razy w roku. Podczas jej nieobecności większość z przychodzących do niej listów jest skanowana, a następnie – już w formie pliku – zostają wysyłane na adres poczty elektronicznej. Dzięki temu Katarzyna jest na bieżąco z tradycyjną korespondencją, przebywając kilkaset kilometrów od swojej skrzynki pocztowej.

– W naszym Centrum Skanowania, czyli miejscu, w którym skanujemy pocztę naszych klientów i wysyłamy im w formie elektronicznej, spełnione są najwyższe standardy ochrony danych osobowych, zachowana jest tajemnica korespondencji – deklaruje prezes Poczty Polskiej Usługi Cyfrowe – Envelo Paweł Usidus.

To jeden ze sposobów na cyfryzację korespondencji, która z różnych powodów nadal przychodzi do nas w formie papierowej. Usługa jest dobrowolna, wymaga naszej osobistej zgody i niewygórowanej opłaty abonamentowej.

Prezes Poczty Polskiej Usługi Cyfrowe – Envelo Paweł Usidus:

Profil Zaufany na platformie Envelo to nasz sukces i efekt dobrej współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji na rzecz digitalizacji administracji publicznej. Jesteśmy polską spółką, która własnymi siłami włączyła się aktywnie w wielki projekt „Od papierowej do cyfrowej Polski". To dopiero pierwszy krok. Mamy aspirację już wkrótce stać się technologicznym liderem w cyfrowych doręczeniach. Podobnie jak to jest w Finlandii, Estonii czy Czechach, chcemy łączyć państwo z obywatelem. Mamy coraz lepsze drogi, teraz czas na cyfrowe ekspresówki i autostrady. To prawdziwa rewolucja w Polsce, nadrabiamy stracone przez poprzedników lata cywilizacyjnego zapóźnienia, dążymy do prawdziwego upodmiotowienia obywateli. Dzięki platformie Envelo Poczta Polska, zgodnie z przyjętą strategią, ma stać się już wkrótce Narodowym Operatorem Cyfrowym. Envelo jest realnie działającą Pocztą Przyszłości.

Co jednak, jeśli potrzebujemy rozwiązania w drugą stronę – konwersji ze świata cyfrowego do tradycyjnej poczty? Na to Envelo jest również przygotowane. Neolist drukowany pozwala na wysłanie (z aplikacji mobilnej lub komputera) korespondencji listowej, która zostanie wydrukowana, zakopertowana i doręczona w formie fizycznej do adresata. W ten sam sposób można wysłać Neokartkę z własnym selfie i przez siebie zaprojektowanym znaczkiem. To tylko drobna część tego, co oferuje Envelo. Spółka sumiennie realizuje powierzone jej zadanie łączenia pocztowej tradycji i cyfrowej przyszłości korespondencji.

Maria Szurowska

envelo
Grupa Poczty Polskiej

PROMOCJA

eprasa.pl be20e2503b

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu komentarze do naszego ostatniego numeru. Powtarza się w nich apel o jaśniejsze barwy do malowania dzisiejszej Polski. Wraz z wiosną obiecujemy poprawę.

Czarnowidztwo

„Wrogowie wiary uderzają w Chodakowską", „Chcą z nas zrobić antysemitów" – to tytuły, które krzyczą z ostatnich okładek Waszego tygodnika. Zastanawiam się, czy ciągłe opowieści o opresji, jakiej podlega nasz naród, nasi reprezentanci czy wreszcie ludzie, którzy przyznają się do Boga, nie powoduje, że w zbyt ciemnych barwach rysujemy współczesność.

Dzięki programowi „Rodzina 500+" mnóstwo rodzin odzyskuje godność i może cieszyć się np. wakacjami. Dzięki wspaniałej postawie prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Andrzeja Dudy, ceremonie państwowe stały się prawdziwymi lekcjami patriotyzmu. Dzięki eleganckiej Pierwszej Damie Polska odzyskuje prestiż, a różne charytatywne przedsięwzięcia zyskują wspaniałą patronkę.

Piszcie też o tym. Ciągłe pokazywanie ran i obrażeń nie oddaje przecież prawdy o współczesnej Polsce. Jeśli tak dalej pójdzie, to także Wasi czytelnicy uwierzą w czarny obraz, jaki rysuje opozycja.

Bardzo Was proszę, dawajcie nam więcej radości i optymizmu.

Maria Sowa, Kraków

PiS kontra satyra

Dziękuję za świetny tekst Łukasza Warzechy o programie „Ucho prezesa" („Do Rzeczy" 19/2017). Autor w świetnej skądinąd analizie pominął jeden fakt: nagrania wspólnej scenki przez Roberta Górskiego i Donalda Tuska. Pożegnanie Tuska wyjeżdżającego do Brukseli pokazywało dystans szefa PO wobec samego siebie, a mnie uzmysłowiło kolosalną różnicę między Platformą a PiS. Czy my naprawdę musimy być tak ponurzy? Mamy kapitalnych fighterów w Internecie, powstają doskonałe memy, potrafimy parodiować propagandę platformersów, dzięki przewadze w sieci wygraliśmy wybory prezydenckie i parlamentarne, a nie potrafimy śmiać się z siebie. Sztywność, ponuractwo – to cechuje polityków Prawa i Sprawiedliwości. Zdają się rzeczywiście nie lubić samych siebie i bać się świata. No i bać się Prezesa (ale to najlepiej pokazuje serial).

Marcin Zawisza

Debata o reformie

Bardzo dziękuję za dwugłos ministra Radziwiłła i Andrzeja Sośnierza w sprawie reformy służby zdrowia („Do Rzeczy" 19/2017). Przyzwyczajeni jesteśmy do ocen zero-jedynkowych. Albo jakiś projekt jest idealny, albo powinien znaleźć się w koszu. Debata między politykami PiS pokazuje, że niektóre elementy reformy są dyskusyjne. Nie znaczy to, że powinniśmy wznieść okrzyk: „Radziwiłł do dymisji!", lecz że trzeba uważniej przyjrzeć się proponowanym zmianom i monitorować je. Tym bardziej że służba zdrowia jest bardzo wrażliwym obszarem i od powodzenia działań Konstantego Radziwiłła może w dużej mierze zależeć wynik przyszłych wyborów parlamentarnych.

Monika Zając

Jestem spokojna o przyszłość

Dziękuję za krzepiący wywiad z premier Beatą Szydło („Do Rzeczy" 19/2017). Krytyka krytyką, ale dobrze czasami poznać stanowisko rządzących, szczególnie teraz, gdy propaganda Platformy uciekającej się do manipulacji sondażami zdaje się zdobywać posłuch u wielu Polaków. Naprawdę idziemy w dobrym kierunku i nie zwijajmy sztandarów, bo przed nami jeszcze parę kadencji rządów prawicy w Polsce!

Stefan Michalak

Wiktorowi Świetlikowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Włodzimierz Wasyluk/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Karolina Olchowik** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl be20e2503b

Polska musi grać w Europie kluczową rolę

Z dr. Maciejem Szymanowskim, doradcą marszałka Sejmu ds. międzynarodowych i wykładowcą Uniwersytetu Katolickiego w Budapeszcie
rozmawia Jacek Przybylski

FOT. JÓZEF WOLNY/FORUM

JACEK PRZYBYLSKI: 17–18 maja w Warszawie na szczyt przewodniczących parlamentów państw Europy Środkowej i Wschodniej zjadą przewodniczący oraz wiceprzewodniczący parlamentów Azerbejdżanu, Bośni i Hercegowiny, Bułgarii, Chorwacji, Czarnogóry, Gruzji, Kazachstanu, Litwy, Łotwy, Mołdawii, Rumunii, Serbii, Słowacji, Turcji, Ukrainy oraz Węgier. Po co Polska organizuje tego typu wydarzenia?

DR MACIEJ SZYMANOWSKI: To kontynuacja szczytu z sierpnia zeszłego roku. Wówczas reprezentowanych było 11 państw. Widać więc, że zainteresowanie rośnie. Trzeba pamiętać, że to Unia Europejska leży w Europie, a nie Europa w Unii Europejskiej. Tymczasem obserwujemy tendencję do zamykania się na różne problemy wewnątrzunijne: Brexit, kryzys imigrancki czy finansowy. Polski parlament bierze więc na siebie ciężar prowadzenia dialogu, konsultacji i dyskusji na temat problemów, które dotyczą całej Europy. Bezpieczeństwo i prosperity UE bardzo mocno zależą od tego, jaka jest sytuacja w krajach sąsiednich: niezależnie od tego, czy to państwa, które kandydują do Unii, czy też te, którym zależy tylko na poprawnych stosunkach z UE. Obserwujemy też wielkie zainteresowanie ze strony państw, które są wschodnią flanką Unii i którym nie jest obojętne, co się dzieje tuż za granicą UE.

Czy w czasach ogromnych turbulencji w największych krajach UE Polska może odegrać kluczową rolę w budowaniu nowej, zreformowanej Unii Europejskiej?

Polska musi odegrać taką rolę. Wystarczy rzut oka na mapę, by zobaczyć, że Polska jest zwornikiem Europy Zachodniej z Europą Wschodnią. Również nasz udział w dotychczasowej historii pokazuje, że byłoby co najmniej nieporozumieniem, gdybyśmy nie zabierali głosu, nie zawierali sojuszy i nie przedstawiali własnych propozycji.

Jako historyk wiem, że choć czas płynie jednostajnie, to w historii czasami przyspiesza. Obecnie panuje powszechne przekonanie, że w 2017 r., roku wyborów we Francji, w Niemczech, Wielkiej Brytanii czy w Czechach, Unia Europejska musi się zreformować. Konieczne są więc zmiany na całym kontynencie. Należy je przeprowadzić, pamiętając, że również Rosja cały czas dąży do zmiany status quo w Europie.

W zeszłym roku marszałkowie Sejmu i Senatu przedstawili propozycję rozszerzenia kompetencji parlamentów narodowych. Jest na to szansa?

Tak. Polska propozycja została podniesiona przez wiele państw. Różne kryzysy są bowiem okazją do tego, aby parlamenty narodowe przystąpiły do bardziej aktywnego działania i otrzymały nowe kompetencje, np. tworzenia większości inicjujących pewne rozwiązania na forum Parlamentu Europejskiego czy Komisji Europejskiej lub mniejszości blokujących niekorzystne dla nich propozycje. ©℗

PATRONAT do RZECZY

BONIEK: POLECAM „GWIAZDY" KAŻDEMU

Ze Zbigniewem Bońkiem, prezesem PZPN, piłkarzem, rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Był pan na premierze filmu „Gwiazdy" inspirowanego historią życia Jana Banasia, piłkarza reprezentacji Polski, jednego z bohaterów meczu Polska – Anglia (2:0) w Chorzowie w 1973 r. Jakie wrażenia?

ZBIGNIEW BONIEK: To bardzo dobry film, którego fabuła opiera się na życiu i piłkarskiej karierze Jana Banasia. Obraz jest interesująco zrobiony, pojawiają się też w nim prawdziwe wątki dotyczące naszej przeszłości i historii. „Gwiazdy" przypominają też pewne wydarzenia, które czasami umykają ludzkiej pamięci.

Sportowe, pozasportowe? W filmie jest też sporo o problemach Banasia z ówczesnymi władzami partii i ze związkiem piłkarskim...

Sportowe. Mnie samemu jako piłkarzowi, który pamięta tamte czasy, tamten słynny mecz w Chorzowie z Anglią zakończony wygraną reprezentacji Polski, niektóre wydarzenia, które wówczas miały miejsce, uszły uwadze. Film je przypomina, odświeża, rzuca nowe światło na pewne sprawy. Obejrzałem „Gwiazdy" z prawdziwym zainteresowaniem i mogę każdemu je polecić.

Zastanawiam się tylko, czy zainteresuje on ludzi, których piłka nożna nie obchodzi, albo tych, którzy nie sięgają pamięcią w historię polskiej piłki czasów PRL.

Przede wszystkim jest to film, który mówi o pewnych prawdziwych epizodach z życia prawdziwego piłkarza, o jego życiowych wyborach, o osobistych przeżyciach, sukcesach, porażkach, jest też wątek uczuciowy. Oczywiście historia jest nieco ubarwiona. Miałem wrażenie, że kilka wątków zostało połączonych, ale takie jest prawo reżysera i w mojej ocenie nie przyniosło to negatywnych skutków dla filmu, który uważam za bardzo ciekawy. Czy zainteresuje też tych, których nie obchodzi piłka nożna? Ich proszę zapytać. Zobaczymy też, jak rynek zareaguje na „Gwiazdy".

„Historia piłkarza, który mógł osiągnąć wszystko, ale jego karierę zniszczył PRL i czasy, w jakich żył" – przeczytałem w jednej z recenzji

Trudno ocenić. Na pewno pan Jan był bardzo dobrym piłkarzem, na pewno były to czasy, gdy zarządzający, jeśli tylko chcieli kogoś zniszczyć, to mogli, ale też film pokazuje, że główny bohater robił wiele, by władzy podpaść. ©℗

CZYTAJ TAKŻE RECENZJĘ FILMU NA STR. 50

eprasa.pl be20e2503b

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bijące ramię KOD

Gdyby na marszu KOD jakiś agresor z prawicy uderzył w twarz Władysława Frasyniuka czy Jana Lityńskiego, o incydencie tym pisałaby pewnie prasa na całym świecie. Szacowni profesorowie, aktorzy i pisarze słaliby listy protestacyjne, biliby na alarm, że zaczęła się fizyczna rozprawa z przeciwnikami władz. Politycy opozycji powiadamialiby Parlament Europejski, że PiS zaczyna bić oponentów. W miesięcznicę smoleńską 10 maja został jednak uderzony Adam Borowski. Co prawda on także jest byłym opozycjonistą i bohaterem podziemia, ale akurat czcił pamięć ofiar Smoleńska. Dlatego nie zainteresuje się jego przypadkiem ani Agencja Reutera, ani „Frankfurter Allgemeine Zeitung", ani nawet Frans Timmermans. A intelektualiści z prawej nie skrzykną się w parę godzin, aby pisać płomienne apele. Jeden Jan Żaryn wezwał kolegów-senatorów z opozycji, aby ustosunkowali się do incydentu.

Borowski został uderzony przez uczestnika kontrdemonstracji, którą zorganizowała grupa Obywatele RP. Lider agresorów – Paweł Kasprzak – to kolejny po Mateuszu Kijowskim zawodowy antykaczysta zachwalany od miesięcy przez wiele mediów na czele z „Gazetą Wyborczą", która zachwyca się, że jego grupa jest tak groźna dla władz, iż zmusiła ekipę PiS do zmiany prawa o zgromadzeniach.

Dzisiaj widać, że taka zmiana była niezbędna. Inaczej bezkarność rozbijania miesięcznic byłaby jeszcze bardziej ułatwiona.

Co warto podkreślić, to swoisty podział ról w obozie opozycji. W postaci Obywateli RP powstała grupa zadaniowa do prowokowania bezpośredniej agresji bez obciążania konta PO czy Nowoczesnej.

Bojówka nastawiona na prowokowanie starć i kreowanie się na ofiary zamordyzmu obecnej władzy.

Grzegorz Schetyna, Ryszard Petru, a nawet Mateusz Kijowski mogą spokojnie wzruszać ramionami pytani o pobicie Adama Borowskiego. Przecież to nie oni zakłócili uroczystości 10 maja.

„Gazeta Wyborcza" od miesięcy lansuje niepokojącą postać Pawła Kasprzaka, który rośnie wskutek pochwał mediów i idzie ku coraz większej agresji. 10 kwietnia w czasie poprzedniej miesięcznicy Obywatele RP zagłuszali przemówienie Jarosława Kaczyńskiego głośnym skandowaniem: „Kłamca, kłamca!". Teraz posunięto się o krok dalej.

Czy wywołało to jakąś refleksję opozycji? Bynajmniej. Nazajutrz po uderzeniu w twarz Borowskiego poseł koła Europejscy Demokraci, Stanisław Huskowski, nie czuł żadnego zażenowania, gdy występował w obronie prawa Obywateli RP do demonstrowania swoich przekonań. Wymachiwał z ławy sejmowej białą różą – znakiem rozpoznawczym bojówkarzy.

W niedawnym wywiadzie dla dodatku „GW" – „Duży Format" – Paweł Kasprzak snuje dalsze plany „Wejść na teren Sejmu w 10 tys. osób – to by było coś! Wkurza mnie ta impertynencja, jak mówi się o ludziach – uchodźcach, kobietach, mniejszościach. Marzy mi się obywatelskie nieposłuszeństwo".

Widmo ulicznego pałkarza nadchodzi z lewej strony. ©℗

FOT. POLSKA WIELKI PROJEKT

„POLSKA WIELKI PROJEKT"

Po raz siódmy odbędzie się kongres „Polska Wielki Projekt – polski projekt dla Europy". W Warszawie od 18 do 21 maja znakomici naukowcy, przedsiębiorcy i politycy będą debatować nad strategicznymi wyzwaniami stojącymi przed naszym krajem w najbliższych dekadach. Jako prelegenci wystąpią m.in. prof. Zdzisław Krasnodębski (na zdjęciu podczas ubiegłorocznego kongresu), prof. Ryszard Legutko, ministrowie: Mateusz Morawiecki, Piotr Gliński i Mariusz Błaszczak. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl be20e2503b

Organizator

Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

Patronat honorowy

KARPACZ · DOLNY ŚLĄSK – Patronat Honorowy Marszałka Województwa Dolnośląskiego · KARPACZ

Partner strategiczny

TAURON Polska Energia

Partnerzy organizacyjni

GPW · KDPW · KDPW | CCP

Partnerzy główni

ING · Bank Polski · PMPG Polskie Media SA · Hotel Gołębiewski · Noble Securities · ABCDATA

Partnerzy

Lubelski Węgiel „Bogdanka" Spółka Akcyjna · ims sensory media · Blackwell Global · SARE way to sell · Global Investor Club · FerPay.com Przelewy bez granic · Famur · BOŚ · Dom Maklerski Banku Ochrony Środowiska S.A. · SelfMaker · Wolfs · Wallstreet Academy

Partnerzy wspierający

longterm Prognozy giełdowe Długoterminowy gracz giełdowy · SATRADER · CFA Society Poland · ZMiD

Główni partnerzy medialni

businessman.pl · Dziennik Gazeta Prawna · Bankier.pl · inwestorzy.tv

Partnerzy medialni

Equity · Investing.com · MY SAVER · Law Business Quality · Nowy Przemysł · Profit Journal · wnp.pl · Stockwatch · FX Parkiet · Forex Club · wyborcza.biz · analizy.pl · Kampus TV

epresa.pl be20e2503b

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szlam informacyjny

Każdy, kto oglądał amerykańskie sądowe thrillery, wie, że dobry adwokat nigdy nie składa broni. Nawet jeśli wina klienta jest oczywista, nawet jeśli złapano go z przysłowiowym dymiącym pistoletem w dłoni – zawsze można, i trzeba, zasiewać wątpliwości. Czepiać się każdej dupereli, podważać wiarygodność świadków, wyszukiwać sprzeczności, które zawsze się gdzieś w zeznaniach pojawią… Ktoś tam widział, że morderca wysiadał z samochodu z czarną teczką, a oto, proszę, to ta właśnie teczka – jest brązowa. Wysoki sądzie, czy można polegać na takim świadku?

IPN nikomu poza grafologami z Instytutu Sehna teczki „Bolka" nie udostępniał

Mecenas Widacki nie robi więc niczego oryginalnego, starając się zasiać wątpliwości co do autentyczności dokumentów, które dowodzą, że jego klient, Lech Wałęsa, oddawał usługi SB jako konfident o kryptonimie Bolek. Jednak sposób, w jaki pomaga mu w tym medialna orkiestra, zasługuje na zauważenie. Otóż w ostatnich dniach ta orkiestra dwa razy już ogłosiła, że mec. Widacki posiada alternatywne ekspertyzy grafologów równie utytułowanych jak ci z Instytutu Sehna, którzy autentyczność donosów „Bolka" potwierdzili – i te drugie ekspertyzy te pierwsze podważają. „Teczka Bolka jednak fałszywa?" – donoszą wszystkie portale i serwisy, zwalniając się z odpowiedzialności za „nius" filuternym znakiem zapytania. Raz, drugi, trzeci, i już ludziom przebiegającym po tych tytułach wzrokiem zaczyna się gromadzić w mózgach niczym szlam zamierzona dezinformacja: no, z tą teczką „Bolka" to wcale nic pewnego. Są różne zadania w tej sprawie.

Jest tylko jedna drobna okoliczność: IPN nikomu poza grafologami z Instytutu Sehna teczki „Bolka" nie udostępniał. Nikt, a szczególnie mec. Widacki, o to nie występował. Jak więc mogły powstać te jego ekspertyzy?

Zróbmy to, czego zwykły odbiorca nie robi, i sięgnijmy do źródła, na które powołują się portale i serwisy. Czyli do „Wyborczej". A tam już lead powala: „Naukowcy badający dokumenty z szafy Kiszczaka pominęli istotny dokument. MOŻE ON PODWAŻAĆ (podkreślenie moje) wniosek, że donosy pisał Wałęsa".

Nawet nie „podważa". MOŻE podważać. Co ma zatem pan mecenas? Nic. Opinię grafologa, że grafologowie powinni byli uwzględnić jeszcze jakiś tam inny dokument. Co mogłoby mieć znaczenie. Chyba żeby go nie miało.

Jednak „brejking nius" już hula. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

ONZ i islam

Miłośnicy klasycznej farsy nie muszą już czekać, aż na afisz trafią „Wesołe kumoszki z Windsoru" czy „Skąpiec". Lepsze przedstawienia, przyprawione czarnym, złośliwym humorem, wystawiają teraz w ONZ. I to na trzech scenach: w Nowym Jorku, Genewie i w Paryżu.

Pod koniec kwietnia do Komisji ONZ ds. Statusu Kobiet przyjęto Arabię Saudyjską, gdzie niewiasta jest własnością mężczyzny jak jego dziecko i samochód. Trudno nie wpaść w zachwyt nad wyczuleniem na demokratyczne niuanse. Przecież wyborem sunnickiej Arabii zrównoważono w Komisji wpływy szyickiego Iranu – czempiona walki o prawa kobiet.

Trzeba przy tym pamiętać, że wkład myśli sunnickiej w poszerzanie praw obywatelskich ONZ doceniła już cztery lata temu. Wówczas Arabia Saudyjska weszła do Komisji Praw Człowieka, a teraz zasiada nawet w Komitecie Doradczym. Trudno jednak się dziwić. Wszak saudyjski autorytet religijny i prawodawca zarazem uznał niedawno, że sunnita ma nadal pełne prawo zjeść swoją żonę, ale wyłącznie w ekstremalnych warunkach: gdy jest naprawdę głodny.

Natomiast w Paryżu UNESCO wydało sponsorowaną przez muzułmanów deklarację, z której wynika, że Wzgórze Świątynne w Jerozolimie nie ma nic wspólnego z historią judaizmu i chrześcijaństwa, za to wszystko z islamem.

Słowem – o prawa człowieka, a kobiet w szczególności, kulturę i interpretację historii możemy się już nie martwić. W ONZ te wszystkie trudne sprawy rozwiązują nam teraz na bieżąco muzułmańscy brodacze. Na naszych oczach i za nasze podatki w ONZ piszą powalającą farsę, przy której blednie wszystko, co zdołali stworzyć Szekspir, Molier, Hašek, Jerome i Heller razem wzięci. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl be20e2503b

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wolność według pani premier

Co to jest wolność? Odpowiedź wcale nie jest tak prosta, jak mogłoby się zdawać. Rządzący przy oficjalnych okazjach najczęściej mówią o wolności w sensie suwerenności państwa. To ważne znaczenie tego słowa, ale nie jedyne.

Podczas niedawnej konferencji prasowej, dotyczącej wskaźników ekonomicznych, premier Beata Szydło przedstawiła jeszcze inne rozumienie wolności. „Właśnie na tym polega wolność – że ludzie mają pracę, mają dobre, godne wynagrodzenia, mogą decydować o swojej przyszłości, przyszłości swoich rodzin – to jest właśnie prawdziwa wolność" – powiedziała.

Otóż nie, Pani Premier. To, o czym Pani mówi, nie ma zgoła nic z wolnością wspólnego. Miała Pani raczej na myśli bezpieczeństwo socjalne, które w jakimś stopniu jest nawet przeciwieństwem wolności, bo tworzy się je zwykle poprzez przepisy krępujące swobodę umawiania się pracodawców z pracobiorcami. Coś kosztem czegoś, to w znacznym stopniu gra o sumie zerowej.

Nic niemal nie słychać o tym rodzaju wolności, o której PiS lubi nie mówić, a z której PO za swoich czasów sobie zwyczajnie kpiła praktyką rządów i jeśli dziś coś o niej pokrzykuje – że niby zamierza jej bronić przed rzekomo zamordystyczną władzą – to te pokrzykiwania nie zasługują nawet na splunięcie. To wolność osobista – wolność wyboru i wolność ponoszenia konsekwencji tego wyboru. Wolność od państwa, które ma swoje ważne zadania, ale ufa obywatelom wystarczająco mocno, żeby wiedzieć, iż nie musi ich niańczyć i wychowywać na każdym kroku, i wciąż się nimi zajmować – a to żeby zdrowo jedli, a to żeby uważali na siebie na ulicy, a to żeby o zdrowie dbali, żeby się ubezpieczali, żeby nie palili i nie pili za dużo itd. Potrzeby dania ludziom wolności tego rodzaju partia rządząca nie dostrzega – ba, uważa, że obywatele to małe dzieci, które trzeba prowadzić za rączkę, bo głupiutkie, same nie wiedzą, co dla nich dobre.

Prosiłbym zatem, Pani Premier, żeby nie manipulować pojęciami ani nie wmawiać ludziom, że wolnością jest coś, co nią w najmniejszym stopniu nie jest. ©℗

Narodowy Stary Teatr: Kto zamiast Klaty

We wtorek 9 maja Komisja Konkursowa powołana przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego wskazała na Marka Mikosa jako kandydata na dyrektora Narodowego Starego Teatru. Tym samym rekomendacji nie otrzymał dotychczasowy dyrektor krakowskiej sceny – Jan Klata. Ostateczną decyzję w sprawie obsadzenia stanowiska dyrektora Starego Teatru podejmie minister Piotr Gliński.

Marek Mikos (ur. 1959) to absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, wieloletni redaktor i dziennikarz „Gazety Wyborczej", dyrektor Ośrodka TVP w Kielcach (w latach 2005–2009 i 2012–2016), kierownik literacki Teatru Ludowego w Nowej Hucie (2010–2011), wykładowca Uniwersytetu Papieskiego im. Jana Pawła II.

Jako dyrektora artystycznego teatru Mikos wskazał Michała Gieletę (ur. 1974), reżysera teatralnego i operowego, działającego głównie na scenach brytyjskich i amerykańskich, wykładowcę Royal Academy of Dramatic Art w Londynie. ©℗

Marek Mikos
FOT. AGENCJA GAZETA

Michał Gieleta
FOT. AGENCJA GAZETA

eprasa.pl be20e2503b

FOT. PAWEŁ GROMADA

CICHY BOHATER

Aktor Marek Kaliszuk poinformował świat, że podczas spektaklu pt. „Dajcie mi tenora" w warszawskim Teatrze Capitol złamał rękę. Podkreśla, że zachował się profesjonalnie i mimo okropnego bólu nie przerwał przedstawienia. Od razu po zakończeniu spektaklu pojechał do szpitala, a następnie opublikował na Facebooku zdjęcie z ręką w gipsie. „Nie nie, to nie jest film ani serial... to prawdziwa ręka i prawdziwy gips około 3 w nocy. Okazało się, że w pierwszym akcie podczas wczorajszego »Tenora« złamałem rękę" – poinformował. Po czym dodał parę zdań o swojej odwadze i poświęceniu. „Nie ma to tamto, grałem i śpiewałem twardo do końca. Czy można bardziej poświęcić się dla sztuki, teatru i publiczności? Kiedyś musiał być ten pierwszy raz" – dodał. Pan Marek tak bardzo wzruszył się swoim bohaterstwem, że czujemy, iż na jednym wpisie na Facebooku się nie skończy. Jak nic będzie jeszcze jakiś wywiad plus sesja zdjęciowa z gipsem. Jak na każdego cichego bohatera przystało.

KABARET DODY

Tabloid „Fakt" donosi, że serial pt. „Daleko od noszy", w którym zagrała Doda, znika z anteny. Doda miała pojawić się w ostatnim odcinku obecnego sezonu, a potem dołączyć do stałej obsady serialu. Okazuje się, że nic z tego nie będzie, bo serial wycofano z powodu słabej oglądalności. Jakby tego było mało, jedyny odcinek, w którym zdążyła zagrać Doda, też nie zostanie wyemitowany! – Wszystkie niewyemitowane odcinki będzie można obejrzeć tylko w Internecie. 480 tys. widzów to niezadowalająca oglądalność dla Polsatu, więc wolą w tym paśmie puszczać powtórki kabaretów – mówią źródła „Faktu". Skoro wolą kabarety, to zupełnie nie rozumiemy, dlaczego nie chcą wyemitować odcinka z Dodą. Doda jako aktorka – no, który kabaret to przebije?

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

OCZY DOKTORA LUBICZA

Aktor Tomasz Stockinger pochwalił się, że zafundował sobie zabieg laserowej korekty wzroku. Od lat miał bowiem problemy ze wzrokiem i skarżył się, że widzi coraz gorzej. – Iza Trojanowska zrobiła sobie laserowe poprawianie wzroku i po dwóch dniach czytała już bez okularów. Wtedy przestałem mieć wątpliwości i też zdecydowałem się na korektę za pomocą lasera – opowiada „Faktowi" Stockinger. – Teraz mam wzrok jak żyleta, co bardzo pomaga mi w pracy – dodaje. – Jestem wdzięczny nauce za to, że takie rzeczy są dziś możliwe. Czuję się taki młody, jakbym miał 20 lat mniej. Z wiekiem oczy są mniej elastyczne, zmienia się krzywizna rogówki, a dzięki takim zabiegom można to skorygować i świetnie widzieć – podkreśla. Widzimy, że Stockingerowi świetnie idzie wcielanie się w postać doktora Lubicza także poza ekranem. A później dziwi się w wywiadach, że ludzie na ulicy proszą go o wypisanie recepty!

PRACA LEPSZA NIŻ W TELEWIZJI

Dorotę Wellman, gwiazdę telewizji śniadaniowej TVN, wzięło na głębsze refleksje dotyczące przyszłości. W rozmowie z „Faktem" przyznała, że liczy się z tym, iż nic nie trwa wiecznie i jej kariera może się w każdej chwili skończyć. A żyć jakoś trzeba. Co wtedy? – Każdy musi być na to przygotowany. Szczególnie w moim zawodzie, w którym jest duża zmienność. Człowiek jest popularny, ma kilka programów, a zaraz przychodzi nowe i tych programów już nie ma – mówi Dorota Wellman w rozmowie z „Faktem". – Jeśli nie będę miała szansy pracy w zawodzie, to założę firmę sprzątającą. W młodości sprzątałam domy, knajpy i hotele za granicą. Potrafię to robić naprawdę dobrze, więc wezmę szmatę, by sprzątać w biurach czy mieszkaniach. Skoro jestem w tym świetna, to czemu miałabym się tego wstydzić? – pyta retorycznie. Pani Dorota opowiada o tym sprzątaniu z takim entuzjazmem i pasją, że aż się prosi, by zapytać, dlaczego jeszcze nie rzuciła tej nudnej roboty w telewizji?

JAK ŻYĆ BEZ PORSCHE?

O tym, o czym mówi Dorota Wellmann, na własnej skórze przekonał się aktor Piotr Gąsowski. Jeszcze parę lat temu aktor brylował na bankietach, dostawał mnóstwo zawodowych propozycji i jeździł wypasionym czarnym porsche. Ten czas jednak szybko się skończył i aktor musiał zejść na ziemię. – Parę nieudanych inwestycji, giełda czy nieruchomości sprawiły, że otarłem się wręcz o bankructwo. Pomnażanie majątku raczej mi więc nie wyszło – wyznał w jednym z wywiadów Gąsowski. Najgorszy moment nadszedł, gdy aktor musiał się pozbyć swojego porsche. – Porsche już nie jeżdżę. Zazdroszczę kolegom kilku ról, ale nie paraliżuje mnie to. Żeby dostać rolę, jestem gotów pójść na casting – zapowiada. Coś podobnego! Aktor zapowiada, że jest gotów walczyć o rolę na castingu. Czego to ludzie z biedy nie robią! ©℗

eprasa.pl be20e2503b

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasza refleksja po Marszu Wolności. Otósh zwolennicy pisizmu opowiadają, iż skoro marsz się odbył, to najlepiej świadczy o demokracji, braku represji i poszanowania prawa do zgromadzeń.

Odpowiadamy: a wsadźcie sobie takie prawo do zgromadzeń, tak? Z wielką łaską przyznane, kiedy daje się odczuć tę wrogą i duszną atmosferę pełną niechęci. Czuliśmy się zaszczuci jak wegańskie dziecko na urodzinach kolegi w McDonaldzie.

Jeszcze większą bzdurą jest to, że skoro marsz się odbył bez represji, to znaczy, iż mamy wolność. Przecież brak represji w oczekiwaniu na represję także jest represją, ponieważ zawiedzione oczekiwania to bardzo silny czynnik stresotwórczy. Dlatego też stanowczo zaprzeczamy prorządowemu przekazowi i jesteśmy zmuszeni podkreślić: Marsz Wolności odbył się w atmosferze terroru, niechęci, a nawet nienawiści, zastraszania i pod niezwykle silną psychiczną presją!!!!

Grzegorz Schetyna powiedział, iż Platforma wcale nie chce przyjmowania uchodźców. Jako iż jesteśmy obyci z literaturą, od razu załapaliśmy, iż to zapewne oznacza, iż Platforma nigdy nie była za przyjmowaniem uchodźców.

W związku z tym z archiwalnych nagrań i wypowiedzi, na których może się wydawać, iż politycy PO sugerują coś przeciwnego, nie wynika, iż zmienili zdanie. Według nas już wtedy byli przeciwni, ale nie potrafili tego wyartykułować. Ewentualnie byli przeciw, ale za, iż taka była konieczność i mądrość etapu.

Dlatego też prosimy, iżby nie przypominać Platformie tamtych wypowiedzi, to takie małostkowe i typowo polskie się czepiać, że ktoś tam kiedyś coś powiedział.

Jako iż trwają matury, chcielibyśmy przypomnieć tegorocznym osobomaturzystą, iż nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie junior clean dishes managera xD

A tak na serio: osobomaturzyści powinni pamiętać, iż po zakończeniu matur czeka ich o wiele trudniejsze zadanie, mianowicie znalezienie odpowiedniego kierunku studiów, na którym mogliby się realizować, a jednak nie nadużywać swojego czasu wolnego i potencjału intelektualnego.

Dlatego przygotowaliśmy krótki poradnik, jakie studia wybrać, iżbyście nie musieli sami za dużo nad tym myśleć:

– jeśli tym, co w życiu najbardziej lubisz, jest oglądanie seriali, a przy tym doceniasz znaczenie popkultury w rozmowach na korpostołówce, wybierz filmoznawstwo

– jeśli uważasz, iż wejście do Unii jest najważniejszym wydarzeniem w historii tego kraju, w pokoju masz projektor rzucający unijne gwiazdki na sufit, a nad łóżkiem plakat Fransa Timmermansa, koniecznie wybierz europeistykę

– jeśli miasto nie ma przed tobą tajemnic, bo stale eksplorujesz je w trampkach za 395 zł lub na holenderce z wiklinowym koszyczkiem, uwielbiasz pretensjonalne dyskursy w kawiarniach i wspierasz ruchy miejskie, czeka na ciebie socjologia miasta

– jeśli w towarzystwie najgłośniej śmiałeś się z San Escobar, ale potem w domowym zaciszu nerwowo szukałeś go na mapie, spróbuj stosunków międzynarodowych

– z kolei jeżeli uwielbiasz godzinami wymądrzać się o polityce, a żadna z twoich prognoz się nie sprawdza, twoim wymarzonym kierunkiem będzie politologia.

Chcielibyśmy przypomnieć tegorocznym osobomaturzystą, iż nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie junior clean dishes managera

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl be20e2503b

dwaj panowie g

Siepacze kaczystowscy znów ładują do paki niewinnych speców od reprywatyzacji w Warszawie. W sprawie zatrzymanego kumpla Olka Kwaśniewskiego, czyli Macieja M., mamy dodatkowe informacje. Otóż lista potentatów tego procederu o nazwiskach zaczynających się na literę „M" nie została jeszcze wyczerpana. Co ważniejsze, wiewiórki donoszą, że emocje będą większe, bo nieprzypadkowo tylko pięć literek dzieli literę „M" od litery „G", jak Hanna.

Mario Kamiński, minister koordynator wszystkiego, się wściekł. Otóż sławny syn słynnego ojca, nadpremier i dwójminister Mateusz Morawiecki obiecał mu, że CBA dostanie w najbliższym budżecie kasę na sto nowych etatów. Tymczasem w dziwnych okolicznościach kwota na to przeznaczona zniknęła z projektu. Poszukiwania sprawców trwają, ale Ministerstwo Finansów to przecież taki wielki resort.

Źli ludzie opowiadają, że los Marka Magierowskiego, poprzedniego rzecznika, został przypieczętowany kiepskim promowaniem wizyty pary prezydenckiej w Meksyku. Mamy inne informacje. Podobno kroplą, która przepełniła czarę, był informacyjny burdel wokół inicjatywy prezydenckiej w sprawie konstytucyjnego referendum. Wiewiórki są zgodne w jednym – zbierało się od dłuższego czasu. Poza tym Marek średnio rozumiał się z Krzyśkiem Szczerskim, na którego w pałacu mówią już „wiceprezydent".

Tymczasem w PiS. Jak się wydaje, ludziska tam nie mają co robić i z nudów wymyślają różne głupoty. Na przykład ostatnio podjęto decyzję, że biuro prasowe partii musi zatwierdzać każdą wizytę w mediach każdego wiceministra. Nudzi się też Bełata Mazurek, czyli rzecznik partii kaczystowskiej. Gdyby się nie nudziła, to nie wymyślałaby po nocach, jakiego by tu jeszcze posła nieznanego nikomu wysyłać do dziennikarzy, żeby udowodnił, iż nie ma nic do powiedzenia.

Zasmuciła nas wiadomość o emigracji byłego posła Johna Godsona do Nigerii. Podwójnie. Po pierwsze, mało u nas polityków, którzy dotrzymują słowa. Po drugie, mamy żal do kolegów z „Super Expressu" o niewłaściwy tytuł tekstu o nigeryjskiej farmie Godsona. Przecież aż się prosiło, żeby napisać po prostu: „Wolał pasać świnie w Afryce, niż być posłem Platformy Obywatelskiej".

Tak, tak, wiemy, pastor Godson wyemigrował w chwili, kiedy nie był już platfusem. Zaliczył jeszcze epizod u naszych zielonych braci z Peezelu. Żeby więc nie wyjść na osobników stronniczych, mamy też wersję ponadpartyjną naszego hasła: „Lepiej świnie mieć w Afryce, niż być w polskiej polityce".

Apropos zielonych braci. Rzecznik Peezelu Jakub Stefaniak już był po słowie z nowoczesnym Ryśkiem. Miał zmienić barwy partyjne i stać się rzecznikiem Nowoczesnej. Nie od dziś jednak wiadomo, że w Peezelu umieją liczyć.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Rzecznik więc policzył, że Nowoczesna do następnego Sejmu nie wejdzie. Uznał, że lepiej być sejmowym chłopem niż pozasejmową homeopatyczną opozycją.

Jeszcze o Nowoczesnej Kropce. Wiecie, dlaczego awans Katarzyny Lubnauer tak cieszy Platformę? Otóż Kaśka zasiadała we władzach następczyni Mumii Wolności, czyli w Partii Demokratycznej. A odkrywanie wspólnych korzeni zawsze cieszy.

Transfer Stefaniaka nie był najdziwniejszym ruchem, jaki szykował się w parlamencie. Otóż niedawni uciekinierzy z Nowoczesnej Kropki (czworo posłów, których nazwiska nic wam nie powiedzą), zanim zapukali do bram Grześka Schetyny, mieli całkiem inny pomysł na życie: zostać kukistami. A dokładnie pomysł ten miało troje z czworga wspomnianych nołnejmów. Ten wysoki, którego nikt nie zna, to akurat nie chciał.

Negocjacje były burzliwe, ale bardzo krótkie. Nowocześni uciekinierzy mieli bowiem wysokie oczekiwania. Tak wysokie, jak najwyższe miejsca na listach wyborczych. Szczególnie ambitna była taka jedna Ula, której nazwisko nic wam nie powie. No i sprawa się rypła.

Donald Król Europy budzi emocje. Na przykład fakt, że przybył na premierę filmu „Gwiazdy" o harataniu w gałę, był szeroko komentowany przez platformerskie doły i wyżyny. Nawet byli ministrowie odnotowali jego obecność z zachwytem. To, co robił w tym czasie Schetyna, nie interesowało nikogo. Podpowiadamy – siedział rząd niżej, dwa fotele w prawo.

To nieprawda, że KOD umiera. Prascy działacze komitetu wyszli z cenną inicjatywą. „W parku nad Balatonem na Gocławiu jest plac zabaw dla dzieci. Wysypany otoczakami, które ranią delikatną skórę małych dzieci, a pył brudzi na biało i dostaje się do nosów i buzi" – informuje w lokalnym biuletynie niejaki Wojtek Muzylak i chwali działaczkę, która „wpadła na pomysł, żeby zastąpić go elastycznym asfaltem" (tego otoczaka, a nie Muzylaka). Jesteśmy za. Uważamy, że każda organizacja powinna działać na poziomie stosownym do swoich kompetencji.

Nie każdy KOD-uch myśli globalnie, a działa lokalnie. Na przykład Krzysztof Dudek. Dawniej dyrektor Narodowego Centrum Kultury, a dziś gwiazda łódzkiego KOD, ma dużo większe ambicje. Dudek, z wykształcenia prawnik, wymyślił, że polityków, którzy kłamią, należy pakować do więzienia na trzy lata. I taką samą sankcją objąć „osoby pełniące funkcje w organach partii politycznych, stowarzyszeń, fundacji i innych podmiotów prowadzących działalność polityczną". Ponieważ jest to propozycja wyjątkowo głupia, wcale nie zdziwił nas fakt, że debatę na ten temat od razu zorganizował tygodnik „Polityka".

Krzysztof Dudek chciałby też wpisania prawa do prawdziwej informacji do Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Jesteśmy za. Chcielibyśmy tylko, żeby wcześniej Dudek i KOD zajęli się sprawą przestrzegania w Polsce art. 5 do protokołu nr 7 konwencji: „Małżonkom przysługują równe prawa i obowiązki o charakterze cywilnoprawnym w stosunkach wynikających z małżeństwa, tak pomiędzy nimi, jak w stosunkach z ich dziećmi". Może wtedy Mateusz Wielki Kuc Kijowski wreszcie zacznie płacić alimenty.

Wiadomości z wielkiego świata. Niemiecki eurodep Alexander Graf Lambsdorff sprzedaje samochód. BMW Z4 sDrive23i Automatic. Tanio, bo za 22 tys. euro. „Perfect condition, first owner, car kept in a garage" informuje, rozsyłając e-maila do wszystkich europarlamentarzystów. W e-mailu są też piękne foty auta Lambsdorffa zaparkowanego przed jego pałacykiem. A mówią, że Parlament Europejski do niczego się nie przydaje.

W nawiązaniu do jednej z naszych poprzednich notek dostaliśmy list z firmy El Padre. „Nieprawdą jest, że El Padre spółka z o.o. została założona przez osoby z Łomianek, w dodatku mające relacje koleżeńskie z Panem Bartłomiejem Misiewiczem. Zarówno Zarząd, jak i wspólnicy spółki nie znają osób powołanych wprost lub pośredni". Cóż mogą dodać do tego panowie G.? Zapewne Wojciecha Cłapińskiego oraz Mirosławę Cłapińską sekretarza PiS w Łomiankach też łączy tylko przypadkowa zbieżność nazwisk, a ludziom z baru Jack's w Łomiankach zdarzają się przywidzenia. ©℗

eprasa.pl be20e2503b

Z Janem Pietrzakiem, satyrykiem i publicystą
rozmawia Maciej Pieczyński

Petru jest za głupi do kabaretu

MACIEJ PIECZYŃSKI: Nie ma pan wątpliwości, że rządy PiS to dobra zmiana?

JAN PIETRZAK: Nie mam. Poprzednie rządy nie zasługiwały na poparcie. Jak można było bowiem popierać notorycznych oszustów i złodziei, kombinatorów, aferzystów?! Jak można było popierać rządy Tuska?! Ja chciałbym być zwolennikiem każdej kolejnej władzy, bo jestem propaństwowy i dobrze Polsce życzę. Jak dotąd nie zawiedli mnie jednak tylko Jan Olszewski i Jarosław Kaczyński (za pierwszej kadencji PiS), ale rządzili zbyt krótko, by ich właściwie ocenić. W gruncie rzeczy obecny rząd PiS jest więc pierwszym, który popieram z pełnym przekonaniem. Realizują moje postulaty, przemycane w szyderstwach i złośliwościach, rozprawiają się z tym, co jako satyryk krytykowałem przez dwadzieścia kilka lat III RP.

Które konkretnie działania PiS się panu podobają?

Przede wszystkim polityka społeczna. PiS jako pierwszy zrozumiał, że władza musi realizować potrzeby narodu, a nie tylko oligarchii. Najlepszym tego przykładem jest program „Rodzina 500+". Ponadto podoba mi się projekt ministra Macierewicza dotyczący utworzenia obrony terytorialnej. Jako były żołnierz, który w wojsku spędził dziewięć lat, byłem zdumiony tym, jak rząd Tuska rozwalił polską armię. Przez wieki byliśmy napadani i mordowani przez agresywnych sąsiadów, którzy nigdy nie zatracili swojego imperialnego charakteru. W takiej sytuacji zniszczenie własnej armii to przestępstwo, za które odpowiadają Tusk i Komorowski. Chwała Macierewiczowi za to, że naprawia ich błędy.

A jednak Antoni Macierewicz wywołuje kontrowersje nie tylko w oczach totalnej opozycji, jego polityka kadrowa krytykowana jest także na prawicy...

To są drobiazgi, które wroga propaganda, czyli agenci Rosji i Niemiec, rozdmuchują do niebywałych rozmiarów, żeby zaszkodzić reformom Macierewicza. Młody chłopiec, który pomagał ministrowi jako asystent, napił się piwa albo coś tam palnął... I z tego robić aferę przez pół roku?! Atak na Misiewicza to prowokacja wymierzona w Macierewicza. Szef MON odtwarza polską armię, a dywersanci i agentura robią wszystko, by mu w tym przeszkodzić.

Jednak partia, która najwięcej mówi o uczciwości, mogłaby o nią szczególnie dbać we własnych szeregach. Tymczasem kariera asystenta szefa MON, jako przykład partyjnego kolesiostwa w PiS, została wykorzystana przez opozycję, m.in. przez Nowoczesną w akcji „Misiewicze".

Sprawa pana Misiewicza to jest marginalny incydent w stosunku do tego, jakie kolesiostwo panuje w Nowoczesnej. Niech oni patrzą na siebie, kto tę partię założył, za czyje pieniądze, kto te pieniądze wydaje, ile milionów przepuszczono na niszczenie Polski! Oczywiście nie wszyscy nadają się na swoje stanowiska, zawsze tak jest, każdej partii to dotyczy, ale trzeba znać proporcje. Nie można porównywać partii Petru i partii Kaczyńskiego. Nowoczesna jest nikomu niepotrzebną partią, szkodliwą dla Polski. Nie ma żadnego programu poza podstawianiem nogi rządowi. To jest antypolska partyjka, założona za czyjeś pieniądze.

O PO też ma pan takie zdanie?

W odróżnieniu od Nowoczesnej, która – podobnie jak Ruch Palikota – powstała nagle i z niczego, Platforma ma za sobą jakiś background i pomimo afer udało jej się nawet parę pozytywnych rzeczy zrobić. Na przykład pobudowali stadiony i drogi, choć przesadzili z kosztami. Rządy PO to wielkie złodziejstwa i afery, ale nie można powiedzieć, że nic dobrego po sobie nie pozostawili. Gdyby nie byli teraz totalnie antyrządowi, gdyby zajęli się tym, czym zajmuje się poważna opozycja na całym świecie, czyli tworzeniem własnego alternatywnego programu, można byłoby ich tolerować. Niestety, wolą razem z Nowoczesną donosić na Polskę. Szkodzą „na ulicy i za granicą", w gruncie rzeczy wypowiadając posłuszeństwo państwu polskiemu. To nawet z ich punktu widzenia jest niemądre. Sami się zaorzą.

Politycy PiS, choć nie w takiej skali jak obecnie PO, ale jednak, też kiedyś skarżyli się na „stan demokracji w Polsce" na forum unijnym. Nie mają więc 100-procentowo czystych sumień w tej sprawie.

Może i tak, ale ja nie szukam równowagi, niech pan jej sobie szuka, jeśli pan chce. Ja mówię o PO, która teraz jest w opozycji, ale ma na swoim koncie osiem lat rządzenia, podczas których lekceważyła społeczeństwo, tolerowała nędzę,

eprasa.pl be20e2503b

PRZEŻYŁEM HITLERA I STALINA, WIĘC NIE BOJĘ SIĘ TUSKA

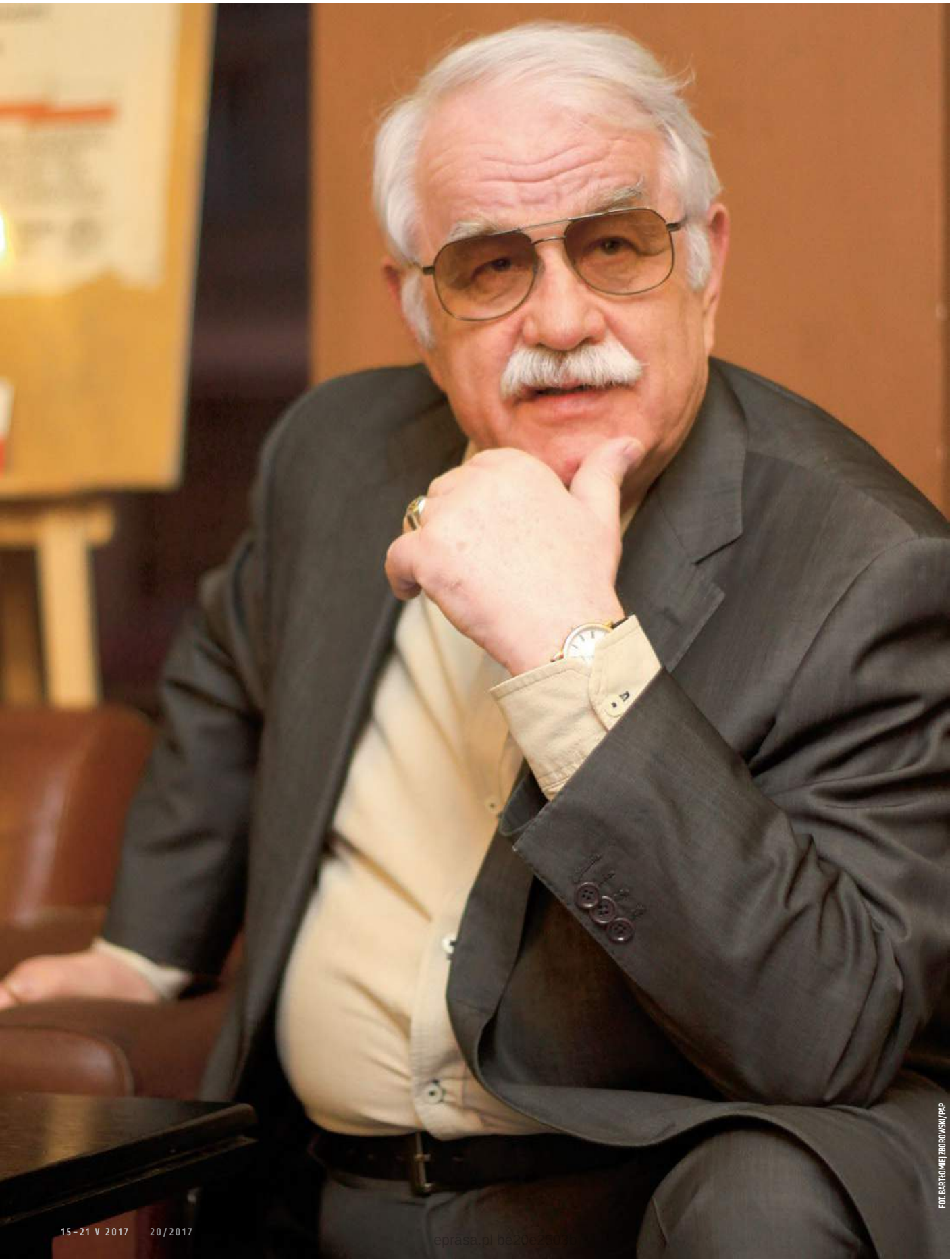

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

eprasa.pl be20e2603

niszczyła kulturę, zamykała stocznie, chroniła łajdaków… itp. Ludzie wolni, tacy jak ja, byli w czasach jej rządów tępieni tylko za to, że mieli swoje zdanie. Poza tym macherzy z Platformy odpowiadają za Smoleńsk. Na swoich rękach mają krew Polaków przelaną w zmowie z Putinem…

Dotychczasowe wyniki podkomisji smoleńskiej upewniły pana w tym, kto odpowiada za tę tragedię?

Podkomisja nie może dokończyć swojej pracy, bo nie ma głównego dowodu, czyli wraku samolotu, a czarnych skrzynek Rosja nie odda nam nigdy, bo tak się Putin umówił z Tuskiem, że sprawę bierze na siebie. Nasz premier dokonał rzeczy niebywałej, oddając śledztwo sprawcy tego nieszczęścia. W całej historii awiacji nie zdarzyło się, aby rząd nie chciał mieć nic wspólnego z wyjaśnianiem przyczyn śmierci swoich obywateli. Tusk powinien stanąć przed Trybunałem Stanu za tę katastrofę.

To, że oddał śledztwo, jest akurat faktem, choć jednym z niewielu pewnych w tej sprawie…

Faktem jest też, że następnego dnia po tragedii wszystkie prorządowe media zaczęły powtarzać rosyjskie brednie, że zawinili piloci, że generał był pijany, że prezydent kazał lądować… Dla mnie to drugie kłamstwo katyńskie. Gdyby nie zrobili niczego złego, toby nie kłamali. Od początku chcieli ukryć tę zbrodnię… I od początku mieli ustalony „przekaz dnia" dla propagandy.

Jest pan pewien, że tam doszło do zbrodni? Ma pan na to dowody?

Nie mam żadnych dowodów, ale jestem o tym przekonany, bo wiem, z jaką łatwością przychodzi Rosjanom mordowanie Polaków. To, co się działo ze szczątkami ofiar, to już wyzywająca kpina, szyderstwo. To jest typowo rosyjska robota, nie muszę mieć żadnych dowodów, żeby wiedzieć, iż to ich sprawka. Kto chce, ten niech mnie skarży do sądu. Uważam, że zrobili to z premedytacją, a polski rząd w tym w jakimś stopniu uczestniczył. Wiem, że Macierewicz robi, co w jego mocy, by to wyjaśnić.

Na razie nie wyjaśnił, jednoznacznych dowodów brak.

Ja w swoich osądach nie muszę powoływać się na jednoznaczne dowody. Popieram każdego, kto próbuje wyjaśnić tę potworną zbrodnię.

Stwierdził pan: „Należy życzyć Polsce lepszej opozycji, bo ta jest tak głupia, że nawet na opozycję się nie nadaje". Jak to się więc dzieje, że Platformie rośnie poparcie? Nawet jeśli niektóre sondaże są wątpliwej jakości, to jednak pewna tendencja jest zauważalna. Może więc PiS popełnia jakieś błędy, które powinien naprawić?

Sondaże są kłamliwe. Może rośnie poparcie, może nie – to drugorzędna sprawa. Od dawna sondażownie straciły charakter obiektywnych ekspertów. Może i PiS popełnia błędy, jakieś tam na pewno…

Mówił pan niedawno, że dzięki rządom PiS już w 99 proc. „Polska jest Polską". Czego brakuje, by była nią w 100 proc.?

Ten 1 proc. to brak wolności wypowiedzi dla ważnego nurtu kultury, odwołującego się do tradycyjnych wartości. Budżety państwowe i samorządowe popierają kłamliwe filmy, nihilistyczne przedstawienia, zakłamane wydawnictwa… Uwaga! Jestem za pełną wolnością wypowiedzi, ale za własne pieniądze! Od 50 lat prowadzę instytucję kulturalną znaną w całej Polsce. Parę pokoleń Polaków wychowało się na refrenach, powiedzeniach, złośliwych uwagach autorstwa mojego i moich kolegów. I wciąż nie mamy lokalu, finansów, etatów, w wielu miastach nikt nie chce nam nawet sali wynająć. Dlatego czuję się prześladowany z powodów politycznych. Dopiero od pół roku mam wstęp do telewizji i radia, choć jeszcze ograniczony. Niestety, nadal w polskiej kulturze nad artystami o poglądach patriotycznych i konserwatywnych przewagę instytucjonalną oraz finansową mają ludzie, którzy wyrażają poglądy skrajne, obłąkane, haniebne. W teatrach dotowanych z publicznych pieniędzy mnóstwo jest spektakli, które szerzą degrengoladę, przerabiają klasykę narodową na jakieś świństwa, idiotyzmy. I na to jakoś znajdują się sale, etaty i pieniądze. Nie mam nic przeciwko wolnej sztuce, eksperymentom, ale niech to robią za prywatne pieniądze. Dlaczego państwo dotuje bluźnierstwa, a ja swój kabaret muszę prowadzić na własne konto?! Uwiera mnie też to, że władze Warszawy nie chcą się zgodzić na postawienie pomnika Bitwy Warszawskiej, na którego budowę zbieramy od kilku lat pieniądze z kolegami z Towarzystwa Patriotycznego. Pomniki to ważny element narodowego dziedzictwa. Dlaczego w bohaterskim mieście Warszawie stawia się sztuczną palmę z plastiku i absurdalną tęczę z wesołego miasteczka przed kościołem Zbawiciela, pomniki tandety i kiczu, a nie można postawić pomnika wiekopomnego zwycięstwa?

> **Czuję się prześladowany z powodów politycznych. Dopiero od pół roku mam wstęp do telewizji i radia, choć jeszcze ograniczony**

Racja, że największe zwycięstwo w historii polskiego oręża jest niesłusznie zapomniane, zasługuje na wielkie upamiętnienie. Może jednak oprócz pomnika jeszcze jakaś bardziej aktywna i popularyzatorska forma tej pamięci by się przydała?

W aktywny sposób to moi przodkowie szli z bagnetami na Moskali.

A czy kawałek kamienia wystarczająco rozbudzi w młodych Polakach dumę ze zwycięstwa?

Nie wiem, czy „wystarczająco". Nie wiem, czy „rozbudzi" dumę młodych lub starych. Wiem, panie redaktorze szanowny, że udany pomnik nie jest kawałkiem kamienia, lecz dziełem sztuki. Tak jak książka nie jest jedynie papierem. Pana tygodnik również, bo ja nie udzielam wywiadów dla wytwórni papieru. Wróćmy do meritum. Symbolem Warszawy na wszystkich pocztówkach jest pałac Stalina. To obelga dla żyjących pokoleń i dla bohaterów poległych w walce z bolszewikami w obronie stolicy. Edukacją zajmuje się ktoś inny. Mam nadzieję, że minister Macierewicz będzie wychowywał żołnierzy na tych pięknych tradycjach, żeby wiedzieli, iż trzeba się bić z bronią w ręku w obronie ojczyzny, swoich rodzin i swojego miasta. Ja całą wojnę przeżyłem w Warszawie, widziałem to miasto w gruzach, więc dla mnie pomnik jest sprawą honoru. Pomnik, a nie – jak to proponują władze stolicy – kładka rowerowa im. Bitwy Warszawskiej. Cały czas trwa walka z polskimi symbolami, ponieważ nasi okupanci – Niemcy i Rosjanie – nie życzyli ani nie życzą sobie, żeby stawiać pomniki polskiemu bohaterstwu. Nie można było liczyć na to, że Bitwę Warszawską godnie upamiętnią PO czy SLD. Jedynie pod rządami Prawa i Sprawiedliwości możliwe jest wybudowanie pomnika tego wielkiego wydarzenia.

Rafał A. Ziemkiewicz zauważył jakiś czas temu, że na PiS zaczęli narzekać taksówkarze, co jego zdaniem może być złym znakiem dla rządzących. A co pan na temat władzy słyszy od swoich widzów, od swoich fanów?

eprasa.pl be20e2503b

Jeśli Rafał nauczy się kiedyś prowadzić samochód, to zauważy inne znaki. „Głos ludu", który do mnie dociera, jest entuzjastyczny. Oczywiście trzeba pamiętać, że na moje występy przychodzą ludzie o określonych poglądach. Każdy artysta ma swoją publiczność. Sale wypełniają się po brzegi podczas programu „Niech żyje Polska". To wielogodzinny koncert z bardzo prostym przesłaniem – Polska jest na nowej, dobrej drodze. Kiedy rozmawiam z ludźmi, uśmiechają się i pełni nadziei pytają: „Panie Janku, ile nam jeszcze zostało, żeby Polska była Polską?". I to jest nasze zmartwienie – trzeba zniwelować te ostatnie przeszkody na drodze do takiej Polski, z jakiej będziemy zadowoleni.

Oglądał pan „Ucho prezesa"?

Nie.

No tak, nie cierpi pan współczesnego, nowego kabaretu...

Skąd pan wie, że „nie cierpię"? Zbyt silne emocje pan mi przypisuje. Poza „Uchem prezesa" nie oglądam również nosa dyrektora, nogi naczelnika ani d... burmistrza. Poza tym jaki on nowy?! To są ludzie w średnim wieku. Z premedytacją tego nie oglądam, choć pewnie są tam zdolni ludzie, ja tego nie neguję. Natomiast o ich zaistnieniu decydują stare cwaniaki – właściciele mediów, telewizji i radia, które przez dziesiątki lat były na usługach Moskwy czy Berlina. Mój kabaret, który mówi o sprawach polskich po polsku, był rugowany. Kiedy gdzieś dyrektor jakiegoś domu kultury zezwolił na mój występ, tracił pracę. Z mojej rodzinnej Warszawy wyrzucili mnie na 10 lat, łajdaki. Dla elit III RP jestem elementem wywrotowym. A kiedy przed rokiem pokazali mnie w niszowej telewizji Kultura na spotkaniu w Klubie Ronina, natychmiast w „Gazecie Wywywyborczej" pojawił się napastliwy artykuł. Wypomnieli mi, że byłem w partii i ZMP. Tak, byłem, ale jako kadeta szkoły wojskowej z dobrymi stopniami automatycznie mnie tam zapisano! „Jaruzel", morderca Polaków, podoba się michnikowszczyźnie, ale moja krótkotrwała partyjność w wieku młodzieńczym już ich razi! Z tym że ja potrafiłem się wyzwolić z tego, co mi tamten system wbijał do głowy. Powinienem być stawiany jako przykład. Taki Jaruzelski bowiem nie zmądrzał, a ja – prosty porucznik radiolokacji – zrozumiałem, jakim świństwem był socjalizm. I mówiłem publicznie, że socjalizm jest jak papier toaletowy: ciągle się rozwija i zawsze do d...

Wracając do satyry... Pan „Ucha prezesa" nie oglądał, ale Polska tym żyje. Lewica szuka w tym serialu demaskacji „Kaczora dyktatora", a PiS dostrzega ocieplenie wizerunku Kaczyńskiego. Czy nie ma pan wrażenia, że jesteśmy jako naród tak podzieleni politycznie, iż nie umiemy się śmiać ponad tymi podziałami?

Kabaret jest po to, żeby szydzić, to naturalne. Natomiast ja tego nie oglądam, bo mnie to nudzi. Nudzą mnie te miny, przebieranki, to są głupoty jakieś. Pod Egidą występowali rozumni ludzie, wybitni artyści: Dałkowska, Rudzki, Fronczewski, Kaczmarski... Robiliśmy kabaret dla inteligencji: czasem jakieś mocniejsze słowo, ale w konkretnym, uzasadnionym kontekście. To był rodzaj inteligentnej rozmowy z widownią. Współczesny kabaret to styl Benny'ego Hilla czy Jasia Fasoli. Nie cenię tego gatunku, mnie to drażni. Nie mam nic przeciwko temu, że ktoś robi satyrę na PiS, niech mu będzie, przecież nie jestem zwolennikiem cenzury, tylko proszę ode mnie nie wymagać, bym to komentował, bo mam ważniejsze sprawy na głowie, np. kot właśnie wywalił doniczkę, łobuziak.

A może poziom współczesnego kabaretu jest odzwierciedleniem poziomu całego społeczeństwa?

Społeczeństwo jest ogłupiane przez media, które przez długi czas były własnością manipulatorów oszustów. Polska miała być przedstawiana przez pryzmat „Świata według Kiepskich". W filmach i serialach, kręconych przez ostatnie dwadzieścia kilka lat, powtarzany jest stereotyp Polaka jako brudnego, pijanego, szczerbatego antysemity. Ten fałszywy obraz sam nie powstał, został celowo ukształtowany przez wrogów Polski, którzy wciąż działają. To pedagogika wstydu, przemysł pogardy. Takie formy zwalczania polskości są wymyślane w sztabach wojskowych.

Ryszard Petru ostatnio coraz gorzej radzi sobie na scenie politycznej. W sondażach dołuje, zrezygnował ze stanowiska szefa klubu swojej partii. Za to niezmiennie rozśmiesza całą Polskę. Może więc on powinien zrobić karierę w kabarecie?

Petru jest za głupi do kabaretu. Nie nadaje się na satyryka. Człowiek, który opowiada takie pierdoły, któremu wszystko się miesza, nie może być kabareciarzem. Kabaret wymaga precyzyjnego myślenia. Każdy żart jest zwartą strukturą. Musi być ekspozycja, trzeba w dobrym miejscu postawić przecinek i kropkę, w odpowiednim momencie musi wybrzmieć puenta. Petru tak nie potrafi, to jest ględziarz, gamoń.

A jak pan ocenia Pawła Kukiza? Czy, podobnie jak środowisko „Gazety Polskiej", uważa go pan za szkodnika, który niepotrzebnie rozprasza głosy prawicy należne jedynie partii Kaczyńskiego?

Ja Kukiza szanuję, lubiłem go jako rockmana. W jego twórczości muzycznej brakowało co prawda konsekwencji ideowej, ale za to już w polityce skupił się na konkretnych problemach, które w dość jasny i w efekcie przekonujący sposób wyłożył swojemu elektoratowi. Widocznie te postulaty są ważne dla tych kilkunastu procent wyborców. Dobrze, że jest takie ugrupowanie. Natomiast nie we wszystkim się z Kukizem zgadzam. Nie wiem, czy idea JOW jest Polsce potrzebna, bo żeby jednomandatowe okręgi mogły Polsce służyć, a nie szkodzić, potrzeba jeszcze kilkudziesięciu lat wychowania do życia w demokracji. Na razie ten system funkcjonował częściowo w samorządach i przyniósł negatywne efekty. Włodarz miasta, wybrany w JOW, okopuje się swoimi kolesiami, przekupuje całe otoczenie i wyrabia sobie pozycję nie do ruszenia. Dlatego w takich miastach jak G... czy W... powstają u władzy potężne sitwy, które robią milionowe straty, kradną działki i kamienice, dożywotnio zatrudniają swoje rodziny, tworząc coś na kształt średniowiecznych dziedzicznych latyfundiów.

Czyli co do JOW nie jest pan przekonany, ale generalnie ruchu Kukiz'15 chyba nie nazwie pan „niepotrzebnym ugrupowaniem"?

Lubię i cenię Kukiza. W polityce jak na razie żadnych szkód Polsce nie przyniósł, w odróżnieniu od partii, które pan lubi, czyli Platformy i Nowoczesnej...

A dlaczego niby miałbym je lubić?

Skoro pan ze mną polemizuje w ich obronie, to znaczy, że pan je popiera.

Nie bronię ich, tylko dyskutuję z panem na ich temat, by poznać pański pogląd.

Ale w czyimś imieniu!

W imieniu czytelników, którym ciekawiej będzie czytać odpowiedzi Jana Pietrzaka na trudne pytania, ale zostawmy to. Czy porażka rządu 1:27 z „kolonialnym administratorem Polski w imieniu Merkel i Putina" (jak nazwał pan kiedyś Tuska) nie jest obciachem?

Z jednej strony w sensie socjotechnicznym nie było to zręczne. Z drugiej bardzo przykre jest, że Polskę reprezentuje

eprasa.pl be20e2503b

w świecie człowiek, który na to nie zasłużył. I dlatego bardzo dobrze się stało, że wyszła na jaw prawda: Tusk w rzeczywistości jest reprezentantem nie Polski, lecz Niemiec.

Racja, tylko czy nie lepiej byłoby wcześniej zacząć kampanię przeciwko niemu, z wyprzedzeniem przygotować kontrkandydata, żeby nie ponieść tak sromotnej klęski?

Takie gabinetowe dywagacje są sprawą drugorzędną. Najważniejsze, że pokazaliśmy, iż nie chcemy popierać człowieka, który szkodzi Polsce. Widział pan, jak ostatnio Tusk spędził tłum, żeby poudawać, że przyjechał spotkać się z rodakami, podczas gdy to prokurator go wezwał?! On ma na swoim koncie wielkie grzechy wobec narodu polskiego. Dlatego pod żadnym pozorem nie można go popierać. Niezależnie od tego, czy na Tuska zagłosowałoby 27 krajów UE czy 150 krajów ONZ, nie można się godzić, żeby ten szkodnik reprezentował Polskę! To są sprawy fundamentalne, tu nie ma miejsca na jakieś tam kombinacje.

W mediach lewicowo-liberalnych robi się z Tuska męczennika.

Media lewicowo-liberalne są częścią tego układu, który niszczy Polskę, więc to nie są żadne autorytety. Tusk to miglanc, Europa jest pełna takich cwaniaczków, którzy dorywają się do władzy i pieniędzy, kręcą swoje lody, w nosie mając społeczeństwo.

Nie obawia się pan, że Tusk wróci na białym koniu i wygra z PiS?

Ja się niczego nie obawiam. Przeżyłem wojnę, przeżyłem Hitlera i Stalina, więc nie boję się takich typków jak Tusk. Opisuję go od początku jego kariery. Śpiewałem piosenkę „Plagi Tuska". W moim nielegalnym, zakazanym kabarecie prowadziłem cały program „Tuskalia". Tusk to bardzo podejrzana figura, bardzo szkodliwa dla Polski.

Prezydent Andrzej Duda zapowiedział referendum konstytucyjne w przyszłym roku. A co pan by zmienił w naszej ustawie zasadniczej?

Moim zdaniem powinniśmy mieć system czysto prezydencki. W czasach, gdy u naszych sąsiadów rządzili despoci, mordercy i bandyci, w Polsce nawet króla się wybierało, bo już wówczas byliśmy demokratycznym, wolnym narodem. Trzeba nawiązać do tej demokratycznej tradycji. Jeżeli wybiera się prezydenta, to on powinien sprawować realną władzę, a nie, jak obecnie, być jedynie kwiatkiem przy stole prezydialnym. W USA prezydent ma władzę, bo naród mu ją dał. W Polsce wybrany przez naród prezydent ma niewiele do gadania. Tak to zostało ustawione przez macherów z Magdalenki.

Czego jeszcze, jako zwolennik PiS, oczekuje pan od władzy poza wspomnianą wolnością słowa?

Łagodzenia napięć. Niepoddawania się presji ataku wrogich partii. Wiem, że to niełatwe. Mnie już czasami puszczają nerwy, ale ja jestem stary i mam zaświadczenie od lekarza, że mogę się denerwować i machać rękami. Nawet za komuny nie było takiego chamstwa jak za rządów PO. Tacy ludzie jak Niesiołowski czy Palikot niszczyli debatę w Polsce za pomocą języka obelg i pogardy. To dywersanci, winni tej wojny polsko-polskiej. Przez dziesiątki lat w kabarecie wykładałem teorię wspólnoty śmiechu. Na moje występy zawsze przychodzili ludzie różnych poglądów, ale od kiedy Tusk i jego ludzie podzielili społeczeństwo, wspólne poczucie humoru coraz trudniej utrzymać…

Wałęsa jest jednym z największych rozczarowań w moim życiu. Chociaż to człowiek prosty, popierałem go, ponieważ wierzyłem w jego uczciwość

Czytelnik „Gazety Wyborczej" czy wyborca Nowoczesnej raczej na pański występ nie przyjdzie…

To pan tak spekuluje. Kabaret powinien służyć wszystkim opcjom politycznym. Nie robię kabaretu partyjnego. To nie ja się do PiS przyłączyłem, tylko PiS do mnie. Nie było jeszcze tej partii, a ja już byłem i głosiłem swoje poglądy, których nie zmieniam co do podstaw.

Jednak jeżeli pan sam wyzywa opozycyjne partie od głupków, to obraża pan też ich wyborców. Ciężko w ten sposób budować wspólnotę śmiechu.

Ja nie wyzywam, ja zauważam, by zmądrzeli. Nie mam nic przeciwko temu, żeby PO wydała oficjalny komunikat o treści: „W poczuciu odpowiedzialności za Polskę zgadzamy się co do tych punktów w programie PiS, które uważamy za pozytywne, a co do innych mamy odmienne zdanie". Zamiast tego opozycja wychodzi na ulicę i rzuca obelgi. Ja to tylko komentuję. Niech mnie pan w tę wojnę nie miesza. Rząd powinien wypracować jakiś mechanizm łagodzenia sporów. Znaleźć sposób, by nie poddawać się presji obelg, świństw, bezczelnych ataków, których celem jest dzielenie Polaków.

Autorytetem totalnej opozycji jest dziś Lech Wałęsa, który wprost nawołuje do fizycznej rozprawy z rządem.

Wałęsa jest jednym z największych rozczarowań w moim życiu. Chociaż to człowiek prosty, niewykształcony, popierałem go, ponieważ wierzyłem w jego uczciwość, której przecież w Polsce brakuje. To przykre, że okazał się kimś zupełnie innym. Przeżyłem wiele rozczarowań, wiele ustrojów… W latach 70. śpiewałem: „Muszę przeżyć jeszcze paru skurwysynów". I udało mi się przeżyć wielu skurwysynów, ale złudzeń nie mam – wszystkich nie przeżyję.

Żartował pan z każdej władzy. Nie chce pan żartować z PiS. Naprawdę doświadczony satyryk nie ma się dziś z czego śmiać, patrząc na działania władzy?

Obiecałem publicznie, że na początek ich trudnej misji naprawy Polski nie będę żartował z PiS, i z tej obietnicy się nie wycofuję. Pół wieku pracowałem na tę sytuację, by w Sejmie, Senacie, Pałacu Prezydenckim, w rządzie nie było już komuny. Od 1967 r. prowadziłem antykomunistyczny kabaret. Byłbym nierozumnym hipokrytą, gdybym wyparł się swojego hasła: „Żeby Polska była Polską" tylko dlatego, by wykpić jakąś śmiesznotę władzy.

Nie należy się im choćby dyscyplinująca satyra?

Niech się śmieje, kto chce. Ja nie będę, bo polityków PiS bardzo cenię i życzę im powodzenia.

A czego można życzyć Janowi Pietrzakowi z okazji 80. urodzin i jubileuszu 50-lecia Kabaretu pod Egidą?

Lokalu w Warszawie, żebyśmy mogli spokojnie występować co tydzień w jednym miejscu, bo lata lecą i mam coraz mniej siły na podróże po Polsce. Przydałoby się też zdrowie, choć miałem jak na razie tylko jeden zawał, a to w zasadzie niewiele jak na mój wiek (śmiech). Piosenkę na ten temat napisałem wyprzedzająco w latach 70. z muzyką J. Wasowskiego „Po pierwszym zawale, po drugim rozwodzie, po trzech małych piwach pod kioskiem…" i jest to utwór optymistyczny od początku do końca!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Radisson BLU
RESORT, ŚWINOUJŚCIE

ODLICZAMY CZAS DO OTWARCIA!

14 LIPCA 2017

-25%
na rezerwacje dokonane
do 15.06.2017

340 PRZESTRONNYCH POKOI Z WIDOKIEM NA MORZE

RESTAURACJE I BARY Z MORSKĄ SCENERIĄ ZA OKNEM

BASEN Z ILUZJĄ NIESKOŃCZONOŚCI NA DACHU

AQUAPARK Z PIERWSZĄ W POLSCE SZTUCZNĄ FALĄ DO SURFINGU

SALA BALOWA NA 1 000 OSÓB

50 M OD PIASZCZYSTEJ PLAŻY

Radisson Blu Resort, Świnoujście
al. Baltic Park Molo 2
+ 48 91 40 40 700
reservations.swinoujscie@radissonblu.com

eprasa.pl be20e2503b

Wojny rządowe

Wojciech Wybranowski

Partia rządząca potrzebuje „nowego otwarcia", bo konfliktów w dużym i małym pałacu jest coraz więcej

Koniec kwietnia, pospiesznie zwołane spotkanie premier Beaty Szydło z ministrami. Powód? Informacje o kolejnym konflikcie w jej gabinecie przedostały się do opinii publicznej. Tym razem poszło o słowa minister Anny Streżyńskiej, która w wywiadzie udzielonym Radiu Zet skrytykowała część pomysłów rządu, przyznała też, że nie zgadza się z propozycjami Antoniego Macierewicza. Zawrzało, bo od dawna tajemnicą poliszynela było to, że Macierewicz ma chrapkę na przejęcie spraw związanych z cyberbezpieczeństwem. Spotkanie miało uspokoić atmosferę. Na jakiś czas, bo choć szefowa rządu twierdzi, że nie przewiduje jego rekonstrukcji, to w kuluarach PiS mówi się, iż staje się ona nieunikniona.

Według naszych rozmówców na spotkaniu premier miała zażądać zmian w komunikacji ministrów z mediami.

– Była wściekła, że znów doszło do publicznego starcia – mówi „Do Rzeczy" jeden z ministrów. – Wydała decyzję, że każdy minister musi informować ją o tym, na jaki temat i komu udziela wywiadu, ona musi się na to zgodzić. Niby to formalność, ale nie jestem przekonany, jak i czy będzie w stanie to ogarnąć – dodaje.

Nasi rozmówcy twierdzą, że otoczenie szefowej rządu szykuje też propozycje zmian dotyczących sposobu komunikacji członków jej gabinetu z mediami. Ma to z jednej strony usprawnić przekaz, z drugiej dać premier wiedzę „wyprzedzającą" o tym, co może się pojawić w publicznej debacie.

eprasa.pl be20e2503b

FOT. MAKSYMILIAN RIGAMONTI/REPORTER

Minister Elżbieta Witek, szefowa gabinetu politycznego premier, zaprzecza takim planom: – W moim przekonaniu narracja rządu z mediami i opinią publiczną jest spójna, rzecznik na bieżąco kontaktuje się z ministrami, na razie nie ma potrzeby wprowadzania żadnych zmian – przekonuje.

Na pewno? Kilka źródeł w rządzie potwierdza nam, że zmiany są. – Na razie jest tak, że trzeba zgłaszać wywiady: który minister i gdzie – mówi „Do Rzeczy" współpracownik jednego z ministrów.

– Jakie będą dalsze pomysły, trudno powiedzieć. Słyszymy tylko, że kilka rzeczy w komunikacji ma się zmienić.

Polityczny plan, który za tym stoi, prawdopodobnie zakładał wyciszenie w mediach informacji o sporach w rządzie w ciągu kilku tygodni. Tuż przed wakacjami (1 lipca) PiS chce zorganizować kongres programowy, który – jak nieformalnie mówi się w partii – ma być „nowym otwarciem".

– Nie należy się spodziewać wielkiego kongresu programowego, takiego

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 21 maja 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~
29,90 zł

2.

~~49,90 zł~~
32,50 zł

3.

~~39,90 zł~~
31,90 zł

4.

~~59,90 zł~~
39,50 zł

5.

~~39,90 zł~~
26,50 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl be20e2503b

na wzór organizowanych wcześniej w Katowicach, Poznaniu czy Krakowie. Będzie to krótsze spotkanie z czytelnym przekazem – ujawnia „Do Rzeczy" wicemarszałek Ryszard Terlecki, szef Klubu Parlamentarnego PiS. Jaki to będzie przekaz? – To będzie nasza ocena obecnej sytuacji i postulaty, propozycje, które będziemy realizować w kolejnych miesiącach. Coś w rodzaju „uaktualnionego exposé" – tłumaczy polityk PiS.

Jednak pomysł wyciszenia wewnętrznych sporów nie do końca się udał. Tuż przed długim majowym weekendem do dymisji podał się Marek Magierowski, rzecznik prezydenta Andrzeja Dudy.

TARCIA W PAŁACU

Magierowski po złożeniu dymisji – oficjalnie z powodów osobistych – publicznie nie zabrał już głosu. Wiadomo jednak, że swoją dymisją uprzedził fakty. Od dłuższego czasu jego odwołania domagali się Nowogrodzka oraz część ludzi z otoczenia prezydenta. Nasze źródła wskazują też, że za dymisją mógł stać Krzysztof Szczerski, sekretarz stanu i szef gabinetu prezydenta, od samego początku niechętny Magierowskiemu. Konflikt miał dotyczyć tego, kto będzie miał większy wpływ na „politykę zagraniczną" głowy państwa. Według naszych informatorów Magierowski nie jest jedyną osobą, która w najbliższym czasie może odejść z KPRP. Mówi się o możliwej rezygnacji Małgorzaty Sadurskiej, szefowej Kancelarii Prezydenta.

Kilka miesięcy wcześniej w Kancelarii Prezydenta ministra Macieja Łopińskiego zastąpił Paweł Mucha, którego wpływy wciąż rosną. Za „rozgrywających" w prezydenckim pałacu oprócz Szczerskiego uważa się Piotra Agatowskiego, PR-owca i jednego z twórców sukcesu kampanii wyborczych Andrzeja Dudy i Beaty Szydło. To on odpowiadał za strategię obecnego prezydenta przed II turą wyborów, a później doradzał też Szydło. Według tygodnika „Wprost" jest łącznikiem między małym a dużym pałacem.

WOJOWNICZY MINISTER OBRONY

Tuż przed odejściem Magierowski pomógł prezydentowi stoczyć prestiżową walkę z Antonim Macierewiczem o to, kto ma mieć decydujące zdanie w kwestii polskich sił zbrojnych.

Podjazdowa wojna, w której szef MON starał się podważać pozycję prezydenta, nie jest jedyną, którą toczy. W PiS mówi się, że od dłuższego czasu Macierewicz starał się kreować na polityka niezależnego od Jarosława Kaczyńskiego. Długi brak reakcji na jednoznaczne sugestie prezesa PiS, który oczekiwał dymisji Bartłomieja Misiewicza, w partii został odebrany jednoznacznie: jako próba sił z liderem.

– Antoni doskonale wie, że żadnej wojny z Kaczyńskim nie wygra. Dlatego się postawił, pokazał, że może sobie na dużo pozwolić, i ostatecznie się wycofał. Było to zagranie adresowane do jego zwolenników: „zobaczcie, jaki silny jestem, nie boję się prezesa" – uważa jeden z działaczy z Nowogrodzkiej.

Macierewicz ma silne zaplecze medialne – środowisko „Gazety Polskiej", w którym jest postrzegany jako potencjalny następca Kaczyńskiego. To akurat wcale nie jest takie pewne, bo grupa ludzi od lat związanych z Kaczyńskim i określanych mianem Zakonu PC „drugiego po prezesie" widzi w sprawnym organizacyjnie i medialnie Joachimie Brudzińskim.

Najbardziej „krwawy" charakter ma walka, którą toczy Krzysztof Czabański, szef RMN, z prezesem TVP Jackiem Kurskim

Macierewicz rywalizuje również z ministrem Zbigniewem Ziobrą, a jednym z pól w tej bitwie jest śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej. Szef MON ma też cichy, choć ostry zatarg z Mariuszem Kamińskim, koordynatorem służb specjalnych w rządzie Beaty Szydło i byłym szefem CBA. Tutaj chodzi o kontrolę nad wojskowymi służbami specjalnymi, które dziś podlegają Macierewiczowi.

Z kolei z Kamińskim rywalizuje szef MSWiA – Mariusz Błaszczak. Nie przepada za nim także minister sprawiedliwości.

Pod koniec kwietnia wśród posłów PiS i pracowników biura parlamentarnego partii zaczął krążyć dokument z kilkunastoma nazwiskami osób zasiadających w państwowych spółkach i instytucjach publicznych, które mają być związane z wicepremierem Mateuszem Morawieckim. Wśród nich wymienieni byli m.in. Michał Kuczmierowski, były dyrektor marketingu PO, wiceminister Jan Dziedziczak i Piotr Agatowski. Listę ujawnił na Twitterze dziennikarz Radia Zet Mariusz Gierszewski. Wśród posłów PiS, którzy listę widzieli, panuje przekonanie, że przygotowali je ludzie Ziobry. – Absurd. My nigdy byśmy sobie nie pozwolili na tak słaby materiał – oburza się w rozmowie z „Do Rzeczy" jeden z ludzi ministra sprawiedliwości.

Wojna Ziobry z Morawieckim zaczęła się praktycznie pierwszego dnia powołania nowego rządu. W tej batalii ostatnio Ziobro okazał się skuteczniejszy, choć pierwsze celne ciosy zadał minister rozwoju. Pod koniec marca Rada Nadzorcza PZU odwołała z funkcji prezesa tej spółki Michała Krupińskiego, osobę kojarzoną z Ziobrą. Minister sprawiedliwości miał w tej sprawie interweniować na Nowogrodzkiej, protestować, że naruszy to nieformalny podział wpływów zawarty przy tworzeniu rządu i narzekać na coraz mocniejszą pozycję Morawieckiego.

Interweniować miała też premier, która sama silnie rywalizuje z Morawieckim. W kwietniu Beata Szydło odebrała nadzór nad PZU Morawieckiemu, a nowym prezesem PZU został Paweł Surówka. To były doradca prezesa zarządu PKO BP uważany za człowieka Ziobry.

Mateusz Morawiecki jest też od dłuższego czasu w ostrym konflikcie z popularną wśród elektoratu PiS minister Elżbietą Rafalską, szefową Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Ściera się też z Konstantym Radziwiłłem, szefem resortu zdrowia, i z Krzysztofem Tchórzewskim, szefem Ministerstwa Energii. Do największych sojuszników Morawieckiego należy wicepremier Jarosław Gowin.

BITWA TELEWIZYJNA

Większość sporów w rządzie ma charakter ambicjonalny i raczej nie doprowadzi do pęknięć. Zdecydowanie bardziej „krwawy" charakter ma walka, którą toczy Krzysztof Czabański, przewodniczący Rady Mediów Narodowych, z Jackiem Kurskim, prezesem TVP. Po obu stronach tego sporu ustawiło się kilku ministrów. Czabańskiemu nie udało się kilka miesięcy temu doprowadzić do usunięcia Kurskiego z TVP, ale w środowisku PiS panuje przekonanie, że nie dał za wygraną. Niedawno, podczas jednego z prywatnych spotkań, w którym uczestniczyli ludzie mający spory wpływ na Jarosława Kaczyńskiego, Czabański zasugerował, że niebawem „Kurski będzie musiał odejść". W mediach pojawiły się już spekulacje na ten temat, krytyczne dla Kurskiego. Z naszych informacji wynika, że materiałów wycelowanych w szefa TVP może przybywać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

Nasz Narodowy Wytwórca

Karta Dużej Rodziny

MIKROTEKSTY

Widoczne przez szkło powiększające mikrodruki, wkomponowane w tło dokumentu.

TLE

Jedenastocyfrowy transparentny element, personalizowany laserowo (grawerowany).

OVI®

Farba optycznie zmienna – elementy graficzne wykazujące wyraźną zmianę barwy w zależności od kąta obserwacji.

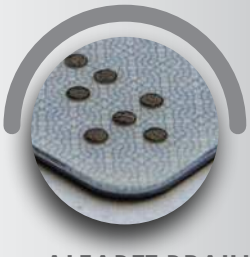

ALFABET BRAILLE'A

Znaki umożliwiające zapisywanie i odczytywanie informacji osobom niewidomym.

www.pwpw.pl

eprasa.pl be20e2503b

Kamila Baranowska

Wbrew temu, co twierdzą krytycy PiS, ostatnie półtora roku nie było czasem całkowicie straconym. Z punktu widzenia państwa poprawa jest widoczna przynajmniej na kilku płaszczyznach

Co się udało

Mija 17 miesięcy od wygranych przez PiS wyborów i od powołania rządu Beaty Szydło. Wbrew temu, co twierdzą krytycy tej partii, nie było to wyłącznie pasmo klęsk. Wśród mniejszych i większych wpadek, błędów i zaniechań są również sprawy, za które da się ekipę rządzącą pochwalić.

„500+" I RODZINA

Program zdaniem krytyków PiS miał okazać się niemożliwy do realizacji, zrujnować budżet państwa, doprowadzić do upadku gospodarkę, sprawić, że kobiety będą masowo rezygnować z pracy, a pieniądze zamiast trafiać na potrzeby dzieci, będą przez Polaków przepijane. – W budżecie państwa na rok 2016 nie ma środków na tego rodzaju pomysły i tego rodzaju ustawy – przekonywała w kampanii wyborczej premier Ewa Kopacz. Tymczasem pierwsze wypłaty z programu „500+" ruszyły już w maju 2016.

Dzisiaj Platforma zmienia zdanie na temat „500+" i nie bacząc już na budżet, proponuje nawet rozszerzać program także na pierwsze dziecko (pod warunkiem, że rodzice pracują lub poszukują pracy).

Jeszcze zanim program ruszył, Komisja Europejska prognozowała, że jego skutkiem będzie destabilizacja finansów publicznych kraju. Dzisiaj Bank Światowy prognozuje, że wzrost polskiej gospodarki przyspieszy w 2017 r. do 3,3 proc. z 2,8 proc. w 2016 r., m.in. dzięki działaniu programu „500+", który nakręca gospodarkę.

Czy program „500+" spełnia swoje główne zadanie, czyli przyczynia się do wzrostu dzietności? Na razie trudno to jednoznacznie ocenić. Dane GUS wskazują, że w 2016 r. urodziło się 13 tys. dzieci więcej niż w 2015 r. Tylko w grudniu 2016 r. urodziło się prawie 6 tys. więcej dzieci niż rok wcześniej, z kolei „Dziennik Gazeta Prawna" donosi na podstawie danych NFZ i systemu PESEL, że jeśli tendencja wzrostowa się utrzyma, to w tym roku urodzi się ponad 400 tys. dzieci. „Ostatni raz czwórkę z przodu zanotowano w 2010 r." – czytamy.

Program „500+" realnie przyczynił się do ograniczenia ubóstwa wśród dzieci. Jak dowodzi raport Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu, odsetek dzieci żyjących w skrajnej biedzie zmniejszył się o 94 proc. Według danych Banku Światowego, na które powołuje się raport, przed wprowadzeniem „500+" poniżej minimum egzystencji żyło 11,9 proc. dzieci w Polsce, obecnie jest to 0,7 proc.

W działania na rzecz rodziny wpisują się także zmiany w kodeksie rodzinnym i opiekuńczym, dotyczące procedury odbierania dzieci rodzicom z powodu ubóstwa. W życie weszła także nowelizacja ustawy, pozwalająca skuteczniej ścigać rodziców niepłacących alimentów.

NISKIE BEZROBOCIE, PODATKI I DANE GUS

Najnowsze dane resortu pracy mówią, że w kwietniu bezrobocie wyniosło 7,7 proc. To najniższa stopa bezrobocia od 26 lat (porównywalna była w 1991 r.). Bezrobocie w Polsce spada regularnie od czterech lat. Prognozy Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej mówią, że do końca roku spadnie ono do 7 proc. – 7 proc., a nawet pojawiają się lepsze prognozy. Wolimy być oszczędni, 7 proc. to i tak będzie bardzo niskie bezrobocie, niespotykane dotąd w Polsce – stwierdziła minister Elżbieta Rafalska. Bezrobocie spada przy jednoczesnym ustaleniu przez PiS minimalnej stawki godzinowej (13 zł) i najniższego wynagrodzenia (2 tys. zł brutto).

eprasa.pl be20e2503b

FOT. ŁUKASZ PIECYK/REPORTER

PiS

Optymistycznie nastrajają również ostatnie dane GUS za marzec. Przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw wzrosło o 5,2 proc. rok do roku, zaś zatrudnienie zwiększyło się o 4,5 proc. rok do roku. W marcu wzrosły także produkcja przemysłowa (o 11,1 proc. rok do roku) oraz sprzedaż detaliczna (o 9,7 proc. rok do roku). Z kolei w budownictwie produkcja w ujęciu miesięcznym wzrosła aż o 49,4 proc. (17,2 proc. rok do roku). Wicepremier Mateusz Morawiecki prognozuje, że spodziewany wzrost PKB w 2017 r. wyniesie ponad 3 proc., a w latach 2019–2020 nawet 3,9 proc.

Pierwszy kwartał 2017 r. to także rekordowy wzrost ściągalności VAT na poziomie 40 proc. Chociaż sam resort finansów nie ma złudzeń, że taki wzrost uda się utrzymać (jednorazowe zaburzenie związane m.in. z wprowadzeniem odwrotnego obciążenia VAT w budownictwie oraz zniesieniem kwartalnych rozliczeń dla dużych firm), to jednak prognozy są optymistyczne. – Nie jest tak, że taka dynamika 40-procentowa. może się utrzymać w naturalny sposób – uważa wiceminister finansów Leszek Skiba. – Celem budżetowym w roku 2017 jest utrzymanie dynamiki co najmniej 11 proc. w kolejnych kwartałach – dodaje. Wzrost dotyczy nie tylko ściągalności VAT. Silne odbicie nastąpiło też w podatku PIT – o 15 proc. Ekspert i partner w firmie audytorskiej PwC Tomasz Kassel podsumował niedawno w „Rzeczpospolitej", że „przez ostatnie 1,5 roku rząd PiS bardziej uszczelnił system podatkowy niż poprzednicy przez 10 lat". Opozycja wytyka rządowi, że dziś stan finansów publicznych jest nawet gorszy niż przed kryzysem gospodarczym, wskazuje na wysoki deficyt strukturalny i dług publiczny. – W 2015 r. PiS odziedziczył gospodarkę, która szybko rosła, a jej wzrost przyspieszał. Sytuacja na rynku pracy była bardzo dobra – uważa prof. Andrzej Rzońca, ekonomiczny ekspert PO. Wskazuje też na załamanie rynku inwestycji.

SPOKÓJ MIMO NAPIĘTEJ SYTUACJI POLITYCZNEJ

Zważywszy na to, że od objęcia sterów władzy przez PiS na polskich ulicach regularnie odbywają się antyrządowe demonstracje, którym najczęściej towarzyszą gorące emocje, trzeba odnotować, że na żadnej z nich nie doszło do poważniejszych starć czy zamieszek, jak to bywało w przeszłości. Paradoksalnie PiS, któremu zarzuca się dławienie wolności i swobód obywatelskich, pod tym względem wypada o wiele lepiej niż wolnościowa Platforma.

Największy doroczny marsz, jakim jest Marsz Niepodległości, od 2015 r. odbywa się spokojnie, bez poszkodowanych, masowych aresztowań i walk z policją. Wcześniej co roku 11 listopada mieliśmy na ulicach Warszawy zniszczenia i awantury. – Ostatnie dwa Marsze Niepodległości pokazują, że jeżeli służby porządkowe są pozytywnie nastawione, to wszystkie problemy da się rozwiązać – mówił po ostatnim marszu jeden ze współorganizatorów Krzysztof Bosak. Wskazuje, że od 2015 r. współpraca z policją jest „bardzo dobra". – Za rządów PO niestety nie można było tego powiedzieć. Policja działała wówczas poza prawem, biła i gazowała spokojnych uczestników – oceniał. Jego zdaniem rozkazy dla policji idą zawsze od polityków. – Funkcjonariusze policji „nie wychylają się" sami z siebie, jeśli nie mają rozkazów – uważa Bosak.

W grudniu ubiegłego roku, gdy w Sejmie trwała okupacja sali obrad przez opozycję, emocje były napięte, a w tłumie nie brakowało prowokatorów, którzy liczyli na rozróbę. Policja reagowała ostrożnie i wstrzemięźliwie, unikając wchodzenia w starcie. Poprzednimi laty nie zawsze tak bywało. Do dziś media przypominają obrazki z protestu górników w lutym 2015 r., gdy policja użyła przeciwko demonstrującym broni gładkolufowej i gazu łzawiącego. Sprawa trafiła nawet do prokuratury, która śledztwo umorzyła, uznając, że policjanci nie przekroczyli swoich uprawnień. Dodajmy do tego nieustanne walki, które poprzednia władza toczyła z kibicami, z akcją „Widelec" na czele, gdy w 2008 r. zatrzymano 752 kibiców Legii Warszawa, 688 z nich usłyszało zarzuty. Całą akcję, za którą odpowiadał Grzegorz Schetyna, wówczas szef MSWiA, od początku okrzyknięto „polityczną ustawką". Jak informowała „Gazeta Polska" w 2016 r., po trwających kilka lat procesach zapadło dopiero sto wyroków, wszystkie uniewinniające.

Przy każdorazowej próbie oceny rządów PiS istotne jest kryterium, jakim się posługujemy. Jeśli bowiem przyjmiemy, że jest nim wypełnianie obietnic wyborczych, to do sukcesów trzeba też zaliczyć m.in. reformę edukacji, rozpoczęcie zmian w wymiarze sprawiedliwości, cofnięcie podwyższenia wieku emerytalnego, darmowe leki dla seniorów, zmiany w służbie zdrowia, a także cofnięcie reformy dotyczącej sześciolatków („Gazeta Stołeczna" informowała ostatnio, że w samej Warszawie 89 proc. dzieci z rocznika 2011 z woli rodziców zostanie w przedszkolach, a tylko 11 proc. pójdzie wcześniej do szkoły). Części tych zmian towarzyszą uzasadnione wątpliwości – zarówno o sam kierunek, jak i o to, czy nie dałoby się przeprowadzić ich lepiej, skuteczniej, lepiej od strony komunikacyjnej. Wciąż jednak faktem pozostaje, że jeśli chodzi o tempo wypełniania zapowiedzi z programu wyborczego, to PiS mógłby być stawiany za wzór dla innych partii. Zwłaszcza tych, które mają dziś problem z samym stworzeniem jakichkolwiek propozycji programowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Z Krzysztofem Łapińskim, nowym rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy
rozmawia Marcin Makowski

Prezydent nie musi się wybijać na niepodległość

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

MARCIN MAKOWSKI: Niemal równo dwa lata temu Andrzej Duda wygrał wybory prezydenckie. Marzy się panu powrót do wiosny 2015 r.? Życie było wtedy dla pana chyba prostsze.

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: Nie tyle prostsze, ile trochę inne. Nigdy nie zapomnę, ile pracy i nieprzespanych nocy kosztowała nas ta zwycięska kampania. W przeciwieństwie do Bronisława Komorowskiego nie szliśmy do wyborów jako pewniacy. Nie chciałbym się jednak cofać do przeszłości, pogrążać w sentymentach. Mam dużo bieżących wyzwań, trzeba patrzeć w przyszłość.

Mówi pan o pracy podczas kampanii, w innych wywiadach dodaje, że jest ona marnotrawiona. Przez kogo?

Kiedy mówię takie słowa, to z troską i nutą żalu, a nie po to, aby komuś personalnie dokopać. Za często musimy czytać i słuchać wypowiedzi, które nie powinny paść, a które fundują Prawu i Sprawiedliwości spadki poparcia. Wszyscy w Zjednoczonej Prawicy musimy stale pamiętać, że zwycięstwo wyborcze nie jest dane raz na zawsze, a niedługo przyjdzie weryfikacja. Niby coś oczywistego, a jednak...

Tylko dlaczego, gdy z krytyką występuje minister Anna Streżyńska, zarówno premier Szydło, jak i prezes Kaczyński publicznie ją karcą, twierdząc, że o podobnych sprawach rozmawia się za zamkniętymi drzwiami.

Zgadzam się, że pewne dyskusje muszą się toczyć wewnątrz partii, ale są takie chwile, gdy dziennikarze dopytują nas o kwestie ważne, i trudno nabierać wody w usta. W wypowiedzi minister Streżyńskiej dostrzegam dwa aspekty. Pierwszy to merytoryczne różnice z MON w zarządzaniu sektorem cyberbezpieczeństwa, drugi to pewien dystans do niektórych propozycji gospodarczych PiS. Ja uważam program „500+" za coś bardzo ważnego i pożytecznego i dostrzegam, że rząd zrobił wiele, aby uszczelnić ściągalność VAT, a pakiet paliwowy to kolejne miliardy wpływów do budżetu.

Podpisałby się pan pod słowami Marka Magierowskiego, że mniej wyrozumiała wobec szefowej resortu cyfryzacji Beata Mazurek ma braki intelektualne, które „może uzupełnić w szkole"?

Nie chcę oceniać tej wypowiedzi. Będę się starał używać takiego języka, który nie zaogni sytuacji na prawicy.

Niech mi pan powie, ale tak szczerze, czekał pan na ten moment, w którym będzie mógł porozmawiać z niektórymi osobami bez ciasnego garnituru partyjnego?

A wie pan, że faktycznie ostatnio mierzyłem garnitur z kampanii i już w niego nie wchodzę? (śmiech). Mówiąc poważnie, to nie jest tak, że robiło mi się w PiS ciasno. Nigdy nie podważałem istotnych punktów programowych partii, które przyniosły zwycięstwo. Jeśli coś krytykowałem, to tylko odstępstwo od naszych zobowiązań i wizerunku formacji przewidywalnej, która gwarantuje spokojne, bezpieczne i sprawiedliwe rządy. Rozumiem, że niektórzy interpretują mój wybór jako „wyciąganie sceptycznego posła z szeregów partii", ale to nieprawda. Wiem, co mnie skłoniło do podjęcia decyzji. W Andrzeju Dudzie widzę przyszłość polskiej polityki i swoją pracą chcę dołożyć cegiełkę do jego drugiej kadencji. Bez zwycięstwa Dudy w wyborach prezydenckich nie byłoby zwycięstwa w wyborach parlamentarnych. Trzeba pamiętać, że maj 2015 r. wyzwolił dynamikę społeczną, która dała kolejne zwycięstwo.

Wróćmy na chwilę do kulis pana nominacji, wokół której krąży wiele plotek. Kiedy otrzymał pan propozycję od prezydenta?

Uporządkujmy – po Świętach Wielkanocnych otrzymałem propozycję objęcia funkcji sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta, ale nie było mowy o zastąpieniu Marka Magierowskiego, bo nasze funkcje to zupełnie inne stanowiska. Po przemyśleniu sprawy przyjąłem ofertę przed weekendem majowym, ale co oczywiste, musiałem najpierw uporządkować sprawy związane z wygaszeniem mandatu poselskiego. Ze względu na wyjazdy zagraniczne Andrzeja Dudy nominacja miała być ogłoszona w maju.

To by sugerowało, że prezydent był zaskoczony decyzją swojego byłego rzecznika.

eprasa.pl be20e2503b

Czy był zaskoczony, nie wiem. Na pewno nikt na Marku Magierowskim nie wymusił żadnej decyzji.

Jednak faktem jest, że jako sekretarz stanu odpowiedzialny za komunikację Pałacu Prezydenckiego byłby pan jego przełożonym. Może się dowiedział i dlatego odszedł?

Nie chcę spekulować. Moja nominacja trzymana była w tajemnicy i szczerze wątpię, aby mogła być powodem jego decyzji. Mówiło się tylko, że będą zmiany, ale raczej nie podawano personaliów. To była również moja prośba, związana z pełnieniem mandatu posła.

Miał pan wątpliwości, gdy okazało się, że trzeba będzie wejść w jego buty? W końcu mówimy o inteligentnym dziennikarzu. Momentami ironicznym, sprawnie poruszającym się w mediach.

Cenię pracę Marka Magierowskiego jako rzecznika i dziennikarza, ale nie zamierzam wchodzić w czyjekolwiek buty, mam własne. Tym bardziej że nie będę dyrektorem biura prasowego, to stanowisko jest do obsadzenia.

I jak pan stwierdził u Roberta Mazurka, rekrutacja „odbędzie się bez szukania po asystentach posłów PiS". Aż tak się pan obraził na partię?

Miałem na myśli tylko to, że chciałbym kierować się kryterium kompetencji, a nie tym, że ktoś był asystentem posła, choć jedno drugiego nie wyklucza. Jest bardzo wiele kompetentnych osób z branży PR, które dobrze by się do tej funkcji nadawały.

Zmieniając nieco temat – jak pan odbiera pomysł prezydenta o ogłoszeniu referendum konstytucyjnego, podany bez szczegółów, bez uzgodnienia z własnym obozem politycznym, przy zaskoczeniu członków własnej kancelarii?

Prezydent przedstawił propozycję szerokiej dyskusji i referendum w sprawie zasadniczych kwestii ustrojowych. Obecna konstytucja pod wieloma względami jest niespójna, a 3 maja wydawał się ku temu dniem symbolicznym. Mam świadomość, że ten pomysł wywołał pewne napięcie, ale prezydent uważa, że obywatele mają prawo zabrać głos w sprawie swojej konstytucji, i chce im dać taką możliwość. Swojej decyzji z nikim nie konsultował, bo na konsultacje przyjdzie jeszcze czas. Ogłaszając propozycję referendum w taki, a nie inny sposób, spowodował, że nie można mu zarzucić uprzywilejowania konkretnych partii ani grup politycznych. Wszyscy dowiedzieli się w tym samym momencie i mają równe szanse udziału w dyskusji.

Mówi pan, że prezydent swoją propozycję przemyślał, ale wyborca nie ma pojęcia, czego może się spodziewać. Mają być pytania, ale ile i jak szerokie? Nawet przedstawiciele rządu nie kryją obaw.

Wszystko w swoim czasie, stopniowo będziemy prezentować kolejne punkty działania. Chciałbym, aby one wyszły od prezydenta.

Kto jest ojcem koncepcji zmiany konstytucji? Minister Elżbieta Witek mówi, że to nie prezydent, lecz Jarosław Kaczyński pierwszy zainicjował ten temat.

Ojcem pomysłu, aby na stulecie niepodległości przeprowadzić referendum konstytucyjne, jest Andrzej Duda. Natomiast co do samych propozycji zmian w przeszłości wypowiadało się wielu prawników, dziennikarzy, polityków, w tym również prezes Jarosław Kaczyński. Ta formuła, która została ogłoszona 3 maja, jest pomysłem prezydenta.

Skoro już jesteśmy przy prezesie PiS, mówił on niedawno, że obecna konstytucja jest postkomunistyczna. Andrzej Duda podziela jego zdanie?

Zależy, jaki jej aspekt oceniamy. Jeśli spojrzymy na fakty, tzn. kto miał większość w Zgromadzeniu Narodowym, które konstytucję uchwalało – a to można łatwo sprawdzić – to były to partie wywodzące się z poprzedniego systemu. Jednak wsparły ją także ugrupowania wywodzące się z opozycji solidarnościowej i została ona przyjęta w referendum.

Pytam nie bez powodu, bo zarówno Lech Kaczyński, jak i Andrzej Duda na tę konstytucję przysięgali.

Przecież to nie oznacza, że ktokolwiek podważa fakt jej istnienia. Ewentualne nazwanie jej „postkomunistyczną" nie oznacza jej negowania. Konstytucję przyjęto w wyniku debaty społecznej. Chociaż za jej przyjęciem głosowało 6,3 mln obywateli, na ponad 28 mln uprawnionych, a w referendum wzięło udział tylko 42 proc. uprawnionych, to została przyjęta zgodnie z prawem. Jednak lepiej by było, żeby dokument, który jest najwyższym prawem, został przyjęty przez większość obywateli.

Niech mi pan nie każe mówić, ilu obywateli zagłosowało na PiS albo Andrzeja Dudę.

Akurat na Andrzeja Dudę głosowało 8,5 mln obywateli, ponad 2 mln więcej niż za obecną konstytucją. Prezydent konstytucję uznaje i ją szanuje. Jednak nie jest ona Dekalogiem, po 20 latach od jej uchwalenia można ją poprawić, jeśli tak zdecydują Polacy. Prezydent chce dać obywatelom taką możliwość.

A może to po prostu próba „wybicia się na niepodległość"? Prezydent coraz częściej dystansuje się wobec byłej partii, wspomina się o możliwym zawetowaniu ustawy „Apteka dla aptekarza" czy reformy KRS.

Prezydent nie musi się wybijać na niepodległość, bo jest w swoim działaniu samodzielny. Każdą ustawę ocenia osobno i gdy realizuje ona jego program wyborczy, składa podpis. Gdy uzna, że jest z nim sprzeczna – nie podpisuje jej. Natomiast sprowadzanie niezależności prezydenta tylko do tego, czego nie chce podpisać, jest dużym nieporozumieniem.

Stosowanym w kampanii wobec Bronisława Komorowskiego.

Nasz zarzut wobec byłego prezydenta dotyczył nie tego, że podpisywał wszystko, tylko tego, co podpisywał. Mowa np. o szkodliwym podwyższeniu wieku emerytalnego, o którym podczas kampanii PO milczała.

Na koniec musi paść rytualne pytanie o „Ucho prezesa". Czy wizerunek „Adriana", który wiecznie czeka na wizytę u Jarosława Kaczyńskiego, zabolał Andrzeja Dudę?

Obserwowałem reakcje polityków opozycji na ten kabaret, gdy przedstawiał jedynie polityków prawicy. Gdy sami się w nim pojawili, już im do śmiechu nie było i nagle okazało się, że wcale nie tak dokładnie przedstawia kulisy polskiej polityki. Podobnie jest z pozycją prezydenta, ale mam świadomość dużego oddziaływania społecznego „Ucha prezesa". Nie zamierzamy dyktować kabaretom, co mają robić, zapędów cenzorskich nie mamy.

Czy prezydent traktuje start Donalda Tuska w przyszłych wyborach jako realne zagrożenie?

Pytanie, czy w 2020 r. będzie chciał startować. Dwa i pół roku to cała epoka w polityce. Donald Tusk dwukrotnie wygrał wybory parlamentarne, ale wybory prezydenckie przegrał. Na pewno pamięta, ile ciężkiej pracy wymaga kilkumiesięczna kampania, a na dodatek zawsze jest ryzyko porażki. To nie są szczyty Rady Europejskiej w Brukseli ani inne miłe wydarzenia dyplomatyczne. Poza tym Tusk byłby skonfrontowany z siedmioma latami swojego premierowania. Na razie więcej w tym spekulacji niż decyzji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Utracony atut

Łukasz Warzecha

Marek Magierowski chciał doprowadzić do emancypacji prezydenta. To nie mogło się spodobać twardemu jądru PiS

Napisz o Marku coś dobrego, co chcesz, i możesz mnie pod tym podpisać" – mówi jeden z moich rozmówców, analityk stosunków międzynarodowych. To reakcja wielu osób pytanych o byłego już rzecznika prezydenta Andrzeja Dudy. Moja byłaby zapewne podobna, gdyby ktoś inny, pisząc tekst o Magierowskim, spytał mnie o opinię. Przyznaję zatem – to jest tekst z tezą, ale z tezą dobrze przemyślaną i udokumentowaną.

Ponadprzeciętnie inteligentny erudyta, poliglota (biegła znajomość siedmiu języków!), obdarzony charakterystycznym, kąśliwym, zdystansowanym poczuciem humoru – te cechy przychodzą do głowy nie tylko mnie, lecz także większości moich rozmówców, którzy się z Magierowskim zetknęli. Wszyscy oni są też zgodni co do tego, że w Kancelarii Prezydenta stanowił atut. Jego poprzedniczka, Katarzyna Sroczyńska-Adamiak, osoba skądinąd niezwykle sympatyczna, nie miała praktycznie żadnego wpływu ani na wizerunek prezydenta, ani na to, co Andrzej Duda mówił, ani na to, jak komunikował się z mediami. Magierowski chciał to szybko zmienić, co dało się odczuć. Ruszył do działania z impetem, który jednak dość szybko zaczął wytracać na kolejnych rafach.

NIEKOMPATYBILNOŚĆ

Można postawić sobie pytanie: Dlaczego człowiek wiele wnoszący, tak cenny, pożegnał się z ośrodkiem prezydenckim w tak zaskakujący i jednak – mimo zachowanej na zewnątrz klasy – w tak gwałtowny i pełen żalu sposób? Poznaliśmy różne wersje wydarzeń, w tym takie, które – całkowicie bezzasadnie – przypisywały Magierowskiemu odpowiedzialność za te sfery prezydenckiego wizerunku, którymi się nie zajmował (należały do nich np. dobór zdjęć i prowadzenie transmisji internetowych z wydarzeń). Żadna jednak nie dotyka istoty problemu, którą są najlepsze cechy Magierowskiego jako człowieka – niekompatybilne z miejscem, w jakim się znalazł. I nie chodzi tu nawet konkretnie o kancelarię Andrzeja Dudy, ale o dzisiejszą polską politykę, w której jest miejsce dla lojalnych żołnierzy lub lisów wyćwiczonych w sztuce ketmanu, ale niekoniecznie dla nieprzeciętnie inteligentnych indywidualistów, którzy nie dojrzewali w atmosferze kompromisów typowych dla wymogów politycznej gry ani nie poznawali stopniowo wszystkich ograniczeń związanych z funkcjonowaniem wewnątrz polityczno-urzędniczego aparatu. Magierowski najzwyczajniej nie nadawał się na stojącego w szeregu urzędnika. Jego rola przy prezydencie mogła być taka jak niegdyś niemal demonicznego Alastaira Campbella przy Tonym Blairze, gdyby tylko Duda zdecydował się dać mu porównywalne pełnomocnictwa, kompetencje i obdarzył go podobnym zaufaniem, jakim swojego medialnego doradcę darzył były brytyjski premier. Stało się jednak inaczej.

„Jeśli Magierowski postanowi kiedyś wejść ponownie do polskiej polityki, to tylko z korzyścią dla niej" – mówi prezes Ośrodka Analiz Strategicznych Witold Jurasz. Z tym że nie wiadomo, czy będzie chciał i mógł. Magierowski przychodził do Kancelarii Prezydenta ze sporymi ambicjami – chciał być nie tylko rzecznikiem, lecz także kreatorem publicznego wizerunku Andrzeja Dudy, i to niewyłącznie w najbardziej podstawowym sensie, lecz także w skali strategicznej. Ambicje nie są niczym niewłaściwym w przypadku polityka, ale od początku były problemem w miejscu, gdzie znalazł się Magierowski. W KPRP jego formalna ranga była niższa niż osób, które musiałyby się choćby w niewielkim stopniu poddać jego pomysłom i sugestiom. Był bowiem jedynie dyrektorem biura, a nie sekretarzem lub choćby podsekretarzem stanu. Tymczasem w przeciwieństwie do ministrów urzędnicy prezydenta nie mają własnych pokaźnych władztw, w których mogą się realizować. Ambicje, animozje, sympatie, plany i strategie – wszystko to kisi się w stosunkowo niewielkim środowisku, a napięcia są bez porównania większe niż wewnątrz rządu. W takich okolicznościach sarkastyczny Magierowski, coraz bardziej zirytowany oporem materii przeciw jego planowi na prezydencką strategię, musiał budzić coraz większą niechęć.

– Marek ma silną alergię na głupotę. Z tą cechą bywa w polityce trudno – mówi mi pracownik prezydenckiej kancelarii. I dodaje: – Miał o sobie wysokie

eprasa.pl be20e2503b

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

mniemanie, ale w pełni uzasadnione. Jedni to nazwą wielkim ego, inni przekonaniem o własnej wartości.

– Na przedstawicielach obcych rządów Magierowski zawsze robił świetne wrażenie – opowiada Sławomir Dębski, szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, rządowego think tanku. – Nie chodziło tylko o to, że swobodnie przełączał się z jednego obcego języka na drugi, lecz także o precyzję wyrażania myśli i reżim intelektualny – dodaje. Czy można się dziwić, że z takimi cechami Magierowski coraz słabiej dogadywał się z tą częścią prezydenckich ministrów, którzy za jego sprawą boleśnie odczuwali własne niedostatki?

– Polityka jest z natury konkurencyjna, ale wzajemne animozje pozostają stłumione, gdy ekipa ma wyraźny i klarowny cel – wywodzi wysokiej rangi urzędnik. – W Kancelarii Prezydenta go chyba brakuje, stąd problemy Magierowskiego.

Frustracja byłego rzecznika narastała, gdy zamiast na realizacji celów związanych z wizerunkiem Andrzeja Dudy Magierowski musiał tracić energię na wewnętrzne podchody.

W STRONĘ DRUGIEJ KADENCJI

Nie był to jedyny powód narastających problemów. Były rzecznik prezydenta rozumiał doskonale, że głowa państwa funkcjonująca wciąż jako przybudówka do PiS i prezesa Kaczyńskiego ma malejące szanse na wygranie drugiej kadencji. Dlatego starał się wypychać Dudę do centrum, również poprzez zgrabne medialnie posunięcia. Jego pomysłem było przekazanie na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zdjęcia Agaty Kornhauser-Dudy dygającej przed biskupami czy spotkanie ze śp. Tomaszem Kalitą. Dla obozu PiS, którego wielka część jest przeświadczona, że tkwi w okopach Świętej Trójcy, były to działania trudne do zaakceptowania. Podobnie jak ostentacyjnie wręcz okazywany przez Magierowskiego wobec politycznego zaczadzenia twardogłowych zdrowy rozsądek i chłód, a już zwłaszcza uszczypliwości pod adresem partyjnego betonu, których z czasem przybywało.

Niełatwo też było Magierowskiemu z samym prezydentem. Już wiele miesięcy temu był zniecierpliwiony skłonnością Dudy do hamletyzowania tam, gdzie trzeba było podejmować szybkie i zdecydowane decyzje – również takie, które mogły się nie spodobać obozowi rządzącemu. Do irytacji doprowadzał go wizerunek prezydenta jako „pana Adriana" z „Ucha prezesa" – koniecznie chciał doprowadzić do emancypacji głowy państwa. To z kolei musiało budzić irytację w partii rządzącej, zwłaszcza w jej twardym rdzeniu. Jedną z przyczyn odejścia Magierowskiego było to, że sam obiekt tych zabiegów – Andrzej Duda – nie był w stanie określić, czego właściwie chce.

– Duda myślał, że zrobi w kampanii możliwie najlepszy wynik i spokojnie wróci do Parlamentu Europejskiego. Prezydentury nie było w jego planach. A teraz musi do niej dojrzewać, i to szybko – mówi jeden ze współpracowników prezydenta. Magierowski chciał ten proces dojrzewania przyspieszyć. To mu się jednak nie udawało. Przedstawienie przez prezydenta 3 maja autorskiego pomysłu na debatę ustrojową, bez omówienia wcześniej sprawy z Magierowskim, tylko przelało czarę goryczy. To był impuls, a nie powód. Szczególnie że uporządkowany i sceptyczny Magierowski musiał natychmiast dojrzeć potencjalne ryzyko projektu i dostrzec, jak bardzo jest on nieprzygotowany. Dawanie twarzy wypowiedziom i posunięciom, z którymi się nie zgadzał, kosztowało Magierowskiego wiele – choć w polityce to rzecz normalna. Jak się jednak okazało, miało to swoje granice. Po raz kolejny potwierdziło się, że czym innym jest spoglądanie na politykę od zewnątrz, a czym innym wejście w jej środek w roli jednego z aktorów.

Reakcje na dymisję Magierowskiego były łatwe do przewidzenia. Publicyści konserwatywni, upatrujący w prezydencie patrona obozu umiarkowanej prawicy zaczerpującej z centrum, uznali, że Kancelaria Prezydenta poniosła poważną stratę. Ci z obozu radykałów nie ukrywali radości, bo Magierowskiego obwiniali – w części zresztą słusznie – za te posunięcia Dudy, z którymi głęboko się nie zgadzali.

Jeśli jednak okaże się, że polska polityka na dobre wypluła Magierowskiego i że nie zostanie on w żaden sposób zagospodarowany, wówczas będzie to świadczyć jedynie o tym, że w coraz większym stopniu zły pieniądz wypiera lepszy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Trójkąt śmierci

Piotr Gociek

Grzegorz Schetyna wygrywa rywalizację o tytuł lidera opozycji. Droga, którą wybrał, będzie miała dewastujący wpływ na polską politykę

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Obrażony Mateusz Kijowski, zasmucony Ryszard Petru i uśmiechnięty Grzegorz Schetyna – krajobraz po Marszu Wolności 2017 wygląda zupełnie inaczej niż podczas pierwszych manifestacji antypisowskiej opozycji. No i sondaże pokazujące, że Nowoczesna balansuje na progu wyborczym, a Platforma zbliża się do PiS. I działacze Komitetu Obrony Demokracji wyznający, że KOD już właściwie nie ma.

Jak to się stało? Przecież rok temu politycy PO byli tylko wstydliwym dodatkiem do przedsięwzięć KOD. Platforma rok temu zwoziła swoich działaczy na marsze Kijowskiego, płacąc ciężkie pieniądze za wynajęcie autokarów. Tylko po to, by Kijowski mógł brylować na scenie jako „nowy Wałęsa", a w sondażach rosło partii Ryszarda Petru. Na początku roku 2016 to Nowoczesna zdecydowanie wyprzedzała PO. A pół roku temu, w grudniu 2016, podczas sejmowego kryzysu i okupacji mównicy sejmowej przez PO oraz Nowoczesną, to młodzi posłowie Platformy („młode wilczki") mieli wybierać się do ugrupowania Petru, bo nie widzieli przyszłości u boku Grzegorza Schetyny dowodzącego schyłkową partią bez przyszłości. Cóż więc takiego się wydarzyło?

PUNKT ZWROTNY

Najłatwiej wskazać na serię wizerunkowych wpadek KOD i Nowoczesnej oraz kłopoty, w jakie popadli ich przywódcy. Zauważmy jednak, że przecież Mateusz Kijowski nie stał się najbardziej znanym polskim alimenciarzem nagle. Jego zadłużenie wobec własnych dzieci nie przeszkadzało w sukcesach frekwencyjnych ubiegłorocznych marszów. Ryszard Petru natomiast potrafił zgrabnie separować politykę od własnych kłopotów z wizerunkiem. Na przekór kolejnym gafom słupki Nowoczesnej rosły albo pozostawały stabilne.

Punktem zwrotnym dla obecnego załamania popularności była sprawa wsparcia Donalda Tuska na drugą kadencję w Radzie Europejskiej, sprawa, którą PO rozegrała dobrze i która przypomniała, że głównym konfliktem definiującym polską scenę polityczną jest spór Platforma – PiS. Petru próbujący być „nowym Tuskiem", a jednocześnie budujący pozycję partii na kontestowaniu wielu działań Platformy z przeszłości, w roli obrońcy Tuska był podwójnie niewiarygodny.

eprasa.pl be20e2503b

Resztę załatwił efekt kumulacji. Nowoczesna ma rozmaite kłopoty: po utracie subwencji z budżetu ma spore kłopoty finansowe, po odejściu czwórki posłów utraciła wizerunek nowej nadziei, w wyniku twardej postawy Schetyny w sprawie wystawiania własnych kandydatów będzie też miała spore kłopoty w wyborach samorządowych. Nade wszystko jednak chwilowe mignięcie Tuska w polskiej polityce (reelekcja plus wizyta w warszawskiej prokuraturze) pokazało zwolennikom frontu anty-PiS, jak słabą podróbką oryginału jest Petru.

KOD jest rozsadzany ambicjami liderów i kandydatów na liderów. Wstrząsany aferą fakturową i aferą puszkową. W pierwszej idzie o wynagrodzenie, które Mateusz Kijowski sam sobie wypłacał za usługi informatyczne dla ruchu, w drugiej o to, kto i ile przywłaszczył sobie z publicznych zbiórek. Taki partner nie może być wiarygodny w robieniu prawdziwej polityki, taki partner pomału przestaje być potrzebny PO i Nowoczesnej. Siłą KOD były mobilizacja „niezrzeszonych" przeciwników PiS oraz działalność lokalnych struktur złożonych z ogarniętych nienawiścią do „kaczyzmu" ochotników. Połączenie tej siły z finansami i ze sprawnością organizacyjną PO oraz z efektem świeżości gwarantowanym przez nieskompromitowanego sprawowaniem władzy Ryszarda Petru przynosiło sukces zeszłorocznym manifestacjom. Dzisiaj jest inaczej – wielu działaczy jest zniechęconych, inni są zdezorientowani, a walka o to, jak i kiedy wybrać władze KOD, może sparaliżować działalność komitetu na długo.

Co zrobiła Platforma? Grzegorz Schetyna konsekwentnie realizował plan nakreślony w chwili, gdy został wybrany na przewodniczącego PO. Najpierw uporządkować sytuację w partii, potem pozbyć się konkurencji poza partią i sprawić, że to PO będzie główną siłą opozycyjną. Dopiero wtedy rzucić wyzwanie PiS.

NOWA BATALIA

Ostatnia eskalacja działań zaczepnych wobec PiS pokazuje, że Platforma dopiero teraz wszystkie siły będzie koncentrować na kontestowaniu rządu. Jak będzie przebiegać ta batalia? W sposób bardzo podobny do tej z lat 2005–2007, czyli z jednej strony tworzenie nieustannego informacyjnego hałasu, morza pretensji i zarzutów. Z drugiej strony próba przechwytywania części propozycji programowych PiS i przekonywania, że intencje są słuszne, ale PO zrobi to lepiej. Spójrzmy, jak politycy Platformy nagle zaczynają być wielkimi zwolennikami programu „500+" (a może nawet „600+", jak mówią nieoficjalnie), jak zapowiadają finansowanie programów społecznych z pieniędzy uzyskanych przez uszczelnienie systemu podatkowego oraz jak kluczą w kwestii przyjmowania do Polski imigrantów.

Z perspektywy czasu widać, jak ważną rolę odegrał KOD. Zaraz po przegranych przez Platformę wyborach to właśnie KOD wziął na siebie rolę głównego antypisowskiego tarana. Nikt nie miał wtedy ochoty oglądać twarzy skompromitowanych polityków PO, ruch Mateusza Kijowskiego jawił się jako nowa jakość. A fakt, że politycy Platformy i tak znaleźli sobie miejsce w organizowanych przez KOD demonstracjach, to już inna sprawa. I tak to poszło, tak wyglądała ewolucja roli Platformy – od niemile widzianych sojuszników, przez siłę współfinansującą i współorganizującą marsze, do mściwego hegemona, który dziś czuje się na tyle mocny, że Kijowskiemu nie pozwala przemawiać, a Marsz Wolności organizuje samodzielnie.

PO dopiero teraz będzie koncentrować wszystkie siły na kontestowaniu rządu. Styl działania będzie podobny do tego z lat 2005–2007

A co z drugim głównym elementem nacisku na rząd PiS? Rząd, który miały obalić „ulica i zagranica"? Ulicę PO właśnie przejmuje, w sprawie organizowania nacisków spoza granic Polski partia Schetyny zyskała sojusznika w postaci nowego prezydenta Francji. Emmanuel Macron wypowiada się równie ostro jak naczelny pisożerca, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Frans Timmermans. Chociaż politycy PiS uspokajają, że Polsce nic nie grozi, bo europejskim pogromcom „kieszonkowych dyktatur" (Polska, Węgry) brak odpowiednich legalnych narzędzi, wcale spokojny nie jestem. W końcu słynna procedura „ochrony państwa prawa" też całkiem niedawno nie istniała, ale wynaleziono ją, żeby zaatakować Węgry Viktora Orbána. Jeżeli tylko będzie polityczna wola głównych graczy w Unii Europejskiej, to nie mam wątpliwości, że na potrzeby uderzenia w Polsce zostanie wymyślona jakaś inna „procedura".

FRANCUSKI ODDECH

Zauważmy, jak sukces Macrona ośmielił do działania polityków PO. Dzień po jego wyborze na prezydenta Francji posłowie PO wszczynają awanturę pt. „Macierewicz zrobił coś strasznego". Awantura jest kolejna, ale temat ten sam co tydzień czy miesiąc temu – sprawa anulowanego kontraktu na zakup francuskich śmigłowców Caracal.

Chociaż wydaje się, że bitwa o caracale to tylko kolejna odsłona wojny przeciw Antoniemu Macierewiczowi, to chyba opinia publiczna (a i część komentatorów) zbyt szybko zapomniała o prawdziwym kontekście nieszczęsnego kontraktu. Wybór francuskiej oferty był forsowany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego, który tak spieszył się z wykorzystaniem jej w swojej kampanii wyborczej, że zdążył ogłosić decyzję, zanim pochwalił się nią rząd. Jednocześnie zakup caracali był elementem szerszej umowy, w ramach której Francuzi wsparli kandydaturę Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej.

Dzisiaj Yves Bertoncini, dyrektor Instytutu Jacques'a Delorsa w Paryżu, mówi wprost: „Kryzys, który wybuchł pomiędzy Polską i Francją z powodu odwołania kontraktu na zakup helikopterów Caracal, spowodował, że format Weimaru został praktycznie zawieszony. To rzeczywiście jest wynik presji Francji". („Rzeczpospolita" 4 maja 2017 r.). Czyli idzie o pieniądze, a nie o rzekomą dyktaturę w Polsce, podobnie jak w przypadku wypowiedzi Macrona o sankcjach wobec naszego kraju. Rozumiem, że Platforma Obywatelska może mieć inną koncepcję prowadzenia polityki międzynarodowej, ale co wspólnego z polskim interesem ma zamienianie się głównej partii opozycyjnej w lobbystę francuskiego biznesu lotniczego?

Platforma wydaje się wygrywać w tej chwili walkę o to, kto panuje nad emocjami tych, którzy chcą kontestować rząd PiS na ulicach. Co do działań podejmowanych przeciw PiS z zagranicy, znalazła się niebezpiecznie blisko zasady „im gorzej, tym lepiej". Także w tej licytacji łagodniejszy – Ryszard Petru – przegrał. To on przecież mówił, że nie będzie inspirował wymierzonych w Polskę przedsięwzięć. Tymczasem recepta Schetyny jest prosta: więcej, mocniej, głośniej, ostrzej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Konstytucyjna hipokryzja

Piotr Gursztyn

Obecnej konstytucji najbardziej bronią ci, którzy przez ostatnie lata usilnie dążyli do jej zmiany. Trudno znaleźć lepszy przykład zakłamania życia politycznego III RP

Od czasu objęcia władzy przez PiS totalna opozycja zaczęła traktować konstytucję z 1997 r. jako fetysz. Jednak ci, którzy dzisiaj deklarują dla niej szczególną cześć, raczej jej nie czytają ani w praktyce się do niej nie odnoszą. Jeden drobny przykład: w swym opozycyjnym exposé Grzegorz Schetyna zapowiedział wolę (w razie zdobycia władzy przez PO) całkowitego skasowania urzędów wojewody – a to instytucja konstytucyjna. I jest to jedyny przedstawiciel administracji rządowej w tzw. terenie, a konstytucja mówi jasno, że Polska jest krajem „jednolitym". Tak więc Schetyna, dziś etatowy obrońca obecnej konstytucji, podważył jej ważne zapisy.

PO NA BAKIER

W sprawie konstytucji nowy rozdział zaczął prezydent Andrzej Duda wraz ze swą zapowiedzią referendum. Wiele wskazuje na to, że jest to z jego strony zagranie wynikające z oskarżeń o bezczynność i brak podmiotowości.

Niczym lepszym nie były zapowiedzi Donalda Tuska. W latach 2009–2010 proponował rewolucyjne zmiany ustrojowe. Miał zamiar nawet odebrać obywatelom prawo bezpośredniego wyboru prezydenta i doprowadzić do elekcji głowy państwa przez Zgromadzenie Narodowe. Chciał wtedy osłabić władzę prezydenta. Kilka miesięcy później Lech Kaczyński zginął w Smoleńsku. Platforma miała i premiera, i prezydenta. Powód do zmian zniknął, a projekt wylądował w szufladzie.

Historia Platformy to w ogóle dzieje niezgody z obecną konstytucją. Główne pomysły programowe tej partii były w kontrze do ustawy zasadniczej z 1997 r. Przypomnijmy postulat likwidacji Senatu, ograniczenia liczby posłów z 460 do 230, wprowadzenia okręgów jednomandatowych, zniesienia immunitetu dla parlamentarzystów – czyli hasła z osławionej akcji przedreferendalnej „4 razy tak".

Jest czymś naturalnym, że ugrupowanie polityczne wzywa do zmian, także ustrojowych. Jeśli jednak przez lata mówi się obywatelom, że obowiązujące rozwiązania są złe, to trudno potem oczekiwać, aby ci sami współrodacy nagle zaczęli szczerze kochać krytykowany wcześniej przedmiot. Dodajmy dla porządku lewicę, która dzisiaj też dołączyła do grona konstytucyjnych fetyszystów. Skoro bowiem ktoś kwestionuje potrzebę istnienia demokratycznie wybieranego Senatu, to jak można odmawiać komuś innemu chęci likwidacji np. Trybunału Konstytucyjnego?

GRZECH PIERWORODNY

Nad obecną konstytucją ciąży grzech złego urodzenia. Została uchwalona w sytuacji, gdy w Sejmie nie było reprezentowanych ponad 20 proc. obywateli, którzy oddali swoje głosy na partie prawicowe. Ktoś powie – ich wina, bo owe partie nie dostały się do Sejmu z powodu własnej głupoty. Ta odpowiedź nie załatwia jednak sprawy niedostatecznej reprezentacji. Na dodatek projekt był forsowany bez możliwości prawa wyboru. Poza Sejmem opracowany został obywatelski projekt konstytucji, popierany m.in. przez NSZZ „Solidarność" i środowiska katolickie. Ówczesna władza nie pozwoliła sprawdzić, który projekt jest bardziej popularny. Sondaże z tamtych lat wskazywały, że ludzie chcieli w referendum mieć prawo wyboru. Nie dostali go.

Efekt był taki, że wyjątkowo przy referendum trzeba było obniżyć próg frekwencji, bo inaczej byłoby nieważne. Za konstytucją zagłosowało 6,3 mln wyborców, co stanowiło ledwie 23 proc. uprawnionych do głosowania. Wniosek – prawie 80 proc. dorosłych Polaków było przeciwnych tej konstytucji lub miało ją w nosie. Trudno zatem nazwać ją dobrem wspólnym.

Lektura konstytucji wskazuje też na rzeczy, które powinny zawstydzić jej czcicieli. Znajdujemy bowiem albo niechlujne zapisy, albo dowody na frywolne podejście do jej artykułów przez partie, które jej dzisiaj bronią.

Pomińmy już – bo był wielokrotnie

FOT. KAROLINA ADAMSKA/EAST NEWS

eprasa.pl be20e2503b

omawiany – fundamentalny feler konstytucji, czyli niejasne rozgraniczenie kompetencji prezydenta i rządu. Pochylmy się za to nad przypadkiem pokrewnym, czyli art. 189: „Trybunał Konstytucyjny rozstrzyga spory kompetencyjne pomiędzy centralnymi konstytucyjnymi organami władzy". No i w latach 2015–2016 doszło do takiego kompetencyjnego sporu między konstytucyjnymi organami – z jednej strony TK, a z drugiej Sejm, rząd i prezydent. Tak więc zdarzyła się żenująca sytuacja, że spór we własnej sprawie powinien rozstrzygnąć Trybunał. Okazało się, że autorzy konstytucji nie znają fundamentalnej dla europejskiej kultury prawnej zasady, iż nikt nie może być sędzią w swojej sprawie.

Całe poprzednie lata były drwiną z tak bronionej dzisiaj konstytucji. W swoim czasie Platforma Obywatelska ogłosiła z przytupem program rozwoju kraju pt. „Polska 2030". Jego głównym założeniem miał być tzw. rozwój dyfuzyjno-polaryzacyjny. W skrócie – pieniądze miały być ładowane w wielkie metropolie, one miały rozwinąć się pierwsze, a potem miała podciągnąć się reszta kraju. Problem w tym, że już w pierwszym rozdziale konstytucji, w art. 5, napisano o obowiązującej zasadzie „zrównoważonego rozwoju". Po kilku latach pod naciskiem PSL program został wycofany.

Donald Tusk i Ewa Kopacz, jako premierzy, próbowali wprowadzić tzw. związki partnerskie. Wiadomo było, że to trick, którego celem jest obejście i realne unieważnienie art. 18, mówiącego o tym, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny.

Według art. 12 Rzeczpospolita Polska zapewnia wolność tworzenia i działania związków zawodowych. Tyle że w Polsce – w odróżnieniu od innych krajów europejskich – członkiem związku zawodowego może zostać tylko pracownik zatrudniony na stałej umowie. W dobie „śmieciówek" ów zapis był fikcją. Setki tysięcy pracobiorców nie miały prawa do zrzeszania się.

Artykuł 19 powiada, że Rzeczpospolita „specjalną opieką otacza weteranów walk o niepodległość". Otóż wiadomo, że Rzeczpospolita ich nie otacza opieką ani specjalną, ani zwykłą. Stara się wprawdzie, ale słabo to wychodzi.

Ktoś powie, że to szczegóły, zatem warto spojrzeć na art. 45. Rzecz bardzo ważna: „Każdy ma prawo do sprawiedliwego i jawnego rozpatrzenia sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki przez właściwy, niezależny, bezstronny i niezawisły sąd". Ten zapis w polskich realiach jest śmiechem nad krzywdą człowieka prostego. W Polsce nieuzasadniona zwłoka w sądach to norma, a słowa „proces" i „szybkość" to oksymorony.

W konstytucji znajduje się też rozdział o wolnościach i prawach ekonomicznych, socjalnych oraz kulturalnych. W art. 66 czytamy, że „każdy ma prawo do bezpiecznych i higienicznych warunków pracy". Piękna deklaracja, ale to tylko słowa. Dwa artykuły dalej zapisano, że „każdy ma prawo do ochrony zdrowia" i w następnym punkcie: „Obywatelom, niezależnie od ich sytuacji materialnej, władze publiczne zapewniają równy dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych". Każdy, kto mieszka w Polsce, wie, że ten dostęp nie jest ani równy, ani zapewniony. W dziedzinie takiej jak np. opieka dentystyczna także osoba objęta ubezpieczeniem nie ma szans na skorzystanie z publicznej służby zdrowia i w zasadzie nawet nie szuka już tam pomocy. Dorzućmy tu jeszcze deklarację, że władze publiczne „przeciwdziałają bezdomności" (art. 81). Czy ktoś to widział? Nie potrafiły owe władze publiczne zapobiec bezdomności nawet w sposób bierny, czyli broniąc ofiar warszawskiej afery reprywatyzacyjnej, w tym ludzi, którzy mieli wykupione mieszkania.

Historia PO to dzieje niezgody z obecną konstytucją. Główne pomysły programowe tej partii były w kontrze do ustawy zasadniczej z 1997 r.

Konkludując – jakość obecnej konstytucji to rzecz drugorzędna, gdy lekceważyli ją nawet ci, którzy dziś jej bronią. Stosunek do ustawy zasadniczej z 1997 r. jest smutnym dowodem na to, jak puste pod względem intelektualnym i koniunkturalne w kwestii wartości są elity III RP. Jesteśmy świadkiem smutnego spektaklu, w którym chodzi tylko o władzę, a nie dobro wspólne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

FOT. PIOTR WITTMAN/PAP

Dał im przykład Emmanuel

Piotr Semka

Obóz III RP chce znaleźć swojego Macrona, który pokona prezydenta Andrzeja Dudę w najbliższych wyborach. Czy może nim być Robert Biedroń?

Robert Biedroń może być polskim Macronem" – ogłosił w Radiu RMF FM Aleksander Kwaśniewski. Były lider postkomunistycznej lewicy wypowiedział na głos to, co od miesięcy sugerują media obozu III RP. Tabloid koncernu Ringier Axel Springer „Fakt" i Radio Zet zamówiły niedawno sondaż, który wskazuje, że gdyby Biedroń wystartował w wyborach prezydenckich, zagłosowałby na niego więcej niż co czwarty pytany. Co istotniejsze, jeszcze więcej respondentów, bo aż 32,9 proc., zapewniało w badaniu, że zagłosowałoby na Biedronia w II turze, gdyby stanął naprzeciw prezydenta Andrzeja Dudy. „Gazeta Wyborcza" opublikowała ogromny wywiad z prezydentem Słupska, opatrując go wystudiowanym zdjęciem w stylu głowy państwa z unijną flagą w tle. Na ile plany wylansowania Biedronia na prezydenta RP są realne?

KOLEJNY CZŁOWIEK ZNIKĄD?

„Myślę, że w 2020 r. prezydentem Polski będzie Robert Biedroń" – mówił w Radiu RMF FM Kwaśniewski. Oceniając szanse lewicy, były prezydent tak komplementował nadzieję obozu postępu: „Zakładając, że to ma być ktoś młody, dynamiczny, z jakimś dorobkiem, to jest tylko jeden człowiek, Robert Biedroń. […] Ma za sobą doświadczenie w polityce ogólnokrajowej (był posłem w latach 2011–2014), polityce szczebla lokalnego oraz pozostaje poza głównym nurtem partyjnym".

Warto zwrócić uwagę na tę ostatnią zaletę Biedronia wymienianą przez Kwaśniewskiego. W „Gazecie Wyborczej" publicysta Piotr Moszyński tak oto pisał o sukcesie Emmanuela Macrona, nowego prezydenta Francji: „Emmanuel Macron przyszedł znikąd. [...] Był przedmiotem kpin aparatów partyjnych. Wielu nie wierzyło, że cokolwiek zdziała bez doświadczonego sztabu fachowców i partyjnych źródeł finansowania. A jednak dał radę".

Można zignorować te peany. Macron na pewno nie był człowiekiem znikąd. Można się zastanawiać, czy za jego kampanią prezydencką stały kręgi finansowe z lobby banku Rothschildów, czy elity polityczno-biznesowe związane z prezydentem François Hollande'em, ale na pewno nie był to polityczny self-made man ani naturszczyk. Po prostu wpływowe kręgi francuskiej lewicy uznały, że wobec kryzysu w partii socjalistów i republikanów Marine Le Pen i Front Narodowy zatrzymać może tylko ktoś startujący pod nowym szyldem. I taki szyld wymyślono pod nazwą „En Marche!".

Jednak ten zachwyt publicysty „Gazety Wyborczej" nad ponadpartyjnością Macrona może być wskazówką, jak Robert Biedroń może być lansowany na nowego prezydenta – jako ktoś wykraczający poza „świętą wojnę partyjną".

CASTING NA NOWALIJKĘ

Każdy, kto poważnie myśli o odsunięciu Jarosława Kaczyńskiego od władzy, skazany jest na zastanawianie się nad jakimś nowym rozdaniem. Platforma Obywatelska pod wodzą Grzegorza Schetyny to dziś dość niepewny interes. Nawet kiedy na przełomie kwietnia i maja wydawało się, że PO wreszcie zdobyła przywództwo w obozie opozycji, jej lider serią efektownych kiksów w sprawie imigracji i reform socjalnych pokazał, jak szybko potrafi zaplątać się o własne nogi.

Schetyna w niedawnej sytuacji kryzysowej przypomniał się jako lider zaskakująco słaby i ulegający emocjom. Prosty chwyt

eprasa.pl be20e2503b

propagandowy PiS – „Niech Platforma i jej lider odpowie na cztery proste pytania dotyczące ich programu" – okazał się dla lidera PO testem przekraczającym jego możliwości. W tę lukę winien szybko wejść Ryszard Petru, ale ten pół roku temu zafundował sobie i swojej partii efektowne polityczne samobójstwo.

Równie kiepsko wygląda sytuacja na lewicy – podzielonej i niepotrafiącej w kolejnych sondażach nawet zbliżyć się do duopolu PiS-PO. Najlepiej notowany w nich SLD to dziś cień dawnej partii Kwaśniewskiego i Millera. Owszem, po latach upartej walki rządzi dziś w SLD Włodzimierz Czarzasty, ale wygląda to jak królowanie na gruzowisku. Sojusz ma jeszcze całkiem sprawne struktury, ale nie ma już żadnych atrakcyjnych twarzy. Teoretycznie lepiej prezentuje się powstała w lutym 2016 r. Inicjatywa Polska pod wodzą Barbary Nowackiej, ale nie przekłada się to na wyniki sondażowe. Jako osobny polityczny „brand" nie jest zbytnio rozpoznawalna przez wyborców. A sama Nowacka od lat się „dobrze zapowiada", ale jakoś wciąż nie może się wybić ani zdobyć statusu liderki lewicy.

Jest wreszcie trzeci gracz na lewicowym poletku – partia Razem. I w tym przypadku teoretycznie wszystko powinno ugrupowanie Adriana Zandberga predestynować do roli głosu młodego pokolenia lewicy. Prezentuje radykalizm, wrażliwość na tematy społeczne i ma pewien rys idealizmu. Co z tego, gdy – jak twierdzą jego krytycy z lewicy – Razem zamieniła się w partię posiadaczy nieskalanych lewicowych idei, która nie chce z nikim wchodzić w sojusze.

Na tym tle Robert Biedroń od paru lat prowadzi bardzo przemyślaną politykę lansowania swojej osoby. Sam pomysł wystartowania na prezydenta Słupska pozwolił mu pokazać, że można budować swoją pozycję „od dołu", a nie korzystać z łaski już istniejących partii. Taka taktyka na razie przynosi dobre efekty. Jego rządy w Słupsku nie są złe, choć już genderowe pomysły Biedronia radni miasta zablokowali w głosowaniach. Jednak jest faktem, że wylansował nieco Słupsk i – co ważne dla jego medialnej taktyki – wciąż jest zapraszany do ogólnopolskich mediów, na czele z niezawodną Moniką Olejnik.

Właśnie lansuje swoją książkę „Pod prąd", która pozwala mu pod hasłem spotkań z czytelnikami objeżdżać miasta całej Polski i przedstawiać się jako zwolennik umiaru i zdrowego rozsądku. Biedroń dba, by raz na jakiś czas wysyłać sygnały mogące podobać się lewicowemu elektoratowi. Wyborców SLD kokietuje deklaracjami, że nie zgadza się na dekomunizację nazw ulic Słupska. Chwali też jednak efekty programu „500+" jako czynnik przywracający wielu ubogim rodzinom elementarne poczucie godności, nie omieszkując jednocześnie oskarżać PiS o zadłużanie państwa.

W chętnie udzielanych wywiadach potrafi naraz wzywać do dialogu i porozumienia ponad podziałami, a zaraz potem sięga po ostrzejsze słowa i mówiąc o PiS, grzmi: „Ugiąć kark przed nimi? Niedoczekanie!". Ogłasza: „Nie zawahamy się użyć naszej wściekłości i solidarności w walce o państwo, w którym da się spokojnie żyć".

Sprzeczność? Mieszanie haseł dialogu z zażartym antykaczyzmem? I w tej mierze kampania Macrona może być dla Biedronia kuszącym wzorem. Lider En Marche! mieszał hasła wolnorynkowe z prostackim populizmem tak jak wtedy, gdy wygrażał Polsce za przejęcie fabryki Whirlpoola z Amiens. Macron potrafił wzbudzić zaufanie u Francuzów znużonych bezruchem epoki Hollande'a, choć sam był jego nominatem. Teoretycznie nie powinno się to udać, a jednak przyniosło to zwycięstwo.

Można wyobrazić sobie sztab speców od PR, którzy napiszą Biedroniowi równie synkretyczne przemówienia. Zresztą już dziś jego wywiady wyglądają jak wynik żmudnej pracy ze specami od PR z walką o prezydenturę jako strategicznym celem. Co charakterystyczne, Biedroń wiele ze swoich ostatnich wypowiedzi kieruje przeciw Andrzejowi Dudzie, przedstawiając się jako jego przeciwieństwo.

„Jest uzależniony od Jarosława Kaczyńskiego. Jest wykształcony, ma doświadczenie, ambicje, ale siedzi w klatce, do której klucz trzyma szef jego partii. Jedną z moich osobistych wartości jest niezależność" – deklarował niedawno na łamach „Wyborczej". Jednocześnie prezydent Słupska w subtelny sposób odcina się od Donalda Tuska jako „Andersa w pendolino". W niedawnym wywiadzie dla „GW" wskazywał: „Marzę o takim społeczeństwie, które nie będzie podzielone, a przecież Donald Tusk podtrzyma ten fatalny i męczący podział na PO i PiS, degradujący fundamenty naszego państwa i społeczeństwa".

Oficjalnie Biedroń podkreśla, że nie myśli na razie o prezydenturze. Jednak na każdym, kto pamięta deklaracje Tuska, że nie stara się o fotel szefa Rady Europejskiej, takie zarzekania się nie robią już wrażenia.

Biedroń może przyciągnąć wpływowych sponsorów paroma atutami. Dla zagranicznych zwolenników rewolucji obyczajowej wizja homoseksualisty, który wygrywa najwyższy urząd w „katolickiej Polsce", może być kusząca. Dla polskiej lewicy sukces Biedronia może być wyrwaniem się z traumy popierania PO jako mniejszego zła. Nawet dla zwolenników prezydentury Tuska w 2020 r. Robert Biedroń może być cenny, jeśli w I turze zdobędzie spory elektorat i w razie nieprzejścia do II tury wezwie swych wyborców, by głosowali na byłego lidera PO. A jeśli nawet Biedroń nie wygra, to na fali kampanii może zbudować silną partię lewicy – na przyszłość, do ewentualnej koalicji z PO.

SKŁONNOŚĆ DO DRAKI

Możliwe są także trudności. Nie wiadomo, czy Biedroniowi uda się nakłonić partie lewicy do poparcia jego kandydatury. Niełatwe będzie też tworzenie struktur lokalnych na rzecz jego kampanii, choć np. Jerzy Owsiak jako szef jego kampanii przyciągnąłby do niej licznych młodych wolontariuszy w terenie.

Większym problemem jest wciąż niewygasła skłonność Biedronia do zaprzeczania swemu nowemu, stonowanemu wizerunkowi poprzez powroty do skandali przypominających o jego homoseksualizmie. W lutym tego roku w programie Agnieszki Gozdyry w Polsacie ogłosił, że bardzo wpływowym gejem w Polsce jest ktoś „głaszczący koty". – Wszystko byłoby OK, gdyby oni zajęli się głaskaniem kota i nie wtrącali się w życie innych, ale niestety głaszcząc kota, zaglądają pod kołdrę innych i próbują tam majstrować – wypalił Biedroń. W czasie ewentualnej kampanii prezydenckiej taka skłonność do draki ze skandalizującym posmakiem obyczajowym może go sporo kosztować.

We Francji operacja polityczno-socjotechniczna z wyniesieniem Macrona na najwyższy urząd w państwie się udała. Jednak nie jest jasne, czy jego partia odniesie sukces w czasie czerwcowych wyborów parlamentarnych. To samo grozi Biedroniowi. Może być liczącym się kandydatem na prezydenta, ale już zbudowanie własnej partii czy połączenie lewicy może okazać się nie takie proste.

To pytania na czas po wyborach. Teraz widać wyraźnie, że sukces Macrona uskrzydlił obóz polskiej lewicy. A nikogo lepszego niż Biedroń po lewej stronie jak dotąd nie widać. Andrzej Duda już powinien uważać go za równie groźnego potencjalnego rywala jak Donalda Tuska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Tomasz P. Terlikowski

Homokapłaństwo

Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy Benedykt XVI słusznie zakazał święceń dla homoseksualistów, to powinien przeczytać „Kamień węgielny" Krzysztofa Charamsy

Ten „homoerotyczny donos" stanie się dla wielu liberalnie i lewicowo nastawionych źródłem kolejnych antykatolickich stereotypów, które utwierdzą ich w głębokiej niechęci do Kościoła, która stała się współczesną wersją antysemityzmu dla elit. Już to zresztą widać. Mdła – przepojona mętną homoduchowością, pełna ochów i achów, a także szafująca dziwaczną teologią, wedle której św. Paweł miał być nienawidzącym własnej seksualności homoseksualistą, a znany kobieciarz Dawid gejem – książka już została okrzyknięta przez zachodnie media objawieniem prawdy o Kościele, wyznaniem roku, odważnym manifestem człowieka, który zrywa z hipokryzją. Mimo to jestem wdzięczny Krzysztofowi Charamsie za jego książkę. Trudno bowiem o lepszy dowód na to, że homoseksualista nie powinien być wyświęcony na księdza, a homolobby w Kościele, przed którym od lat przestrzegam (wraz z ks. prof. Dariuszem Oko, ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim i ks. prof. Andrzejem Kobylińskim), jest realnym problemem.

NARCYZ W SUTANNIE...

Wszystko dlatego, że Charamsa nie próbuje nawet budować wizerunku normalnego, zdrowego mężczyzny. On jest gejem i jest z tego dumny. Opowiada otwarcie o tym, jak wyjeżdżał z Rzymu, by na jedną noc znaleźć faceta, z którym mógłby uprawiać seks. Nie ukrywa, że przestał się spowiadać, bo irytowało go, że spowiednicy przypominali mu, że akty homoseksualne są grzechem, że sypiał z innymi księżmi i że odprawiał po tym msze święte. Nie udaje nawet, że nie miał świadomości własnego homoseksualizmu, zanim wstąpił do seminarium, a także otwarcie opowiada o tym, jakim był i jakim jest człowiekiem.

Obraz, jaki się z tego wyłania, jest dramatyczny i potwierdza stereotypy na temat źródeł homoseksualizmu. Charamsa pochodzi z rodziny rozbitej, nie miał żadnej relacji z ojcem, a mamę uważał za swoją „najlepszą przyjaciółkę". Od dziecka był wierzący, ale… z opisów przeżywania wiary wynika – ni mniej, ni więcej – tylko tyle, że najważniejsze dla niego były emocje, przeżywanie, zachwyt nad własną pobożnością, a nie niełatwa relacja z Bogiem w Jezusie Chrystusie. Modlił się, ale w centrum tej modlitwy byli on sam i jego homoseksualizm (wtedy jeszcze przeżywany jako problem), a także porównywanie się z innymi, którzy nigdy nie dorastali do poziomu wybitnego Charamsy.

Krzysztof Charamsa pogardza w głębi ducha niepotrafiącymi się modlić kapłanami, a także całym polskim Kościołem. A przedstawia go w sposób, który świetnie sprzeda się na Zachodzie, bo wpisuje się w antykatolickie uprzedzenia tamtejszej lewicy. „Po upadku muru polski Kościół zastosował takie same jak komuniści metody sprawowania rządu dusz, ideologicznej kontroli i podporządkowywania sobie bojaźliwych mas. O ile w Europie dyktatura się zakończyła, o tyle w moim kraju została skutecznie zachowana przez Kościół, gdzie wolne miejsca po pomnikach Lenina i Stalina zostały umiejętnie zastąpione posągami Wojtyły. Jednocześnie jest to temat, na który nawet nie wolno podjąć dyskusji, tak jak nie można było dyskutować w czasach reżimu – istnieje ryzyko, że oskarżą nas o obrazę uczuć religijnych. Wyrażenie wątpliwości co do wartości pewnych wyborów czy projektów jest uważane, tak jak w każdej dyktaturze, za atak na sam system. Urzędnicy nowego reżimu, już nie jedynej partii, ale Kościoła, usprawiedliwiają się, mówiąc, że ta »posągowa« wizja jest wyrazem woli ludu, że oni tylko dają wyraz uczuciom ludzi. Ale przemilczają fakt, że oni sami stawiają siebie w roli »strażników sumień« i kierują według własnego uznania wszystkimi wyborami ludzi. Ostatecznie udało im się zaśmiecić moją ojczyznę pomnikami idola, utrzymując, że tego chciał lud" – przekonuje Charamsa. I nie jest to najgorszy fragment jego rozważań na temat Polski i Polaków. Na tym tle on – światły, wykształcony, czytający Hessego i Judith Butler – erudyta ma się prezentować jak mistrz i nauczyciel, ktoś z zupełnie innej bajki.

... STAJE SIĘ EROTOMANEM

Jak przeżywał swoje kapłaństwo ks. Charamsa, zanim zaczął sypiać z mężczyznami (w tym z księżmi)? Odpowiedź jest prosta – jako postawę narcyza, który kocha i ceni tylko siebie oraz który uznaje, że jego homoseksualizm (nie praktykowany jeszcze, ale przecież nieustannie przeżywany) czyni z niego człowieka głębszego i lepszego od innych.

„Tego samego narcyza rozpoznawało w sobie wielu księży za każdym razem, gdy znajdowali się w obecności kogoś

eprasa.pl be20e2503b

z tego samego klubu, za każdym razem, gdy zadawali sobie pytanie, czy mężczyzna stojący naprzeciw zna ich sekret. Narcyz to tajemny szyfr dający dostęp do wysublimowanego piękna ukrytego i zakazanego, do duchowej natury, która chciałaby znaleźć swój wyraz" – tłumaczy Charamsa. I dodaje, że właśnie dlatego z takim upodobaniem cytował Hessego podczas swoich wystąpień. W ten sposób – jak sam podkreślał – chciał ujawnić swoją osobowość.

To jemu jednak nie wystarczało, bo – jak opowiada – zawsze potrzebował miłości. I w jej poszukiwaniu najpierw wylądował w łóżku z jakimś księdzem, a potem pojechał do Barcelony, by szukać miłostek na jedną noc. Wszystko to zaś w imię przezwyciężania narcyza, którego Charamsa wypędza w – jak sam pisze – okropnym pensjonaciku, spędzając noc w „mocnych ramionach" swojego przyszłego „chłopaka, partnera, męża". Nie, nie zdradza mu nawet swojego imienia, okłamuje go, bo przecież następnego dnia ma wracać do Rzymu i tam dzielnie pracować w Kongregacji Nauki Wiary. Udając, że jest kimś innym, niż jest. I modląc się do siebie, a nie do Boga, modląc się, by seks tej jednej nocy trwał jak najdłużej. „I tamtej nocy zobaczyłem Boga, który mnie kochał, obejmował mnie i akceptował" – oznajmiał w erotycznym szale. Cały ten opis wygląda zaś tak, jakby wyszedł spod pióra ks. Dariusza Oko, który od dawna opowiada, że nie ma prawdy, miłości ani jakichkolwiek głębszych relacji w związkach homoseksualnych. Są seks i opętanie nim.

To opętanie widać także w dalszej części książki. Charamsa przekonuje, że spowiednicy zajmują się tylko seksem, że niszczą ludzi poprzez wpajanie im reguł i że nie interesuje ich nic innego poza seksem.

Charamsa postuluje, by społeczeństwo zaczęło zachęcać księży do dzielenia się przez nich własną seksualnością. „Należałoby wypytywać biskupów, księży, diakonów i katechetów, jak często się masturbują, jak często odczuwają pokusę, o kim myślą w swoich fantazjach – o kobiecie czy mężczyźnie. A może o orgii?" – pisze Charamsa. I aż trudno nie zadać pytania, kto tu ma obsesję na punkcie seksu i kto się nie kontroluje.

FOT. LLUIS GENE/AFP/EAST NEWS

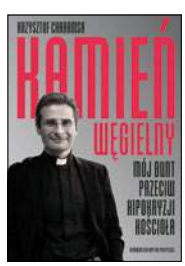

KRZYSZTOF CHARAMSA „KAMIEŃ WĘGIELNY" WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ 2017

Z opisów Charamsy wynika przy tym, że z takim przeżywaniem homoseksualizmu nie jest on bynajmniej odosobniony. Książka jest pełna opisów relacji – czasem platonicznych, a czasem pełnych wulgarnego seksu – z innymi kapłanami. I choć trudno na poważnie traktować opinię byłego kapłana, że aż połowa księży to homoseksualiści (sam Charamsa przyznaje, że formułuje ją na podstawie „przeczuć"), to i tak obraz homolobby oraz lawendowej mafii, jaki szkicuje były pracownik Kongregacji Nauki Wiary, jest porażający.

POWRÓCIĆ DO ZAKAZU

Historia Charamsy pokazuje, całkowicie jednoznacznie, że w istocie problemem jest już sama skłonność homoseksualna, a nie jej realizowanie. To doskonała diagnoza niebezpieczeństwa, jakim jest święcenie – nawet nieaktywnych – homoseksualistów na kapłanów. A przemiana – powolna, stopniowa, z odchodzeniem od wiary, praktyk religijnych i zagłębianiem się w seksie, który zastępuje modlitwę – z nieaktywnego narcyza w aktywnego erotomana pokazuje, jak niebezpieczne jest założenie, że homoseksualista będzie żył w czystości.

I właśnie dlatego trzeba poważnie potraktować mocne wezwanie Benedykta XVI, który jednoznacznie zakazał święcenia homoseksualistów. „Osoby takie, w istocie, znajdują się w sytuacji, która poważnie uniemożliwia im poprawną relację do mężczyzn i kobiet. Nie można w żaden sposób zignorować negatywnych konsekwencji mogących zrodzić się na skutek święceń osób o głęboko zakorzenionych tendencjach homoseksualnych" – można przeczytać w Instrukcji dotyczącej kryteriów rozeznawania powołania w stosunku do osób z tendencjami homoseksualnymi w kontekście przyjmowania ich do seminariów i dopuszczania do święceń Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego.

Nie może być bowiem uobecnieniem Chrystusa, Boga ani człowieka (a konkretniej mężczyzny) ktoś, kto nie jest w pełni mężczyzną. Ten radykalny wniosek wypływa z przemyślenia katolickiej antropologii i – szerzej – teologii. Jeśli bowiem łaska buduje na naturze, to łaska sakramentu kapłaństwa bazować musi na naturze mężczyzny. W tę zaś wpisane są seksualność, pożądanie erotyczne, a także dojmujące pragnienie ojcostwa. Ktoś, kto tego pragnienia nie odczuwa, kto nie jest zdolny do pełnego stania się ojcem i oblubieńcem, nie może być nim duchowo (a przecież na tym polega kapłaństwo). Książka Krzysztofa Charamsy jest tego dobitnym potwierdzeniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Ze Sławomirem Jastrzębowskim, redaktorem naczelnym „Super Expressu”
rozmawia Łukasz Zboralski

Skutek miłości

ŁUKASZ ZBORALSKI: Wie pan, że jeśli będzie pan dalej wpuszczał na łamy „SE” teksty o związku Ryszarda Petru i Joanny Schmidt, to pan im pomoże w polityce? Tak uważa były mąż posłanki, którego zostawiła dla polityka Nowoczesnej. Twierdzi, że oni teraz specjalnie informują o swoim życiu razem, dla politycznego marketingu...

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI: Ryszard Petru popełnił poważny błąd na początku i to może być już nie do odrobienia. Zachował się jak struś. Gdy został przyłapany w samolocie do Portugalii z posłanką, powinien jakoś zareagować. To ich zdjęcie mówiło wszystko – te maślane oczy posłanki wpatrzone w swojego już chyba mężczyznę. Mógł więc albo przyznać, że to tylko jego przyjaciółka, pokrewna dusza, dobrze się dogadują, ale zaznaczyć, że nie ma podtekstu seksualnego, albo mógł też powiedzieć, że obu im nie wyszło w poprzednich związkach, że chcą być razem i pewnie niebawem to sfinalizują. Tymczasem on nie zareagował w ogóle. Stał się przez to komiczny. Mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której wszyscy widzą to, o czym on chce zapomnieć. No, a potem te ich czułe SMS-y dopełniły dzieła. Dobrze, że po publikacji „SE” Joanna Schmidt publicznie powiedziała, że są razem i to będzie formalizowane. Określili się. Tylko trzeba to było zrobić wcześniej, to byłoby do zaakceptowania przez opinię publiczną. Dzisiaj te straty mogą się okazać już nieodwracalne.

Publiczne opowiedzenie o nowym związku może być dla polityka ratunkiem w takiej sytuacji?

Może im to pomagać, ale – jak mówię – jest trochę za późno. Petru ma już wizerunek takiego agenta erotyczno-maderowego, który – mówiąc językiem Korwin-Mikkego – kleił głupa. Ten wizerunek przylgnął do niego i nie będzie łatwo go odlepić. A takie rzeczy bardzo rzutują na odbiór polityków przez wyborców. Widzę, jak ciężkie treningi przechodzi teraz Ryszard Petru, żeby odwrócić trendy – bo każdy, kto się trochę zna na komunikacji, widzi ich efekty, np. to, że podczas jednego wywiadu kilka razy powtarzał: jesteśmy partią ekspercką, jesteśmy partią ekspercką. To ma spowodować, że na pierwszy plan wysunie się wizerunek: eksperckość, a nie obyczajówka, ale to nie jest takie proste. Wizerunek polityka jest bowiem jednością – programem, obyczajówką, wyglądem, strojem...

Pan mówi, że gdyby się od razu wypowiedział na temat ich relacji, to byłoby lepiej. Tak zrobił burmistrz z Mikołowa na Śląsku. 52-latek z PO na Facebooku wyznał miłość o 20 lat młodszej asystentce. Wyprzedził prasę. I co go spotkało? Lokalni politycy zbierają podpisy pod referendum, żeby go odwołać...

Ważne jest, jak to robił, w jakiej to było formie. Ona musi być odpowiednia. Należy być powściągliwym. Nie wolno manifestować swojej płomiennej miłości gimnazjalnego uczniaka. Inaczej się zachowuje polityk, który musi być mężem stanu, a inaczej ktoś, kto wystaje pod balkonem swojej Julii. Gdyby ten burmistrz zrobił to powściągliwiej, to być może by mu się udało. Jednak gdy robi to tak emocjonalnie, ludzie mówią: nie, stary, nie tego od ciebie oczekujemy. Cieszymy się twoim szczęściem, ale chcieliśmy ci płacić za coś innego. Za to, żebyś był skoncentrowany nie na swojej kobiecie i swojej miłości, tylko na tym, co masz dla nas do zrobienia.

Prywatne sprawy polityków są dość ciekawe – z jednej strony ludzi na pewno to interesuje, bo chyba dobrze sprzedają się takie historie w tabloidach? A z drugiej strony w kraju, w którym ponad 90 proc. mieszkańców deklaruje się jako katolicy, zdrady małżeńskie nie zawsze całkowicie przekreślają polityków. Czy to nie jest dziwne?

Sprawy obyczajowe to tematy, które wszędzie się dobrze sprzedają, nie tylko w tabloidach. Tak samo dobrze sprzedają się w tzw. opiniotwórczych mediach, tylko trzeba je opakować w inną formę – informacyjną. Polacy są ciągle konserwatywnym społeczeństwem. I numery, które przechodzą na Zachodzie – pewne ustawy, postępowania polityków, ich życiowe wybory – u nas by nie przeszły. Moim zdaniem Emmanuel Macron nie miałby żadnych szans w wyborach w Polsce z powodu żony starszej od niego o 24 lata. U nas byłby postrzegany jako maminsynek, człowiek niesamodzielny. I u nas taki ktoś nie mógłby zrobić politycznej kariery, ponieważ byłby zbyt śmieszny. Francuskiemu społeczeństwu to nie przeszkadza. Dla mnie lepsze pod tym względem jest społeczeństwo polskie. Uważam, że nie-

eprasa.pl be20e2503b

Ryszard Petru i Joanna Schmidt już nie ukrywają, że zostali parą FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

skrępowana tolerancja wobec najróżniejszych rodzajów słabości, najróżniejszych rodzajów ponadnormatywnych zachowań, nie jest dobra. System wartości, którego się trzymamy – choć od niego zawsze są, były i będą odstępstwa – w dłuższej pespektywie polskie społeczeństwo może ocalić. Nie wiadomo, czy na pewnym etapie zachodnie społeczeństwa nie zaczną przyjmować naszych reguł.

A zdrada małżeńska powinna przekreślać karierę polityka?

Nie wiem… Nie chcę decydować za wyborców. Patrzę na polityków jako na ludzi, którzy mogą wykonać dla mnie jakieś rzeczy – chcę ich wybierać jako menedżerów do konkretnych zadań. A jeśli widzę kogoś niewiarygodnego, zakłamanego, kogoś, kto niestety nie potrafi nad sobą zapanować i „dowieźć do mety własnych zobowiązań", no to takiego polityka nie chcę, bo mu nie ufam. Ja bym go nie wybrał. Takim przykładem jest dla mnie Kazimierz Marcinkiewicz. Człowiek, który z ortodoksyjnego katolika nagle wszedł w rolę fircyka, który zakochał się w dziewczynce mającej zamiast klasy, no… świeżość – tak to nazwijmy. Zrobił z siebie publicznie pośmiewisko.

I to mu zaszkodziło? Przecież nadal jako były premier jest zapraszany do programów telewizyjnych, w których wygłasza opinie…

To nie ma znaczenia. To podtrzymywanie funkcji życiowych za pomocą maszyn, ale pacjent od tego nie zmartwychwstanie. On w każdym programie – bez względu na to, co powie – jest tym niepoważnym facetem, który dokonał niepoważnych życiowych wyborów. I już nie ucieknie od tego wizerunku. Trwale utracił wiarygodność. Widzę reakcje różnych ludzi, którzy np. oglądają telewizyjną debatę z jego udziałem. Mówią: o, Marcinkiewicz, a gdzie Izabela? Nie próbują się nawet skupić na tym, co ma do powiedzenia, tylko patrzą na niego poprzez tę katastrofę obyczajową, którą sobie zafundował. Jego powrót do polityki jest kompletnie niemożliwy. A do programów jest zapraszany, bo zawsze powie coś złego na PiS. Ma przecież tzw. zaleganie afektu – niechęć po złych doświadczeniach z tą partią.

Kiedyś politycy w Polsce łatwiej wdawali się w romanse. Taka Anastazja P., choć seksbombą nie była, to pół Sejmu w sobie rozkochała. A dziś, gdy politycy wiedzą, że każdy smartfonem może im pstryknąć fotkę, tak jak Petru i Schmidt w samolocie, chyba bardziej się pilnują?

Zdecydowanie dużo bardziej się pilnują. Dzisiaj są przecież tabloidy, są zdjęcia paparazzich. Politycy boją się, że zostaną przez nas obnażeni i pewnie często my, dziennikarze tabloidów, jesteśmy przez nich znienawidzeni. Ja ten strach nawet rozumiem. Tym bardziej jednak nie rozumiem tego, co zrobił Petru, i jestem zdziwiony jego głupotą. Nie zachował żadnej ostrożności, żadnych „zasad BHP" – lecieli jednym samolotem i jeszcze miejsca obok siebie mieli wykupione. Przecież jego rozpoznawalność w tamtym czasie była już bardzo duża. Dziecinada.

Ryszard Petru zwraca się do nowoczesnego elektoratu, takiego, który może doceniać wolne związki, poligamię – na pewno na tych ekscesach musi stracić?

W polityce może grać teraz tym, na czym traci Platforma – to tematy LGBT czy imigrantów. PO urosła przez jego nieszczęście, wiec może sobie te punkty odebrać. Pod warunkiem jednak, że Nowoczesna będzie lokowana jako partia ekspercka. A z tym jest trudno. Oprócz romansu Petru ma bowiem jeszcze formalny defekt związany z liczbą gaf, które popełnia. One są przeurocze, ale o eksperckości na pewno nie świadczą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sławomir Jastrzębowski
– redaktor naczelny „Super Expressu".

eprasa.pl be20e2503b

Co się stało z Magdą Ż.

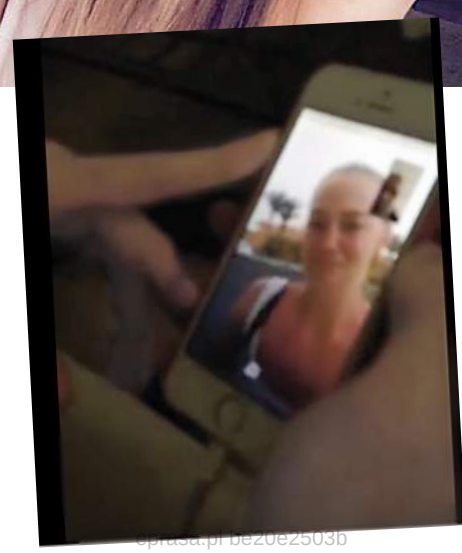

Agnieszka Niewińska

Wciąż nie wiadomo, jak i dlaczego zginęła w Egipcie młoda Polka. Śledczy badają kilka wersji – również te, na które naprowadzili ich internauci

Na razie pewne jest tylko jedno – Magdalena Ż., 27-latka z Polski, zmarła w Egipcie. Po dwóch tygodniach o okolicznościach tego zgonu niewiele więcej wiadomo. Fakty mieszają się z pogłoskami.

Użytkownicy portalu Wykop.pl analizują zdjęcia, filmy, mapę kurortu, do którego na wypoczynek wybrała się Polka, tworzą rekonstrukcje zdarzeń. Na Facebooku powstała specjalna grupa, której członkowie wymieniają się informacjami i komentują kolejne doniesienia. Należy do niej już ponad 54 tys. osób.

– W tej historii są emocje, piękna kobieta, tajemnica, teorie spiskowe. Wszystkie te czynniki sprawiają, że zainteresowanie historią młodej dziewczyny, która zginęła w Egipcie, jest tak duże. Do tego dochodzi strach, bo przecież na miejscu tej Polki mógłby być niejeden z widzów, a media żywią się strachem, niestety także często go powiększają, grają nim – mówi Eryk Mistewicz, znawca mediów, prezes Instytutu Nowych Mediów. – W medialnym obiegu pojawiło się już wiele wariantów zdarzeń, każdy komentuje sprawę, wciela się w eksperta. W jednej ze stacji były policjant jako znawca tematu opowiadał o tym, jak niebezpieczny dla młodych kobiet może być wyjazd do Egiptu.

Profesor Zbigniew Nęcki, psycholog społeczny, jest zdania, że duże zainteresowanie sprawą to po części wyraz naszej empatii. – Tę dziewczynę i jej rodzinę spotkała wielka tragedia. Dobrze, że nas to porusza. Potrafimy okazać współczucie. Wiele internetowych komentarzy to przecież wyrazy wsparcia dla rodziny – mówi. – Przed wojną wielkie emocje wzbudzała sprawa Gorgonowej, dziś chcemy poznać prawdę na temat śmierci młodej dziewczyny w Egipcie. I nie chodzi tu o zamiłowanie do kryminalnych historii, ale raczej o poszukiwanie silnych przeżyć emocjonalnych. A ta sprawa właśnie je ze sobą niesie, śledząc ją, widzimy, jak narasta dramat: dziewczyna wykupuje wycieczkę, ostatecznie jedzie na nią sama, w Egipcie zamiast wypoczynku na rajskiej plaży zaczynają się z nią dziać dziwne rzeczy. Włączamy się w tę historię.

ZDJĘCIA, SZPITAL, ŚMIERĆ

Magdalena Ż. pieniądze na wycieczkę do Egiptu pożyczyła od rodziców. To miała być niespodzianka dla jej partnera Marcusa. Na wczasy wykupione w znanym biurze podróży mieli polecieć oboje, ale okazało

prasa.pl be20e2503b

się, że mężczyzna nie ma ważnego paszportu. Próbował sprzedać wycieczkę, ale to się nie udało. Magdalena zdecydowała, że do Marsa Alam pojedzie sama. Na miejsce dotarła w nocy z 25 na 26 kwietnia.

To, co stało się potem, nie jest jasne. Koleżanki dziewczyny zdziwiło to, że nie kontaktuje się z nimi przez Internet, nie publikuje zdjęć z wyjazdu, co miała w zwyczaju. Wiadomo, że pierwszego dnia pobytu dzwoniła do rodziców. Informowała, że bezpiecznie doleciała i że jest piękna pogoda. Przez dwa kolejne dni nie mieli od niej sygnału. O tym, że słyszy dziwne odgłosy w pokoju, miała informować partnera. Do sieci trafiły też zdjęcia zrobione jej w hotelu. Na jednym leży skulona na korytarzu. Uczestnicy wycieczki twierdzą, że już pierwszego dnia zachowywała się dziwnie. Albo była nadmiernie pobudzona, albo nie było z nią kontaktu. Biuro podróży twierdzi, że objęło dziewczynę pomocą. W porozumieniu z rodziną miała wrócić do Polski wcześniejszym lotem – w sobotę 29 kwietnia. Ze względu na stan zdrowia nie wpuszczono jej na pokład. Tego samego dnia trafiła do szpitala w Marsa Alam. W ubiegłym tygodniu do mediów trafiły nagrania ze szpitalnego monitoringu. Dziewczyna siedzi na podłodze w otoczeniu kilku mężczyzn, ucieka, szamocze się z nimi, ostatecznie kilku z nich wynosi ją poza kadr kamery. Nie ma jasności, kim są mężczyźni – pracownikami szpitala, innymi pacjentami? Reporter TVP Info w relacji z Egiptu pokazywał bandaże i prześcieradła, którymi miała być przywiązana do łóżka. Pilnować miała jej pielęgniarka. Mimo to miała się oswobodzić sama i wyskoczyć przez okno. Zmarła po przewiezieniu do specjalistycznego szpitala w Hurghadzie. Dopiero wtedy na miejsce dotarł znajomy jej partnera, który miał zabrać ją do Polski. Część komentujących sprawę ekspertów twierdzi, że dziewczyna mogła mieć problemy psychiczne, które ujawnić się mogły nawet podczas podróży. Rodzina zaprzecza, twierdzi, że Magdalena Ż. nie miała depresji ani żadnych innych kłopotów ze zdrowiem.

STRACH PRZED DETEKTYWEM?

Sprawę śmierci Magdaleny Ż. badają egipscy śledczy, a także prokuratura w Jeleniej Górze, której przedstawiciele uczestniczyli w ubiegłym tygodniu w sekcji zwłok w Egipcie. Na razie śledztwo toczy się pod kątem zabójstwa. Prokuratorzy zajęli się też tropem, który podrzucili im internauci – wskazali, że śmierć Magdaleny Ż. podobna jest do samobójstwa, jakie w styczniu ubiegłego roku w hotelu w Karpaczu miała popełnić młoda modelka Karolina Kaczorowska. Obie panie mieszkały we Wrocławiu i w obu sprawach według internautów pojawiają się te same osoby – np. Kamil o pseudonimie Złoty. Miał być znajomym Kaczorowskiej, ale internauci wskazują także na jego związek ze sprawą Magdaleny Ż.

W sieci znalazło się wideo z rozmowy przez Skype'a Marcusa i Magdaleny Ż. Dziewczyna dziwnie się zachowuje, prosi chłopaka, żeby zabrał ją do Polski, i nie chce wyjawić, co się jej stało. W pewnym momencie do Marcusa dzwoni telefon. Na ekranie wyświetla się imię dzwoniącego. Część internautów i detektyw Krzysztof Rutkowski, który włączył się do medialnej sprawy, odczytali je jako „Złoty". Violetta Niziołek, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze, potwierdziła, że śledczy badali akta sprawy Kaczorowskiej, ale wśród zeznających nie było Marcusa, partnera Magdaleny Ż. W śledztwie zeznawał mężczyzna o imieniu Kamil, ale nazwisko się nie zgadza. Matka modelki, która zmarła w hotelu w Karpaczu, twierdziła jednak w rozmowie z Polsatem, że jej córka znała mężczyznę o imieniu Marcus.

Podejrzenia wobec Marcusa, jak również rezydenta, który opiekował się Magdaleny Ż. – Mahmouda K. – wysuwają nie tylko internauci z żyłką do rozwiązywania kryminalnych zagadek, lecz także Krzysztof Rutkowski. – Rozmawiałem z rezydentem, który jest bardzo wystraszony. On słyszał o naszych działaniach również na terenie Egiptu. Rutkowski dla nich jest pewnego rodzaju postrachem. Nie chcę nikogo oskarżać, niemniej na jego twarzy i rękach są ślady zadrapań – stwierdził w wywiadzie dla NaTemat.pl, choć wówczas nie zdążył jeszcze nawet dotrzeć do Egiptu. – Partner pani Magdy do tej pory nawet telefonicznie ze mną nie rozmawiał. Unika kontaktu i to też nie jest normalne – mówił z kolei o Marcusie.

GANGI REZYDENTÓW?

Takie wypowiedzi tylko nakręcają medialną spiralę. W sieci przybywa świadectw kobiet, które twierdzą, że Egipcjanie próbowali je zgwałcić, że dosypywali im czegoś do drinków. Mówi się o zbiorowych gwałtach na młodych dziewczynach. Powstała nawet teoria, że rezydenci współpracujący z biurami podróży sprzedają przestępcom informacje o atrakcyjnych kobietach przylatujących samotnie na wakacje.

Eryk Mistewicz zwraca uwagę, że w tej historii mocno eksponuje się stereotypy na temat tego, jak Arabowie traktują kobiety. – Polki ginęły w wielu innych krajach – w Wielkiej Brytanii, w Holandii – ale tamte sprawy nie wzbudzały takiego zainteresowania. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że gdyby coś takiego przydarzyło się młodej dziewczynie w innym niż muzułmański kraju, nie byłoby o tym tak głośno, nie byłoby to tak eksploatowane – mówi. Jest zdania, że media w nienaturalny sposób podgrzewają temat i już przekroczyły granice tego, czego nie powinny publikować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Loda Halama (1911–1996) – polska gwiazda dwudziestolecia międzywojennego, wzięta tancerka rewiowa, aktorka, celebrytka. Jej oszałamiającą karierę przerwał wybuch II wojny światowej FOT. NAC

Z Anną Lisiecką, autorką książki o Lodzie Halamie

rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: „Kiepura zyskał sławę pyskiem, Konopacka – dyskiem", a Loda Halama do galerii sławy weszła na własnych nogach, podobnie jak jej trzy siostry. Zadecydował talent, praca, a może protekcja?

ANNA LISIECKA: Gdyby państwo Halamowie mieli jakiegoś protektora, zapewne wcześniej osiedliby w Warszawie. To były czasy zdecydowanie rynkowe, a oni wydostali się z bolszewickiej Rosji „rzutem na taśmę" w 1921 r. Potem wymieniano już tylko więźniów politycznych. Wrócili do odradzającej się Polski. Loda widziała, jak rodzice całują polską ziemię. Wracali jako „nowobiedaccy" – to określenie Marii Jehanne Wielopolskiej. Byli bez grosza, więc dzieci musiały wspomagać domowy budżet. Robiły to już w Rosji. Z pobytu w imperium wyniosły pierwsze szlify taneczne. W Kijowie uczęszczały do sławnej szkoły tańca Bronisławy Niżyńskiej, siostry Wacława.

W 1927 r. Tacjanna Wysocka dokona oceny umiejętności i potencjału sióstr Halama. Napisze o nich jak o wunderkindach. Gdyby miały jakiegoś mecenasa… Po raz pierwszy rodzina staje do warszawskiej konkurencji w 1925 r. Występują, tak jak większość artystów z prowincji, w teatrze w Dolinie Szwajcarskiej. Na pniu zaangażowani zostają na kilka występów do kina Mignon. Wtedy projekcje poprzedzane były występami. Do dolinki przychodzi również Eugeniusz Koszutski. Mówi o nowo powstałym teatrzyku Perskie Oko i zaprasza na przesłuchanie za rok. Wiosną 1926 r. rodzina staje do tych przesłuchań i dziewczynki zostają zaangażowane. Debiut warszawski nastąpił w lipcu 1926 r.

Sukces przyszedł momentalnie, a obwieścił go m.in. Stanisław Dubois.

Pierwszy o siostrzanym kwartecie napisał Henryk Liński – wielbiciel i znawca tańca, recenzent teatralny, rewiowy i filmowy. Dzięki jego opisom wyobrazić możemy sobie filmy, które spłonęły, i widowiska, o których zapomniano. Jego entuzjastyczna recenzja ukazała się w „Kurierze Porannym". Autor o dzień późniejszej notki w „Robotniku", podpisany literami „St.D.", też nie zdradza nazwiska nowych utalentowanych tan-

eprasa.pl be20e2503b

W tańcu historii

cerek. Wyraźnie jednak wyróżnia Lodę: „Druga (licząc za pierwszą najwyższą) wyróżniała się fenomenalnym wprost tańcem". Wprawdzie „Słownik pseudonimów" wskazuje, że podpisu „St.D." używało kilka osób, ale w tym czasie tak sygnował teksty jedynie sekretarz redakcji „Robotnika".

Tancerką Loda Halama była chyba spełnioną. A aktorką?

Stworzyła w kinie kilka porywających kreacji. Moją ulubioną jest scena muzyczna z zeskokiem z ogromnego kieliszka szampana w dramacie „Kłamstwo Krystyny". Numer ustawiony przez Edwarda Radulskiego, współpracownika Hollywood, podobnie jak Edward Kuryło, autor scen tanecznych do „Nietolerancji" Davida Warka Griffitha, choreograf z teatru Perskie Oko. Zauważyli ją tam Aleksander Hertz – potentat filmowy, właściciel wytwórni Sfinks, i Ryszard Ordyński, wybitny polski reżyser, uczeń i współpracownik Maksa Reinhardta. Hertz reżyseruje – w 1927 r. – „Ziemię obiecaną", gdzie Loda tańczy Czarnego Łabędzia. Ordyński w tym samym czasie obsadza ją w ekranizacji sztuki Włodzimierza Perzyńskiego „Uśmiech losu". Współautorem scenografii do tego obrazu był Mieczysław Krawicz, któremu właściciel wielkiego domu mody – Boguchwał Myszkorowski – powierzył zrobienie filmu reklamowego o jego salonie. Loda wcieliła się tam w... manekina. A więc trzy filmy w 1927 r., a potem długa przerwa. Czasem decydował los. Przyjęła np. propozycję odtworzenia postaci tytułowej w „Dzikusce", adaptacji popularnego wtedy czytadła Ireny Zarzyckiej. Tuż przed zdjęciami Eugeniusz Bodo upuścił koleżankę na głowę w trudnym tańcu hawajskim i doznała wstrząsu mózgu. W efekcie zagrała Maria Malicka, a partnerował jej Zbyszko Sawan, co zakończyło się małżeństwem – nie tylko ekranowym.

Loda oddała też rolę (Karolinie Lubieńskiej) w „Pałacu na kółkach" wedle powieści Jerzego Kossowskiego „Cyrk", bo nagle zmarł jej ojciec. Tytuł okazał się arcydziełem. W 1933 r. oszałamiająco wykonała fokstrota „Argentyna" w filmie na kanwie prozy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Prokurator Alicja Horn", a następnie wystąpiła w pierwszej polskiej koprodukcji z Universalem, czyli w „Kocha, lubi, szanuje…".

REKLAMA

eprasa.pl be20e2503b

FOTO NAC

Kilkudniowe zaginięcie artystki było chwytem marketingowym?

Zdarzyło się to przed pierwszym klapsem do „Prokurator Alicji Horn". Takie praktyki stosował już Hertz, którego aktorzy ulegali sfingowanym wypadkom zawsze jakoś związanym z akcją wprowadzanego na ekran tytułu. Wszyscy, włącznie z aktorką i inżynierem Stefanem Ossowieckim, sławnym jasnowidzem, przystali na pomysł Hertza. Jednak „zaginięcie" rezonowało silniej, niż przypuszczali.

Pierwsze małżeństwo Lody rozpadło się z racji mezaliansu?

Mogę zacytować tylko Marię Annę Dembińską, szwagierkę Lody. Mówiła, że hrabia „Andrzej był bardzo w Lodzie zakochany, że byli w wielkiej przyjaźni – tylko ona bardzo chciała tańczyć, a on chciał, żeby więcej była w domu. To był, zdaje się, ów moment, gdy się wszystko rozeszło".

Z drugim wybrankiem odbyła wojenną podróż...

Opuszczali okupowaną Polskę autem w listopadzie 1939 r., wkrótce po zawarciu małżeństwa, więc zdążyli jeszcze zobaczyć, jak postępuje cywilizowany okupant. Georges Golembiowski – drugi mąż Lody, Polak z obywatelstwem szwajcarskim – chciał, aby żona pozostała w Lozannie. Nie zgodziła się i po pół roku wrócili do Warszawy, gdzie on prowadził filie szwajcarskiej fabryki farmaceutycznej. Ignacy Jan Paderewski żegnał ich pod Alpami zdaniem: „Jesteście parą wariatów, ale na pewno dobrymi Polakami".

Golembiowski był zaangażowany w konspirację?

W ekspertyzie zawartej w „Sprawozdaniu o przebiegu aresztowania Grota", podpisanej 13 października 1943 r. przez szefa referatu 998. kontrwywiadu KG AK Stanisława Leszczyńskiego, Golembiowski widnieje jako informator AK. Wtedy już nie żył. Został śmiertelnie postrzelony podczas zagadkowego napadu rabunkowego 13 lipca 1943 r. przy ul. Siennej. Kilka miesięcy później helweckie paszporty zapewniły wdowie z dwuletnim synem podróż do Szwajcarii.

Jaką rolę w biografii opisywanej odegrał Eugeniusz Świerczewski?

Był dziennikarzem i krytykiem teatralnym. Świetne pióro, zacny człowiek, oficer pociągu propagandowego w czasie wojny polsko-bolszewickiej, na wniosek mjr. Stefana Roweckiego awansowany do stopnia porucznika. W tych pięknych latach 20. i 30. niewielu się spodziewało, że wybuchnie wojna i niektórzy zdradzą. Wielokrotnie pisał o Halamkach. Zapewne je znał. Czy jednak zetknął się z nią lub jej mężem podczas okupacji?

Powojenne małżeństwa Lody służyły tylko zyskaniu obywatelstwa?

Tak mówiła i jestem w stanie ją zrozumieć. Była wdową z dwuletnim synkiem pod opieką, a w Anglii, gdzie znalazła się w roku 1945, wszystko reglamentowano. Trzeba było mieć obywatelstwo, aby otrzymać kartki. Jan Cobel, dyrektor Anglo-Polish Ballet, udał się po taką dżentelmeńską pomoc do jednego z polskich oficerów lotników. Wkrótce Loda zdecydowała się emigrować do Ameryki, do Kalifornii. Syn, choć wtedy był małym chłopcem, zapamiętał te dni, kiedy kończyła się im czasowa wiza i deportowano ich do Meksyku aż do czasu, kiedy znowu wyszła za mąż. To były śluby cywilne, toteż równie szybko się rozwodziła. Na pewno nie była wampem ani kusicielką, lecz elegancką, trzymającą fason kobietą, na której ciążyła ogromna odpowiedzialność za dziecko.

ANNA LISIECKA „LODA HALAMA. PIERWSZE NOGI DRUGIEJ RZECZPOSPOLITEJ" ZONA ZERO 2017

Z czego utrzymywała się po roku 1945?

Podczas wojny występowała wyłącznie charytatywnie. Zbierała pieniądze na działalność Polskiego Szpitala Wojskowego w Ujazdowie, na schroniska, zajmowała się dożywianiem dzieci z Czerniakowa. Udzielała się na scenach Genewy i Lozanny – na rzecz polskich żołnierzy z 2. Dywizji Strzelców Pieszych, internowanych w Szwajcarii, a następnie wspomagając warszawiaków wygnanych ze swego miasta.

Potem na krótko związała się z Anglo-Polish Ballet, współzałożonym przez jej siostry – Helenę i Alicję – oraz szwagra Czesława Konarskiego. W USA już do tańca nie wróciła. A PRL-owska prasa ironizowała, że „średnia z klanu sióstr Halama zamieszkała w Los Angeles, by być bliżej Hollywood – niestety za późno. Przerzuciwszy się z branży artystycznej do bardziej praktycznej, sprzedaje ubezpieczenia na życie i od ognia".

Nie bała się prozy życia.

Marian Hemar wykpił wydany przez nią obiad dyplomatyczny.

Gdyby odbył się on w zaciszu ścian domowych... To jednak były nadzwyczaj niezręczne pierogi, na które hrabia Dembiński i Loda zaprosili ambasadora PRL w Wielkiej Brytanii do Ogniska Polskiego w Londynie. Dyplomata był kolegą arystokraty ze szwajcarskiego internowania. Loda poznała w Lozannie zarówno Mariana Dobrosielskiego, jak i jego szwajcarską małżonkę. Po powrocie do PRL ten były oficer zaoferował usługi władzy ludowej – został pracownikiem MSZ. Rozumiem, że nie zapomina się ludzi, których się lubiło, ale uważam, że nie powinno się komunistycznego urzędnika przyprowadzać do siedziby tych, którzy za swoją spiżową postawę, za trudny status emigranta politycznego płacili cenę nędzy tak jak Józef Mackiewicz, Sergiusz Piasecki, Ferdynand Goetel lub Wacław Grubiński.

W PRL została armatorką?

W Stoczni Gdańskiej wybudowała jachty, które czarterowała. Miała inwencję, a jako że nie była bez grosza, mogła inwestować. Do Warszawy powróciła na stałe w latach 80. Ostatnie miesiące spędziła przykuta do łóżka. Złamała kość biodrową. Los uderzył w to, co zapewniło jej splendor i co przed wojną ubezpieczyła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Anna Lisiecka – dziennikarka Polskiego Radia, biografia „Loda Halama" jest jej debiutem literackim.

eprasa.pl be20e2503b

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOVA

Peryferyjne smuteczki

Andrzej Horubała

Z międzynarodowego portu lotniczego w Kobyłce jechałam wschodnią obwodnicą miasta. Taksówkarz bez przerwy zmieniał estakady czteropoziomowej autostrady" – tak niespodzianie zaczyna się epilog najnowszej powieści Wojciecha Chmielewskiego, o irytującym nieco tytule „Belweder gryzie w rękę".

Oto akcja raptownie przeniesiona zostaje o kilkadziesiąt lat w przód, w wyimaginowaną przyszłość, do Warszawy, w której starymi zniedołężniałymi bogatymi Polakami opiekują się niepokojący nieco arabscy imigranci, dokąd dobiegają echa starcia świata muzułmańskiego z chrześcijańskim, ale gdzie dostatnio i nowocześnie…

Epilog, jak jakieś opowiadanko political fiction z niszowego prawicowego kwartalnika, prezentując przed chwilą jeszcze małą dziewczynkę jako 50-letnią kobietę odwiedzającą rodzinny dom, wysadza w powietrze pakt, jaki – zdawać by się mogło – zawarł autor z czytelnikiem, snując przez 200 stron niespieszną opowieść o życiu kilku małżeństw (oraz niecierpliwego kapłana) na peryferiach Warszawy.

Rembertowskie opowieści, mało efektowne, choć przecież przynoszące i krew, i przemoc, i zdradę, nosiły stempel autentyzmu à la Marek Nowakowski. Bez fajerwerków, z bohaterami przeciętnymi, swoje uzasadnienie czerpały właśnie ze zgody na mały realizm. Chmielewski nie obiecywał kolorowego snu, nie podkręcał akcji, lecz ciągnął opowieść o swych rówieśnikach, wchodzących w wiek średni, wyzbywających się złudzeń, z tlącymi się jeszcze gdzieś w zakamarkach serc marzeniami. Umiejętnie wiązał z sobą losy bardzo różnych sąsiadów: pretensjonalnej telewizyjnej dziennikarki z głową pełną automotywacyjnych bzdetów, która grozę świata neutralizuje sokiem pomidorowym, wodą kinga pienińska i jogą, oraz jej męża – znajdującego się na aucie pismaka zasilającego sieczką tabloidy, efektownej zbliżającej się do pięćdziesiątki matki trojga dzieci żyjącej rojeniami o grzesznej miłości i jej zamkniętego w sobie małżonka, młodszych nieco i znajdujących się niżej w hierarchii społecznej – Moniki i Marka marzących o dziecku, no i księdza – narcystycznego osobnika, który chce wyrwać się z peryferyjnej parafii, zbrzydzony banalnością życia, i udać do klasztoru trapistów we Francji, by tam przeżywać prawdziwe wzloty ducha.

W odróżnieniu od poprzednich książek Chmielewskiego, akcja nie kończy się na poziomie wspominek i bezsilnych wzdychań czy mrzonek. Owszem, początkowo wydaje się, że oto znów

eprasa.pl be20e2503b

zaserwowano nam opowieść o ludziach, którzy życie przeżywają w dużej mierze w trybie przypuszczającym, rojąc sobie o wielkiej zmianie albo też zmianie malutkiej, drobnej korekcie, rozpamiętując poniechane plany, zarzucone możliwości, niespełnione miłości. Ale okazuje się, że bohaterowie zrywają z bezczynnością, podejmują decyzje o działaniu, zmianie, namiętność rozkwita nie tylko w głowach, postaci ożywają.

KONIEC AUTOEROTYZMU

W prozie Chmielewskiego, uważnie i z nadzieją śledzonego przez prawicowych czytelników, rzeczywiście dokonuje się zmiana. Autor pozwala wreszcie bohaterom działać, zrywając z manierą rozwijaną czy to w powieści „Kawa u Doroty" (2010), czy w wydanym przed trzema laty zbiorze opowiadań „Najlepsza dentystka w Londynie". W krótkich tych formach Chmielewski do znudzenia powielał onanistyczny schemat: jego bohater natykał się czy to myślami, wspomnieniami, czy na ulicy, czy na cmentarzu, na kobiecy obiekt. Raz była to młodzieńcza niespełniona miłość, kiedy indziej nauczycielka, innym razem fascynacja z miejsca pracy albo podpatrywana nieznajoma. No i roił sobie, co to by on zrobił i jak fajnie by miała kobieta z nim.

Dobrze, można powiedzieć, że tamte ujęcia jakoś odzwierciedlały – na ile ironicznie, nie wiem – dyktowany przez popkulturę wzór przeżywania świata, propozycję mentalnego seryjnego samogwałtu. A może trzeba to było czytać jako mimowolne zdemaskowanie prawicowych aberracji, gdy tabuizacja seksu prowadzi do fantazji, w których emanacja pychy, poczucia moralnej wyższości łączy się z poniżaniem przedmiotów swej erotycznej fascynacji.

Jakkolwiek to interpretować, faktem jest, że tego rodzaju manifestacje emocjonalnej niedojrzałości stawały się w twórczości Chmielewskiego czymś nużąco powtarzalnym.

Ale przecież zbiór opowiadań „Najlepsza dentystka…" zawierał też prawdziwe perełki – jak dedykowaną Joli i Markowi Nowakowskim swobodną grę wyobraźni kolesia siedzącego w dworcowej knajpie:

„Czy barmanka z »Baru Polskiego« była starą kurwą? Bardzo możliwe, choć wygląd miała stateczny, nobliwy nawet. Gładkie siwe włosy przycięte tuż za uszami, na nosie okulary w taniej oprawce. Zastanawiała jednak jej dobra komitywa z prostytutkami, starymi i młodymi. Rozmawiały dużo i chętnie, traktowały się po koleżeńsku. Chyba musiała być niegdyś jedną z nich".

Leniwe przemyślenia snute na widok spotkania barmanki z wyglądającą na biznes woman córką, Zuzanną, prowadzą narratora do finału – drastycznego, ale i przewrotnego, puentującego wspaniale to opowiadanie, będące jednocześnie hymnem ku czci rodzinnej miłości: „Zuza zatem, gdy robiła laskę koledze z konkurencyjnej kancelarii albo w pokoju hotelu Kyriad-Prestige stała pod ścianą i wypinała tyłek, nie była świadoma, że jej akcydentalny seks, z którego była tak dumna, jest niczym w porównaniu z tym, co jej matka, obecnie dworcowa barmanka, przez wiele lat doba za dobą robiła z czeredą klientów".

Dobiegający pięćdziesiątki pisarz wciąż jawi się jako ciekawie rokujący młodzieniec

No i jest w tym zbiorze opowiadań przede wszystkim „Deventer" – historia, gdzie żarliwe poszukiwanie duchowej ekstatycznej pełni niebezpiecznie wiąże się z obłędem i szaleństwem – świetny nastrój, esencja tego, co działo się w najlepszych latach na portalach Fronda.pl i Rebelya.pl, gdy metafizyka sąsiadowała z wypowiedziami kwalifikującymi się do psychiatryka.

Ten klimacik niestety nie zaistniał w nowej powieści Chmielewskiego – współpracownika „Frondy" i „Czwórek" – i zapisany w formie opowiadania czekać musi jeszcze na swe rozwinięcie.

Przezwyciężony został natomiast pleniący się w zbiorku gest nieudacznika-niewydymka snującego marzenia o uszczęśliwianiu innych kobiet. W „Belwederze" bohaterowie wreszcie postanawiają skonfrontować swe marzenia z rzeczywistością. Wykonać pierwszy krok, sprawdzić swą determinację.

INTYMNY ŚWIAT

Chmielewski pozostaje sobą: wydaje się ciepłym, szczerym facetem, który stara się realizm opierać na własnych obserwacjach i doświadczeniach. Rozpisuje na parę małżeństw opowieść o rodzinnej codzienności, zaprasza nas do swego intymnego świata, rozczulającymi szczegółami z niego obdarzając swoich bohaterów: lekki fetyszyzm związany czy to z luksusową bielizną, czy pieszczeniem kobiecych stóp okazuje się erotyczną dominantą wszystkich chyba męskich mieszkańców Rembertowa (Może to zresztą sprawa pokoleniowa?).

Oto żona Mariusza, Barbara, której mąż po narodzinach trzeciego syna, jeszcze w połogu, kupił „koronkową bieliznę w kolorze bordo. Do dzisiaj ją zakłada, kochają się, stanik i stringi stały się sekretnym kodem wejścia do krainy nieskrępowanej małżeńskiej miłości". Mieszkający nieopodal nich Marek niesie zaś koronkowe białe stringi swej żony, Moniki do ramiarza, by ten – na pamiątkę „niezapomnianej nocy" – oprawił je rozciągając na bordowym tle.

Rysuje Chmielewski obrazki z Rembertowa cienką kreską, nie dociska gazu. Nawet miłosne wiarołomne SMS-y wtapiają się w elegijną, melancholijną tonację, a zdrada nie zyskuje ostrych konturów. Jakby w tym osłabieniu kryło się przebaczenie.

Są w powieści kawałki znakomite, pokazujące, że tytuł następcy świętej pamięci Marka Nowakowskiego przymierzany jest do Chmielewskiego niebezpodstawnie: świetny obrazek z budki z wietnamskim żarciem na Warszawie Zachodniej – majstersztyk obserwacji czy zestawienie dwóch bohaterów, gdy Grzegorz, niespełniony pisarz pogardliwie myśli o goszczącym go Marku kombinatorze (od „kręcenia pewnych tematów"). „Przeciętniak. Sweterek z wzorem w renifery, spodnie, rzednące włosy zaczesuje do tyłu, siedzi i nic nie mówi. Mieszkają w tej dzielnicy dziesiątki takich Marków, codziennie wstają, załatwiają swoje drobne interesiki, wracają do domu na zupę, albo i nie wracają, kotłują się w tym nieokreślonym pejzażu, do którego bez reszty przynależą, który ich stworzył i dalej produkuje, i nigdy, nigdy wyżej nie podskoczą. Oni i ich potomkowie będą tu tkwić po wsze czasy...".

No tak, ale Chmielewski jest subtelnym moralistą. Marek, który celebruje właśnie poczęcie upragnionego dziecka, w dalszej części porannej rozmowy toczonej przy dżinie, udzieli swemu zadufanemu sąsiadowi mocnej etycznej lekcji.

Niespecjalnie kontrastuje Chmielewski swych bohaterów. Owszem, zaznacza różnice klasowe i gdy pokazuje wyprawę Marka i Moniki do Obór i Konstancina, do „Starej Papierni", dyskretnie pokazuje ich parweniuszostwo. Ale nie udaje mu się sugestywnie nakreślić stylu życia klasy

eprasa.pl be20e2503b

ludowej: ich egzotycznych fascynacji, świata wyobraźni, estetyki.

Podobnie nie dba o korzenie aspirujących do klasy średniej Grzegorza i Justyny. Owszem, Justyna – klasyczna idiotka otumaniona kolorowymi pismami ma pochodzenie robotnicze, ale już jej mąż raz będzie przedstawiany jako awansujący chłopak z małego mazowieckiego miasteczka, innym razem jako uczeń szkoły w Śródmieściu.

Pisze więc Chmielewski tak, jakby peryferyjność niwelowała różnice, jakby w łagodnym słońcu wszelkie krawędzie ulegały spłaszczeniu.

Epifanie prowincjonalnego spełnienia będą zdobić nie raz powieść „Belweder gryzie w rękę". Poczucie pełni albo przeczucie dziwnego szczęścia, erotyczny niespodziewany dreszcz przy spotkaniu żon Grzegorza i Marka gdy w nasłonecznionym salonie piją kawę, podziwiając swą urodę, męska radość z zapalenia papierosa i wystawienia twarzy ku słońcu, obserwacja pór roku zmieniających się w peryferyjnym wiejsko-miejskim otoczeniu – to wszystko nadaje prozie Chmielewskiego charakteru afirmatywnego.

★★★★☆☆
WOJCIECH CHMIELEWSKI „BELWEDER GRYZIE W RĘKĘ" ISKRY 2017

Buduje swą pokoleniową opowieść w sposób dyskretny, na półtonach: obserwuje bohaterów z lekką pobłażliwością i nigdy tak do końca ich nie ocenia. Ksiądz marzyciel zafascynowany filmem „Ludzie Boga" o męczeństwie trapistów w Algierii, odwiedza grób księdza Jerzego i zdaje się niczego nie pojmować. Wyalienowany ze wspólnoty wiernych, marzący o mistycznej unii z Bogiem, a bełkoczący zamiast modlitw banialuki o samorealizacji, zupełnie nie rozumie, gdzie i w jakim momencie się znajduje. Pisarz chałturnik oskarżający innych, a sam zagłębiający się w bezsensie, rozczytujący się w wizjach Katarzyny Emmerich, szukający ukojenia w sakramencie pokuty i w ramionach mężatki.

SZERZEJ!

Różnych ludzi stawia nam przed oczy Chmielewski, a tytułowego psa, Belwedera, którego wściekły atak stał się katalizatorem wielu zdarzeń, przenosi nawet w przyszłość – jako bohatera popkultury.

Jest jednak owa futurologiczna końcówka kiksem, choć domyka się w niej parę wątków i wstrząsająco przywołuje tajemnicę męczeństwa, aktywizując niespodziewanie wątek błądzącego księdza.

Bo albo autor trzyma swą fantazję na wodzy i czytelnicy kupują stłumione emocje i niewyraźne, szkicowane tylko cienką kreską zdarzenia jako znak realizmu i gwarancję prawdy, albo ma licencję na szaloną jazdę przez dekady, snucie oszałamiających wizji i bawienie się w przewidywanie przyszłości.

Ten jawny błąd pokazuje chyba jedno: Chmielewski wciąż szuka swojego stylu, swojego chwytu na rzeczywistość. Nie mieszcząc się w gorsecie małego realizmu, uczynił już mały krok, by rozsmakować się w szerszych narracjach. Eksploatując własne doznania i wrażliwość, zamarzył o geście pełniejszym i grze wyobraźni wyzwolonej z autobiografizmu. Mimo że dobiega pięćdziesiątki, wciąż jawi się jako młodzieniec, ale przecież niezwykle ciekawie rokujący. Bo mierzy wysoko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · RMF Classic · Tygodnik Powszechny · wprost · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · Presto · Multikino · Gold Hits · Ströer · Vixon · empik · cgm.pl · DlaWas.info · WP

eprasa.pl be20e2503b

PATRONAT DO RZECZY

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Ruski sputnik widzi wszystko

Gdyby Jan Banaś nie istniał, należałoby go wymyślić. Czarował techniką, strzelał gole w ważnych meczach klubu i reprezentacji. Ludzie go uwielbiali. Pozostał jednak piłkarzem niespełnionym. Gdy koledzy zdobywali złoto na igrzyskach olimpijskich i toczyli homeryckie boje na Fussball-Weltmeisterschaft '74, on został w kraju. Zdecydowały względy – jak to się w tamtych czasach mówiło – pozasportowe. Towarzysze działacze obwiali się, że urodzony w Berlinie Banaś znowu wywinie jakiś numer. Jeszcze jako zawodnik Polonii Bytom bryknął do RFN. Chociaż po roku wrócił z podkulonym ogonem, to zaufania centrali już nie odzyskał. Co innego w „hajmacie" – po przejściu do Górnika Zabrze stał się współtwórcą złotej ery klubu, któremu kibicowała cała Polska, złączona niechęcią do warszawskiej Legii.

Kidawa-Błoński dodatkowo ubarwił legendę futbolisty niepokornego, każąc mu spowiadać się oficerowi niemieckiej policji oraz rywalizować z kolegą z podwórka o względy hojnie obdarzonej przez naturę Marleny. Miło, że monopol „Piłkarskiego pokera" został wreszcie przełamany, bo PRL-owski sport jako zjawisko iście kosmiczne zasługuje nie na film, lecz na wysokobudżetowy serial w stylu HBO. Banaś i inni byli królami życia, pozwalano im na więcej niż zwykłym obywatelom. Zatrudnieni na lewych etatach zarabiali tyle, co górnicy na przodku i hutnicy przy spuście surówki, a mogli jeszcze obłowić się na zagranicznych wyjazdach. Władza, doceniając wpływ futbolistów na samopoczucie suwerena, nie żałowała im mieszkań, talonów na samochody i kolorowe telewizory.

„Gwiazdy" są przeładowane ówczesną ikonografią, didaskaliami oraz wizualnymi sztuczkami, przez co trochę się dłużą. Przydałoby się trochę więcej prostoty i dyscypliny, wszak „ruski sputnik widzi wszystko". Kidawa-Błoński jest twórcą chimerycznym, po świetnej „Różyczce" nakręcił kuriozalny dreszczowiec „W ukryciu". Film o Banasiu ma gorsze i lepsze momenty (z przewagą tych drugich). Tytuł, bardziej niż do bohaterów, odnosi się do obsady. Zalecam czujność – nawet w drobnych epizodach pojawiają się znajome twarze. Fabijański – o dziwo! – wygrywa aktorski pojedynek z Kościukiewiczem.

Śląskość sprawdza się jako element słodko-gorzkich produkcji z Polską Ludową w tle. Stąd było najbliżej na wyśniony Zachód, czyli do NRF, gdzie już w latach 60. rozwinęła się kultura grillowania. Reżyser „Gwiazd" pozwala sobie na kpiny z patriotyczno-górniczego kina Kazimierza Kutza. Cytuje Andruchowycza, lecz jeszcze bliżej mu do Kundery oraz jego tezy, że gdzie jak gdzie, ale w naszej części Europy ludzki los bywa szczególnie przewrotny i złośliwy. ©℗

REŻ. JAN KIDAWA-BŁOŃSKI „GWIAZDY" POLSKA 2017

wyst. Mateusz Kościukiewicz, Sebastian Fabijański, Karolina Szymczak

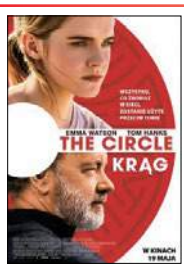

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „THE CIRCLE. KRĄG"

Ekranizacja powieści Dave'a Eggersa. Niewinne dziewczę trafia do raju na ziemi – kampusu najpotężniejszej firmy internetowej na świecie. Wszystko tu jest cudowne: warunki życia, socjal, życie towarzyskie. Do czasu, kiedy Mae (Emma Watson) odkryje mroczną stronę Kręgu – nowe oblicze Wielkiego Brata, który chce wiedzieć wszystko i kontrolować wszystko. Co, jak wiadomo, w erze Internetu wydaje się bardziej możliwe niż dotychczas. ©℗

Piotr Gociek

- ***„The Circle. Krąg" („The Circle"), reż. James Ponsoldt, wyst. Emma Watson, Tom Hanks, John Boyega, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Song to Song", reż. Terrence Malick, USA 2017***
- ***„Jutro będziemy szczęśliwi" („Demain tout commence"), reż. Hugo Gélin, Francja 2016***
- ***„24 tygodnie" („24 Wochen"), reż. Anne Zohra Berrached, Niemcy 2016***

eprasa.pl be20e2503b

Stara śpiewka

Jakiś czas temu bez entuzjazmu odniosłem się na tych łamach do oscarowego musicalu „La La Land". Dzisiaj, po obejrzeniu „Song to Song", biję się w piersi. Damien Chazelle i spółka naprawdę odwalili kawał solidnej roboty. Natomiast Terrence Malick kolejny już raz umacnia mnie w podejrzeniu, że jest nie tylko najbardziej pretensjonalnym, lecz także najbardziej przereklamowanym z amerykańskich reżyserów.

Oba filmy traktują o tym samym: zderzeniu młodzieńczych marzeń z brutalną i cyniczną rzeczywistością show-biznesu. Chazelle żeruje na klasyce, Malick też gra znaczonymi kartami. Chuchrowata Mara naśladuje Audrey Hepburn. Gosling znów brzdąka na pianinie, Fassbender znów praktykuje seksoholizm. Przefarbowana na blond Portman tradycyjnie robi za męczennicę. Val Kilmer niczym XXI-wieczna reinkarnacja Jima Morrisona szaleje na scenie z nożem i piłą tarczową. Z offu dobiegają zaś wyznania typu: „Nie wiedziałam, że mam duszę".

★★☆☆☆☆
REŻ. TERRENCE MALICK
„SONG TO SONG"
USA 2017

wyst. Rooney Mara, Natalie Portman, Michael Fassbender, Ryan Gosling

W Ameryce, jak wiemy, zawsze można zacząć od nowa, zmyć moralny brud wodą zaczerpniętą ze źródła (zapomnienia?). Malick chciałby w to wierzyć, lecz nie potrafi sprawić, by uwierzyli mu widzowie. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOCHANKOWIE Z MAROKA

Film Roberta Zemeckisa jest jak doskonale utrzymana przedwojenna limuzyna z garażu bogacza – nic, tylko głaskać karoserię i cmokać „dziś już takich nie robią". Rzecz dzieje się podczas II wojny światowej, para poznaje się w Maroku, gdzie ma wspólnie dokonać zamachu na niemieckiego dygnitarza.

★★★★☆☆
REŻ. ROBERT ZEMECKIS
„SPRZYMIERZENI" („ALLIED")
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Brad Pitt, Marion Cotillard, Jared Harris

Aliancki cyngiel i francuska agentka najpierw udają małżeństwo, wkrótce jednak naprawdę się w sobie zakochują. Akcja przenosi się do Londynu – para ma już dziecko, a niemieckie samoloty bombardują stolicę imperium. Nawet w tych warunkach można być szczęśliwym – dopóty, dopóki wywiad brytyjski nie zacznie podejrzewać, że Marianne jest niemieckim szpiegiem. „Sprzymierzeni" to melodramat w najlepszej tradycji dawnego Hollywood, którą współcześnie wskrzeszał np. „Angielski pacjent". Film dobrze skonstruowany, widowiskowo opowiedziany i z parą prawdziwych gwiazd w rolach głównych. Brad Pitt i Marion Cotillard wypadają bowiem znakomicie.

PIANINO NA GITARĘ ZAMIENIĘ

Piętnastoletni Shay, zwykły chłopak z przedmieścia, nie ma łatwego życia. Ojciec ląduje w szpitalu, do jego sklepu muzycznego pukają wierzyciele, ktoś musi opiekować się młodszą siostrą, a na matkę nie można liczyć – zawieruszyła się przed laty w Londynie, bo wybrała karierę szansonistki. Już to wystarczyłoby na dobry obyczajowy film. „London Town" skleja jednak tę historię z innym wątkiem – Shay zadurza się w przypadkowo spotkanej dziewczynie w stylu punk, zaczyna marzyć o rockowym buncie, a nawet spotyka legendarnego lidera The Clash – Joe Strummera. Rzecz dzieje się w późnych latach 70. Mamy tu niezłych aktorów kreujących ciekawych bohaterów i kawałek buntowniczej muzyki, ale zbyt wiele wątków pozostaje bez domknięcia (także tych najważniejszych, emocjonalnych). Ten mały, zgrabny film robi wrażenie szkicu do prawdziwie dramatycznej opowieści. Nasz polski „Wszystko, co kocham" obył się bez The Clash, a był dużo lepszy. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★★☆☆☆
REŻ. DERRICK BORTE
„LONDON TOWN"
WIELKA BRYTANIA 2016

wyst. Daniel Huttlestone, Natascha McElhone, Jonathan Rhys Meyers

GRA TYGODNIA: „WHAT REMAINS OF EDITH FINCH"

★★★★★☆

Jeżeli chodzi o niestandardowe gry przygodowe pojawiające się znikąd, to minione lata zafundowały nam prawdziwą klęskę urodzaju. „Everybody's Gone to the Rapture", „Firewatch", „The Vanishing of Ethan Carter" – żeby wymienić tylko najważniejsze. Do tej listy z czystym sumieniem można dopisać „What Remains of Edith Finch" – tytuł, w którym jako ostatnia przedstawicielka Finchów odkrywamy źródło ciążącej nad rodziną klątwy. Wracając do opuszczonego domu, bohaterka przeżywa losy ginących w tajemniczych okolicznościach przodków. Dzięki temu możemy doświadczyć kilkunastu zupełnie różnych, ale spójnych historii. Jest klimat. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *PC/PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Giant Sparrow/Sony*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl be20e2503b

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Trąd w pałacu sprawiedliwości

Najważniejsi w nowej powieści Johna Grishama wcale nie są skorumpowani pracownicy wymiaru sprawiedliwości ani ich – tytułowi – demaskatorzy, lecz… Indianie. To znaczy: rdzenni Amerykanie, bo tak podobno należy mówić o potomkach sławnych Irokezów, Czejenów czy Apaczów, co zresztą dezawuuje autor, zauważając mimochodem, że „określenie »rdzenni Amerykanie« jest politycznie poprawnym wymysłem niemających bladego pojęcia, o czym mówią, białych, którzy czują się lepiej, używając go, podczas gdy sami rdzenni Amerykanie określają siebie mianem Indian i śmieją się z tych, którzy tego nie robią”.

Gdzieś tak w końcu dziewiątej dekady zeszłego wieku Kongres ustanowił tzw. Indian Gaming Regulatory Act, który zapalił zielone światło dla rozwoju ekonomicznego „rdzennych Amerykanów”. Administracja Ronalda Reagana wydała pozwolenie na otwieranie i prowadzenie kasyn na terenach rezerwatów, przy czym te bardzo intratne przedsięwzięcia zarządzane przez Indian zostały zwolnione z podatku dochodowego.

Nastał okres prosperity, nie dla wszystkich plemion jednak. „Dla około 20 – pisała w książce »Otwarta rana Ameryki« Aleksandra Ziółkowska-Boehm – stały się kasyna motorem ekonomicznego wzrostu. Reszta ledwie sobie radzi. Najbiedniejsze plemiona, takie jak ogromne Nawaho czy Hopi, odrzuciły kasyna jako niewłaściwe źródło zarobku i przeciwstawiają się hazardowi z powodów religijnych”. Nie zmienia to jednak faktu, że indiańskie kasyna w tych stanach, w których przynoszą najwyższe zyski, należą do najbardziej dochodowych korporacji. Tak dzieje się w Kalifornii, gdzie umieścił akcję swego „Demaskatora” John Grisham.

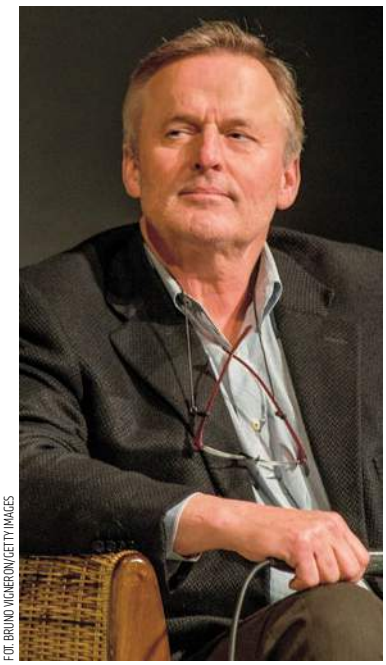

FOT. BRUNO VIGNERON/GETTY IMAGES

Powieściowym Indianom z plemienia Tappacola kasyno przyniosło dobrobyt. Tak przynajmniej wygląda to na pierwszy rzut oka. Jeden z tych „rdzennych Amerykanów” przyznaje, że to kasyno „dało nam pracę, szkoły, drogi, szpital, poziom zamożności, o jakim nasi ziomkowie nawet nie śnili. Każdy Tappacola, który skończy osiemnaście lat, dostaje dożywotnią rentę w wysokości pięciu tysięcy dolarów miesięcznie, a ta suma może jeszcze wzrosnąć. Nazywają ją dywidendą. […] Każdy Tappacola jest uprawniony do bezpłatnej opieki zdrowotnej, bezpłatnej edukacji i pokrycia czesnego, jeśli ma ochotę studiować”. Sęk w tym, że nie ma, nikomu bowiem z tego plemienia nie zależy ani na wykształceniu, ani na pracy. Pilnują jedynie, by w terminie otrzymywać czeki.

Plemię nie jest zbyt liczne, tak że dostęp do wszelkich dobrodziejstw i grantów, jakie otrzymuje, jest, z samej natury, elitarny. „Rdzenni Amerykanie” mają zresztą własne sądy i policję, za bardzo więc nie wiadomo, jakie zyski naprawdę osiągają ich kasyna i kto w nich partycypuje. W „Demaskatorze” hazard ten utrzymuje mafijny syndykat. Dzieli się on pieniędzmi z cieszącą się znakomitą opinią sędzią. Pani sędzia ma to do siebie, że podejmuje decyzje zawsze, ale to zawsze korzystne dla indiańskiego kasyna i mafii, która w zamian za to przekazującej jej co miesiąc ćwierć miliona dolarów.

Co powoduje poczynaniami skorumpowanej sędzi? Chciwość, nic więcej – odpowiada najsławniejszy autor prawniczych thrillerów. Naturalnie cały system prawny oparty jest w Ameryce na sędziach uczciwych, nie zmienia to jednak faktu, że takie czarne owce jak powieściowa Claudia McDover się zdarzają. A wtedy najwięcej do powiedzenia ma odpowiednia sędziowska komisja dyscyplinarna. Dla której interes korporacyjny nie jest bynajmniej najważniejszy, w przeciwieństwie do pewnego europejskiego kraju, gdzie sędzia uważa się za skarbnicę mądrości wszelakiej, alfę i omegę oraz wieżę z kości słoniowej. A odnośnie do jego uczciwości, to ta jest nie do podważenia. Jakby ktoś się ośmielił w nią powątpiewać, to stosowny odpór da Krajowa Rada Sądownictwa. Trąd w pałacu sprawiedliwości? Łapówki dla sędzi nad Wisłą? Niepodobieństwo, Polska to nie Dziki Zachód! ©℗

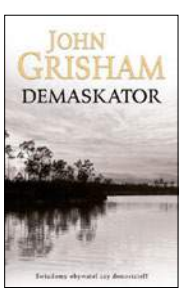

★★★★☆

JOHN GRISHAM „DEMASKATOR” ALBATROS, WARSZAWA 2017

eprasa.pl be20e2503b

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Opowieść z brzucha

Narrator nowej powieści Iana McEwana to nienarodzony jeszcze człowieczek o bardzo dużym rozumku. Ukryty w brzuchu matki niczym w tytułowej skorupce orzecha nie widzi świata samodzielnie, ale słyszy i czuje to, co rodzicielka, ma przy tym bardzo bujną wyobraźnię. Wciąż więc próbuje sobie wyobrażać najrozmaitsze rzeczy – począwszy od tego, jak wygląda matka w letniej sukience, do własnej przyszłości, gdy już się urodzi i będzie miał lat 70. Od poczęcia zaznajamia się z muzyką, której matka słucha często, zatem wyrabia sobie odpowiedni smak. Dzięki radiowym wiadomościom i pogadankom dysponuje także sporą wiedzą na temat współczesnego świata. Nie jest to wiedza wesoła.

Dla losów tego nietypowego narratora dużo ważniejsze od dalekich wojen i nieco bliższych zamachów jest to, co dzieje się tuż obok. Z przerażeniem odkrywa, że jego matka planuje morderstwo. Wspólnikiem jest jej kochanek, brat byłego męża, który przy okazji jest także biologicznym ojcem naszego bohatera. „W skorupce orzecha" z obyczajowej opowiastki prowadzonej z ekscentrycznego punktu widzenia zamienia się w kryminał – czy spiskowcom się uda? Jak dokonają zbrodni? – a potem w moralitet, bo kto odbiera życie, ten sam nie uchodzi bezpiecznie. Opis pustki i nagle poszarzałego świata, kiedy rzecz jest już dokonana, należy do najlepszych partii powieści. To w ogóle książka bardzo dobra. McEwan unika przesady, jego proza jest elegancka, sugestywna, a miejscami piękna. Nigdy nie traci z horyzontu powodów, dla których pisze, i choć bawi się rozlicznymi wtrętami niezwiązanymi z fabułą, to nigdy nie rozmienia się na drobne.

Chwyt narracyjny, który zastosował, pozwala mu skomentować każdy temat, na jaki ma ochotę, co chwila trafiamy więc na krótkie kąśliwe fragmenty, a to pod adresem poetów, a to zdychającej Europy, a to tajemniczych zasad rządzących damsko-męskimi fascynacjami.

Ciekawa rzecz: ateusz McEwan nakreślił tak wzruszający obraz nienarodzonego dzieciaka, że jego powieść mogłaby być manifestem pro-life. Jednocześnie diagnoza, jaką stawia ludzkości, jest tak ponura, że powinniśmy współczuć bohaterowi z powodu bliskich narodzin. Tych warstw i znaczeń jest w książce więcej; niektóre da się wychwycić dopiero po lekturze ostatniej strony powieści. ©℗

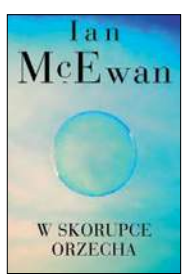

★★★★★☆
IAN MCEWAN
„W SKORUPCE ORZECHA"
ALBATROS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Pierwszy tom popularnej serii norweskich kryminałów. Jak wyznaje autor, miała to być jedyna powieść o Williamie Wistingu, ale za bardzo polubił swojego bohatera. Fabuła oparta jest na autentycznej sprawie zabójstwa z 1995 r.

JØRN LIER HORST
„KLUCZOWY ŚWIADEK"
SMAK SŁOWA

Książka z serii „Początki państw". Krótkie wprowadzenie w temat, poczynając od symbolicznego rozpoczęcia epoki wikingów, czyli najazdu na klasztor Lindisfarne, a kończąc na przyjęciu przez Norwegów chrześcijaństwa.

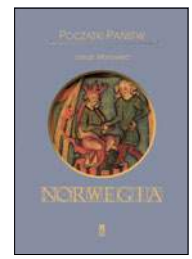

JAKUB MORAWIEC
„NORWEGIA"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Amerykańska klasyka dla dzieci, której bohaterami są dzielny parowóz i jego maszynista Bob. Drugie życie wydanej w 1942 r. książeczce dał Stephen King, czyniąc z niej ważny element swojej sagi „Mroczna wieża".

BERYL EVANS
„CHARLIE CIUCH-CIUCH"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Intrygujący aneks do biografii twórcy „Szewców" – szkic biograficzny o jego przyjacielu i admiratorze, nietypowym księdzu rozmiłowanym we Freudzie i w dramatach Witkacego. Plus zbiór tekstów samego ks. Kazimierowicza.

KS. HENRYK KAZIMIEROWICZ
„POWIERNIK WITKACEGO. PISMA ROZPROSZONE"
PIW

© ℗ poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Peter Wohlleben „Duchowe życie zwierząt" (Otwarte) – autor „Sekretnego życia drzew" w kolejnej opowieści o tajemnicach natury.***
2. ***Nela „Nela i skarby Karaibów" (Burda NG Polska) – kolejna podróż małej reporterki – tym razem śladami Kolumba.***
3. ***Peter Wohlleben „Sekretne życie drzew" (Otwarte) – jak krzewić wiedzę, czyli Wohlleben robi dla lasu to, co Jürgen Thorwald zrobił dla chirurgów.***
4. ***Jo Nesbø „Pragnienie" (Wydawnictwo Dolnośląskie) – detektyw Harry Hole po raz 11. – sprawa zabójcy z Internetu łączy się z jego przeszłością.***
5. ***Jeff Kinney „Dziennik cwaniaczka. Ryzyk-fizyk" (Nasza Księgarnia) – 11. tom popularnej serii. Jak ćwiczyć mózg i co katastrofalnego z tego wynika.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik w dniach 13–26 kwietnia 2017 r.)

eprasa.pl be20e2503b

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Tradycja

Karolina Cicha i Spółka FOT. SIMCHAT CHAJIM FESTIVAL

Festiwale muzyki żydowskiej w Warszawie, Krakowie czy we Wrocławiu wrosły na stałe w ich pejzaż, gromadzą fanów, mają już swoją tradycję. Zainteresowanie muzyką klezmerską – swoista wręcz moda na pielęgnowanie wszelkich śladów żydowskiej kultury, żywotność samej materii i bogactwo pomysłów, dostęp do sponsorów i last but not least oraz spore budżety samorządów pozwalają nie tylko stabilnie funkcjonować, lecz także sięgać po coraz ciekawszych artystów. Zorganizować jednak taki festiwal w Krotoszynie i Jarocinie to prawdziwe wyzwanie.

Okazuje się, że właśnie tam znaleźli się pasjonaci – i mam na myśli nie tylko społeczników czy działaczy z „szalonymi pomysłami", lecz także przedstawicieli władz miasta. Simchat Chajim Festival odbywa się już po raz szósty, a patrząc na tegoroczny program, życzę organizatorom kolejnych, tak dobrze zapowiadających się edycji. W Krotoszynie i w Jarocinie od 19 do 27 maja nie tylko zabrzmi muzyka inspirowana żydowską tradycją, zaplanowano również wiele wydarzeń – od spektakli teatralnych, spotkań, do warsztatów kulinarnych i wystaw. Muzycznie festiwal zaczął się już wcześniej, bo 12 maja, i to od razu mocnym akcentem. W Jarocińskim Spichlerzu Polskiego Rocka zagrali muzycy tworzący izraelsko-polskie trio, którego liderem jest świetny gitarzysta Dima Gorelik. W kolejnych dniach polecam gorąco ekipę Klezmafour, z którą gościnnie wystąpi Nikola Kołodziejczyk. Udział w tym przedsięwzięciu Kołodziejczyka – bodaj najciekawszego aranżera i instrumentatora młodego pokolenia – sprawia, że 19 maja kto żyw powinien wybrać się do Jarocińskiego Ośrodka Kultury.

Ciekawostką będzie niedzielny koncert muzyki organowej Pawła Szukalskiego „Jedno Drzewo Wspólne Korzenie" w kościele św. Jana Chrzciciela w Krotoszynie. Na finał na krotoszyńskim rynku wystąpi Karolina Cicha. Na marginesie – patrząc na zestaw wykonawców, z dumą zauważam, że kilkoro z nich swoje pierwsze kroki stawiało na festiwalu Nowa Tradycja. To pokazuje, jak wielką rolę odgrywa ten fantastyczny festiwal, zapoczątkowany przez Centrum Kultury Ludowej Polskiego Radia. Więcej na: www.simchatchajim.pl. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Głos moralnego niepokoju

Uwielbiam aktora Jakubika, Smarzowskiego uważam za najlepszego współczesnego reżysera, lubię czytać książki Vargi i słuchać piosenek Świetlickiego. Nie mogłem nie zauważyć trzeciej płyty Dr. Misia.

Zacna ekipa 40- i 50-latków zapowiada inteligentno-refleksyjny ubaw. Nic z tego. Świat Dr. Misia nie napawa optymizmem, co podkreślają już pierwsze padające zdania: „Nasza miłość umarła, nasza czułość pogrzebana, nasza bliskość skremowana, wspólne życie w trumnie i urnie". Bohaterowie piosenek marzą o: pracy w korporacji („Mordor"), miłości („Bądź moim Googlem") lub nienawiści („Hejter") w sieci, ewentualnie kochaniu samej siebie („Halina") bądź kontrolowaniu innych („Ochroniarz"). Świat damsko-męski wygląda jeszcze gorzej. Zakrapiane wspominki („Klubokawiarnia Smutek") przechodzą w „rozmowy bez treści i kłótnie bez sensu" („Za dużo"), by zakończyć się totalną porażką („Nonsens").

Najwięcej kontrowersji wzbudza, i miała wzbudzać, piosenka „Pismo". Słowa Vargi są niegłupie i zdecydowanie nie tak dosłowne jak antyklerykalny teledysk Smarzowskiego. Natomiast prawdziwą perłą na płycie jest „Po nas" z jednym z dwóch tekstów Świetlickiego i powalającymi doorsowskimi organami. Kuba Galiński odpowiedzialny za muzyczną stronę płyty postawił na nostalgiczne elektro-popowe brzmienia spod znaku depeszowej melodyki i sister-mersowskiego patosu. ©℗

★★★★★★
DR MISIO
„ZMARTWYCHWSTANIEMY"
UNIVERSAL

★★★★★★
DARIA ZAWIAŁOW
„A KYSZ!"
SONY

Interesujący debiut spod znaku rodzimego alternatywnego popu. Współczesne brzmienia, dobre melodie, radiowe przeboje, niebanalne teksty. Jedynie niezły głos Darii nie odnalazł własnej tożsamości i słyszymy Nosowską, Koteluk, Siouxsie Sioux... ©℗

★★★★★★
GORILLAZ
„HUMANZ"
PARLOPHONE

16 lat minęło od debiutu grupy, której obliczem byli komiksowi bohaterowie, a muzyka wzywała na bezkompromisowe funky house party. Zamiast powabu klawiszy Casio są dudniące basy i blichtr czerwonych dywanów (lista gości). ©℗

eprasa.pl be20e2503b

MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ · SEBASTIAN FABIJAŃSKI · KAROLINA SZYMCZAK · ERYK LUBOS · MAGDALENA CIELECKA · MARIAN DZIĘDZIEL · PAWEŁ DELĄG · WOJCIECH MECWALDOWSKI · ALEKSANDRA GINTROWSKA · ADAM WORONOWICZ

GWIAZDY

WIELKA PIŁKA I WIELKA MIŁOŚĆ

FILM POINT GROUP w współpracy z NARODOWYM CENTRUM KULTURY DOMEM MUZYKI I TAŃCA W ZABRZU TELEWIZJĄ POLSKĄ NARODOWYM INSTYTUTEM AUDIOWIZUALNYM INSTYTUCJĄ FILMOWĄ ŚLĄSKA FILM W KATOWICACH LIGHTCRAFT współfinansowane POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ MIASTO ZABRZE przedstawiają film GWIAZDY reżyseria JAN KIDAWA-BŁOŃSKI zdjęcia MICHAŁ ENGLERT produkcja JAROSŁAW PACHOWSKI ANDRZEJ SERDIUKOW produkcja wykonawcza TERESA DWORZECKA MIROSŁAW WARCHIŁ scenariusz JACEK KONDRACKI JAN KIDAWA-BŁOŃSKI w roli głównej MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ SEBASTIAN FABIJAŃSKI KAROLINA SZYMCZAK OLA GINTROWSKA MAGDALENA CIELECKA ERYK LUBOS PAWEŁ DELĄG ADAM WORONOWICZ MARIAN DZIĘDZIEL ROBERT TALARCZYK ze specjalnym udziałem GRAŻYNY TORBICKIEJ i WITOLDA PASZTA kierownictwo produkcji MIROSŁAW WARCHIŁ kostiumy ILONA DINARSKI charakteryzacja MIROSŁAWA WOJTCZAK scenografia ELWIRA FLUTA dźwięk DARIUSZ KOWALCZYK montaż JANEK KIDAWA-BŁOŃSKI JR muzyka DARIUSZ KOWALCZYK PIOTR LUGOWSKI dystrybucja KINO ŚWIAT

FILM POINT GROUP · Narodowe Centrum Kultury · Dom Muzyki i Tańca · TVP · Śląska Film · LIGHTCRAFT · Zabrze · KINO ŚWIAT

W KINACH OD 12 MAJA

EKSTRAKLASA · Lotto · zwierciadło · Gala · wprost · Rzeczy · TeleTydzień · FILM · co jest grane24 · ams · LOGO · empik · Przegląd Sportowy · STYLOWI.PL · WIZAŻ · DEMOTYWATORY.PL · FILMWEB · onet

eprasa.pl be20e2503b

Kukiz'19 Aktywacja

Rafał A. Ziemkiewicz

A jeśli ani PiS, ani „opozycja totalna" nie będą w stanie zdobyć w przyszłym Sejmie samodzielnej większości? Wtedy karty rozda ten, kto zdecyduje, z którą ze skłóconych stron zawrze koalicję. Wszystko wskazuje na to, że będzie to Paweł Kukiz

To tak oczywiste, że aż trudno uwierzyć, iż dotąd tego nie zauważano. Być może dlatego, że od wyborów zarówno wśród działaczy partii dominujących na scenie politycznej, jak i wśród jej komentatorów panowała moda na traktowanie Kukiza lekceważąco. Trudno policzyć, ile razy wróżono mu, że będzie gwiazdą jednego sezonu. Namieszał w wyborach, no, to się czasem amatorom zdarza, ale przecież – z naciskiem na „przecież" – żadnej poważnej siły nie uda mu się zbudować! Po pierwsze, nie ma programu poza prostymi antysystemowymi hasłami, więc szybko się wyborcom znudzi. Po drugie, nie ma struktur i skoro nie zarejestrował partii i nie wziął na nią budżetowej dotacji, to nie będzie miał pieniędzy, więc nie zapanuje nad gromadą indywidualistów, z której sklecił swój klub poselski. Po trzecie, nie ma doświadczenia, więc wytrawni gracze polityczni zakręcą nim, jak będą chcieli, powyciągają posłów i zmarginalizują. No i po czwarte – a może to po pierwsze – ile to już nieudanych prób stworzenia „trzeciej siły" dowiodło, że na polskiej scenie politycznej nie ma miejsca na nic poza PiS i anty-PiS?

Czas jednak mija i ani parlamentarny klub Kukiza się nie rozpadł, ani – co ważniejsze – jego ruch nie traci sondażowej popularności. Przeciwnie, notuje stałe, choć niewielkie zyski i obecnie w większości pracowni lokuje się nie tylko ponad progiem wyborczym, lecz także ponad psychologiczną granicą poparcia 10-procentowego. W połączeniu ze spadkiem popularności Nowoczesnej daje to Kukizowi solidne miejsce na podium. Widać też, że ma jeszcze skąd zaczerpnąć – i dotyczy to nie tylko kilkuprocentowych elektoratów, które zapewne przejmie po tracącym stopniowo popularność Korwin-Mikkem i jego skłóconych ze sobą oraz z samym patronem partiach, a także Nowoczesnej, na którą w pewnym momencie postawiła jakaś część wyborców szukających partii spoza oligopolu PO-PiS.

WŚRÓD RADYKAŁÓW

Zresztą o politycznej koniunkturze dla Kukiza decyduje nie poziom poparcia, ale coraz mniejsza zdolność partii tego oligopolu do wyjścia poza swoje żelazne elektoraty. PiS niemal natychmiast po wyborach porzucił wyborców centrowych i nie próbuje przekonywać do siebie nikogo więcej niż doskonale przekonanych, PO zaś zmuszona do rywalizacji z Nowoczesną, KOD i lewicą przyjęła retorykę tak radykalną i histeryczną, że musi ona odrzucać niezdecydowanych. Grzegorz Schetyna wzoruje się bez wątpienia na tym, co partia Kaczyńskiego robiła po roku 2010, z tą tylko różnicą, że „zamach w Smoleńsku" zastąpił „zniszczeniem demokracji" i „łamaniem konstytucji", a walkę ze zdrajcami Polski – obroną wolności i przynależności do Europy. Brnąc jednak w „totalność" opozycji, delegitymizując nie tylko rząd, nowy Trybunał, ale właściwie całe państwo (ostatnio politycy PO na poważnie rozważają całkowity bojkot mediów publicznych), zdaje się Platforma nie myśleć o tym, że wyjście z sekciarstwa za dwa lata może być znacznie trudniejsze, niż było dla PiS w 2015 r. Wtedy wystarczyło przysłonić radykałów nowymi twarzami. W roku 2019 ci, których partie skupione dziś na „żelaznych" wyborcach zechcą taką sztuczką pozyskać, będą już mieli do wyboru obecnego przez całą kadencję, a więc bardziej obliczalnego kandydata – właśnie Kukiza.

Zważywszy na to, że trwająca od półtora roku młócka pomiędzy PiS i totalną opozycją, mimo odpalenia wszystkich najpotężniejszych dział, nie przyniosła żadnej stronie zauważalnych sondażowych zysków ani strat w porównaniu z ostatnimi wyborami (jeśli policzyć wynik PO i Nowoczesnej razem) i że słabną szanse dostania się do przyszłego Sejmu PSL, wszystko zdaje się wskazywać, że nawet z klubem poselskim niewiele większym od obecnego będzie Kukiz w pozycji szczególnie uprzywilejowanej. Zarzuty, że nie ma określonego programu, stawiane mu przez kibiców zarówno władzy, jak i „opozycji totalnej", że w ważnych (dla nich) sprawach każdy w jego klubie głosuje inaczej albo wręcz wychodzi z sali, zupełnie się Kukiza nie imają. Jego sympatykom wystarczy, żeby trzymał się z dala od żenującej bijatyki PO-PiS, dystansował od histerycznych emocji żelaznych elektoratów, pokazywał błędy systemu biurokratyzowanego państwa i konsekwentnie odwoływał się do młodych, mających dość polityków z pokolenia Schetyny i Kaczyńskiego. Grupa wyborców, którą w ten sposób do siebie przywiązuje – pozwoliłem sobie ten zasób polityczny

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl be20e2503b

nazwać akronimem PIWONIA: Prawica, Wolnościowcy, Narodowcy i Antysystemowcy – wystarczy, by, jeśli jej głosy się nie rozstrzelą, dać Kukizowi w 2019 r. od 15 do może nawet 20 proc. głosów.

ALTERNATYWA

Wbrew medialnemu stereotypowi ruch Kukiza nie jest programowo eklektyczny – łączy go sprzeciw wobec państwa biurokratycznego, wszechwładzy urzędów nad gospodarką i życiem społecznym, przywilejów elit politycznych, bezradności wobec Unii Europejskiej – czyli przeciwko temu, w czym akurat PiS od PO nie różni się zbyt wiele. To prawda, że w obrębie klubu znalazły się osoby o tak różnych poglądach jak wolnorynkowcy i syndykaliści, ale Kukiz próbuje sobie z tym poradzić. Polityków PO i PiS, przyzwyczajonych, że partia musi być sprawnym, karnym wojskiem, a jej życie wewnętrzne tworzą nie żadne frakcje programowe, tylko personalne sitwy, pomysł „grajka, który stał się graczem" (jak pisał o Kukizie Andrzej Stankiewicz) śmieszy – ale na ich miejscu poczekałbym z szyderstwami z naiwności i idealizmu. Kukiz postanowił bowiem swój ruch zorganizować w stowarzyszenia czy platformy programowe, ucierające między sobą poglądy w wewnętrznej dyskusji. Zapowiadał powstanie czterech takich platform – endecji, syndykalistów i agrarystów, republikanów-wolnościowców oraz zwolenników JOW. Na razie najskuteczniej zorganizowało się to pierwsze, co nawet dało asumpt „Gazecie Wyborczej" do straszenia „kukistów" przed zaplanowanym na ostatni weekend spotkaniem klubu parlamentarnego, że zostaną przez endecję „zdominowani". Sam lider jednak wydaje się przekonany co do słuszności wymyślonej przez siebie formuły, więc przestrogi te mogą najwyżej zmobilizować pozostałe środowiska do szybszej samoorganizacji.

Można się oczywiście spodziewać, że partyjni liderzy zrobią wszystko, żeby środowiska skupiające się wokół Kukiza rozbić. Na razie metody, które zastosowali, okazały się mało skuteczne. „Wyciąganie" przez PiS z antysystemowego pospolitego ruszenia poszczególnych posłów doprowadziło do stworzenia dwóch marginalnych kół sejmowych (Wolni i Solidarni Kornela Morawieckiego oraz Republikanie Anny Siarkowskiej), ale spoistości klubu nie zniszczyło, podobnie jak jednoosobowa fronda Roberta Winieckiego. Nie zaszkodziła też Kukizowi propaganda mediów PO, przestrzegających przed jego ruchem jako „PiS-owskim" oszustwem i dyskredytująca go jako „przystawkę" PiS. Równie niewiele zaszkodziła też propaganda PiS, bazująca na oskarżeniu, że Kukiz „rozbija prawicę" i sugestiach spenetrowania jego ruchu przez WSI czy nawet agenturę Putina. Retoryka, którą skutecznie odebrał PiS poparcie inicjatywom takim jak Solidarna Polska czy Polska Razem, nie mówiąc o kilku wcześniejszych, w obrębie PIWONII najwyraźniej nie działa.

To, w czym komentatorzy przyzwyczajeni do niezmiennego od ćwierć wieku modelu życia partyjnego widzą słabość Kukiza – jego niechęć do wodzowskiego zarządzania swym „zasobem ludzkim" i pobłażanie dla indywidualistycznych zapędów współpracowników – w istocie może być jego największą siłą. Kukiz w zauważalny sposób różni się od polityków. Jego zdolność pozyskiwania wyborców nie zmalała, wciąż postrzegany jest jako człowiek bezinteresowny, szczery, spoza środowiska politycznego, swego rodzaju trybun ludowy czy wręcz westernowy mściciel w mieście bezprawia. Im usilniej awanturują się politycy, im on bardziej się od nich dystansuje, wtykając szpilę to jednym, to drugim, tym bardziej zyskuje.

JĘZYCZEK U WAGI

Dodajmy – im bardziej staje się prawdopodobne, że w przyszłym Sejmie „ani jedni, ani drudzy" nie poradzą sobie bez niego i to on będzie stawiać warunki Kaczyńskiemu oraz Schetynie, tym mniej musi się bać prób rozłamu czy buntu swoich posłów. Może wreszcie skupić się na kompletowaniu przyszłych list wyborczych i obmyślaniu warunków, które postawi partiom na jesieni 2019 r.

Jedynym, czego powinien się obawiać, jest jego własna spontaniczność i skłonność do ulegania nastrojom, które już kilka razy wpędziły go w kłopoty. Chociaż i tu może się pocieszać, że sympatycy okazali się zdolni wiele mu wybaczyć. Perspektywa, że dojdzie do znaczenia i dokona w Polsce „lepszej zmiany", wydaje się więc coraz bardziej realna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sąd nad sądami

Artur Wdowczyk, adwokat

Rafał A. Ziemkiewicz

Wszyscy się zgadzają, że sytuacja w polskich sądach wymaga uzdrowienia, pojawiają się rozmaite pomysły, ale wciąż brakuje spójnej koncepcji reformy. Poniżej przedstawiamy ocenę sytuacji i propozycję zmian. Jest ona oparta na doświadczeniach praktyka

Kluczem do poprawy jest dokończenie „otwarcia" zawodów prawniczych. Obecnie zawód sędziego pozostaje realnie zamknięty – o jego powołaniu decyduje bardzo wąska grupa (w większości sędziów z Krajowej Rady Sądownictwa). System oparty na kooptacji nie uwzględnia doświadczenia zawodowego i wieku nowych sędziów. I nie jest w stanie się sam zmienić, czego dowodzą kolejne afery opisywane przez media.

SĄDZENIE – SZCZYT KARIERY PRAWNICZEJ

Niewątpliwie najlepiej funkcjonującym modelem sądowniczym na świecie jest system anglosaski – wybór sędziego przez obywateli, nie zaś przez innych sędziów. Oczywiście w naszych warunkach należałoby system ten odpowiednio zmodyfikować. Przede wszystkim uznać, że nie ma „zawodu" sędziego – bycie sędzią jest zwieńczeniem kariery prawniczej. Sędziowie są wybierani w wyborach powszechnych pośrednich. Sędzią może być osoba, która ukończyła 40 lat i wykonywała zawód prokuratora, adwokata, radcy prawnego lub notariusza nie krócej niż siedem lat. Dlaczego 40 lat? Ponieważ w tym wieku kandydat będzie miał już doświadczenie życiowe (unikniemy sytuacji, gdy np. o alimentach orzekają osoby, które nie mają dzieci, a w sprawach gospodarczych takie, które nigdy nie miały z nimi nic wspólnego). Karencja siedmiu lat pracy w zawodzie prawniczym pozwoli podmiotom wybierającym sędziów na ocenę kandydatów nie za znajomość teorii, tylko przez pryzmat realnych dokonań zawodowych. Tym samym likwidujemy aplikację sądową jako zbędną i niepotrzebnie obciążającą skarb państwa.

Kto ma wybierać sędziów i według jakiej procedury? Obecnie wyboru dokonuje Krajowa Rada Sądownictwa, a następnie wybór ten jest akceptowany przez prezydenta RP. Mechanizm ten należy pozostawić, jednakże jako II i III szczebel wyboru.

eprasa.pl be20e2503b

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/FORUM

Należy wprowadzić I szczebel wyboru sędziów, który w odróżnieniu od obecnego systemu będzie miał charakter demokratyczny. Obecnie sędziowie wchodzący w skład KRS nie są wybierani w wyborach bezpośrednich – w istocie pozostaje to w sprzeczności z monteskiuszowską zasadą trójpodziału władzy, zakładającą nie tylko rozdział, lecz także demokratyczny wybór wszystkich władz. Obecnie w Polsce demokratycznie wybieramy Sejm, Senat, prezydenta oraz władze samorządowe, nie mamy zaś jako obywatele żadnego wpływu na wybór władzy sądowniczej.

Należy utworzyć wojewódzkie rady sądownicze (dalej: WRS), wybierane w wyborach bezpośrednich np. razem z samorządowymi. Sędziowie winni być wybierani przez WRS w drodze konkursu. WRS wybierałyby trzech kandydatów rekomendowanych następnie Krajowej Radzie Sądownictwa, ta zaś wybierałaby spośród nich jednego sędziego. Wybór sędziego zatwierdziłby prezydent RP. Trójstopniowy system pozwoli na wybór najlepszych kandydatów, ponadto I stopień dokonywany przez organ wybierany w demokratycznych wyborach zdecydowanie poprawi zaufanie do systemu.

Istotne jest, kto powinien mieć bierne prawo wyborcze do WRS. Najlepiej byłoby zastosować parytety. Większość członków WRS (np. 70 proc.) powinna się rekrutować z czynnych prawników – adwokatów, radców prawnych i notariuszy, którzy ukończyli 40 lat i wykonywali zawód adwokata, radcy prawnego lub notariusza nie krócej niż 10 lat. Reszta WRS to obywatele niezależnie od zawodu. Członkami WRS nie mogą być osoby pozostające w stosunku pracy, wykonujące jakiekolwiek funkcje w samorządach zawodowych ani członkowie partii politycznych. Obostrzenie to będzie skutkowało możliwie dużą niezależnością od czynników zewnętrznych. Ponadto obecnie w Polsce we wszelkich władzach mamy ewidentny nadmiar osób, które całe życie pracują w różnych państwowych instytucjach i ich postrzeganie rzeczywistości odbywa się wyłącznie przez pryzmat instytucji budżetowych. Brakuje głosu przedsiębiorców i wolnych zawodów. WRS dadzą szansę na wypełnienie tej luki w aktywności społecznej, a jednocześnie będą funkcjonowały poza systemem partyjnym. Członkiem WRS nie może być osoba w jakikolwiek sposób związana rodzinnie z sędziami i prokuratorami.

Tym, którzy uważają, że doświadczenie w wykonywaniu innych zawodów prawniczych nie wystarczy, by zostać sędzią, proponuję przyjrzeć się posiedzeniom komisji dotyczącej Amber Gold. Dysonans w zachowaniu przed komisją sędziów i prokuratorów – ich notoryczna niepamięć w zderzeniu z członkami komisji jest aż nadto widoczna. Ewidentnie bardzo dobrym przygotowaniem i sumienną pracą wyróżnia się tu pani poseł Małgorzata Wassermann – adwokat, a nie sędzia czy prokurator. Nie ukończyła ona Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury w Krakowie, ale aplikację adwokacką. Jak widać, pomaga to pani poseł, a nie przeszkadza.

Sędziowie poza oświadczeniami majątkowymi (co niedawno wprowadzono) powinni również składać oświadczenia majątkowe osób im najbliższych, które wykonują zawód adwokata, radcy prawnego, notariusza, komornika, sędziego i prokuratora oraz są innymi pracownikami wymiaru sprawiedliwości. Ponadto sędziowie powinni mieć taki sam immunitet jak adwokaci i radcy prawni – czyli wyłącznie podczas sądzenia, w sali sądowej. Obecnie w powszechnym odczuciu immunitet sędziowski jest zbyt szeroki, a procedura jego uchylania przez innych sędziów budziła wielokrotnie wiele wątpliwości. W USA sędziowie nie mają immunitetów i nie szkodzi to niezawisłości, ich pozycja społeczna zaś i szacunek są nieporównywalne z pozycją polskich sędziów.

Zgadzając się z postulatem środowiska sędziowskiego, by oddzielać władzę sądowniczą od wykonawczej oraz ustawodawczej, należy wprowadzić zakaz uczestnictwa sędziów w jakichkolwiek pracach ustawodawczych. W istocie łączenie tych ról rodzi patologię. Ponadto cała rzesza sędziów delegowanych do Ministerstwa Sprawiedliwości będzie mogła wrócić do pracy w sądach, co niewątpliwie poprawi obecną sytuację. Zasada ta powinna być wyraźnie wpisana do ustawy o ustroju sądów powszechnych. Czynni sędziowie nie powinni łączyć swoich obowiązków z jakimkolwiek innym zajęciem, w tym z pracą na uczelniach wyższych, szkoleniami itd. Takie standardy są powszechne w krajach zachodnich.

POSTĘPOWANIA DYSCYPLINARNE

Przez wiele lat postępowania dyscyplinarne wobec sędziów i prokuratorów stanowiły temat tabu. Prowadzone wewnątrz środowiska budziły wiele zastrzeżeń, przez długi czas były tajne (prokuratorskie). Ponadto przebieg postępowań i orzeczenia wydawane przez sądy dyscyplinarne budziły wielkie emocje wśród społeczeństwa, tak jak np. w sprawie sędziego Milewskiego. Swego czasu sędzia wiceminister sprawiedliwości, który spowodował wypadek, nie mógł być przez lata osądzony, gdyż nie uchylano mu immunitetu (blokowali to inni sędziowie) – dopiero program telewizyjny spowodował, że sprawa ruszyła. Praktyka wskazuje, że korporacja sędziowska i prokuratorska nie jest w stanie samodzielnie prowadzić postępowań dyscyplinarnych w sposób transparentny i wzbudzający zaufanie.

eprasa.pl be20e2503b

Z tego powodu to WRS powinny prowadzić postępowania dyscyplinarne wobec sędziów i prokuratorów. WRS, które otrzymały skargę na sędziego, losują radę prowadzącą postępowanie. Losowanie i rozprawa są jawne i nagrywane. Rada, która będzie prowadziła postępowanie, musi być oddalona od miejsca pracy sędziego co najmniej o jedną radę (np. sędzia z woj. dolnośląskiego może być oceniany przez WRS zachodniopomorską lub mazowiecką). Wylosowana rada losuje członka, który będzie pełnił obowiązki rzecznika dyscyplinarnego. W przypadku decyzji o skierowaniu sprawy do sądu dyscyplinarnego WRS losuje ze swojego składu trzech członków – skład Sądu Dyscyplinarnego. Orzekanie odnośnie do deliktów dyscyplinarnych winno się odbywać z udziałem siedmioosobowej ławy przysięgłych – obywateli losowanych, niebędących prawnikami. Ława przysięgłych będzie na wzór anglosaski decydowała jedynie o winie podsądnego. Delikty dyscyplinarne sędziów i prokuratorów nie powinny ulegać przedawnieniu, a postępowanie dyscyplinarne powinno być zakończone w nieprzekraczalnym terminie trzech lat we wszystkich instancjach. W przypadku rażącego naruszenia prawa lub zasad etyki przez sędziego prezydent powinien mieć prawo wszczęcia samodzielnie postępowania dyscyplinarnego wobec sędziego oraz prawo do wnioskowania o zawieszenie sędziego we wszystkich czynnościach do czasu prawomocnego zakończenia postępowania dyscyplinarnego.

POWODY PRZEWLEKŁOŚCI POSTĘPOWAŃ

Ideologia zamiast praktycznej wiedzy i zupełny brak odpowiedzialności – to dwa główne powody przewlekłości. Nasze procedury z niewiadomych powodów oparto na teoriach naukowców, które pozostają w zupełnej sprzeczności z praktyką. Przykładem jest wprowadzenie zasady kontradyktoryjności w procedurze cywilnej: nakłada ona na strony uczestniczące w procesie sądowym obowiązek przedstawienia materiału faktycznego i dowodowego oraz wyjaśnienia wszystkich istotnych okoliczności sprawy, sądowi zaś pozostawia tylko ocenę tego materiału.

Tym samym pozbawiono sąd możliwości własnej aktywności i wyeliminowano z kodeksu postępowania cywilnego zasadę, że przedawnienie sąd bada z urzędu. W efekcie mamy teraz całą lawinę powództw o zapłatę przedawnionych roszczeń – składanych na zasadzie „może się uda", może ktoś nie odbierze wezwania, może się pomyli i będzie musiał zapłacić. Co ma to wspólnego ze sprawiedliwością? Nic – po prostu przez lata pojawiło się silne lobby firm windykacyjnych, o zgrozo! wspieranych przez przedstawicieli nauki, tłumaczących nam wszystkim, że tak musi być, bo tak wynika z teorii kontradyktoryjności. Apogeum tego zupełnie błędnego rozumowania było powołanie e-sądu w Lublinie. Przypomnę tylko, że po jednej z afer związanych z wyżej wymienionym sądem jeden z przedstawicieli stowarzyszenia sędziów Iustitia stwierdził wprost, że e-sąd nie ma nic wspólnego z orzecznictwem!

Należy się zastanowić, w ilu przypadkach sądy zajmują się sprawami, którymi zajmować się w ogóle nie powinny. W sądach rejonowych może ich być ponad 30 proc. Gdyby wycofać się z wyżej opisanej zasady, to sędziowie mogliby się zająć innymi sprawami i pomóc obywatelom w realnych problemach. Mamy też jedną procedurę dla spraw np. o 30 zł i 10 mln zł. Każdy wie, że to zupełny nonsens i należy stworzyć realną procedurę uproszczoną. Teoretycznie ją mamy, jednakże ta „uproszczona" procedura wymaga wypełnienia pięciu stron formularza oraz załącznika, podczas gdy przed jej wprowadzeniem taki sam pozew można było napisać na dwóch stronach.

Nasze obecne regulacje nie przewidują po stronie sądu realnej sankcji za niekończące się procesy

Drugi, chyba ważniejszy, powód przewlekłości postępowań to zupełny brak odpowiedzialności pracowników sądów i sędziów. Nasze obecne regulacje nie przewidują po stronie sądu realnej sankcji za niekończące się procesy. Może to zmienić rozdział nadzoru administracyjnego od orzecznictwa. Dyrektor administracyjny sądu winien otrzymywać co miesiąc raporty z każdego wydziału dotyczące spraw, które wpłynęły, terminów ich rozstrzygnięcia, liczby niedotrzymanych terminów wraz z uzasadnieniem ich złamania i wskazania osoby odpowiedzialnej. Mogą to być również raporty imienne poszczególnych pracowników i sędziów. Aby system był efektywny, należy wprowadzić w przypadku ustalonej liczby uchybień automatyczne wszczęcie procedury wyjaśniającej/dyscyplinarnej. Automatyczne, czyli niezależne od decyzji sędziów i dyrektora administracyjnego, ten ostatni odpowiada jedynie za przekazanie informacji o uchybieniach do WRS. Oczywiście dyrektor administracyjny winien codziennie otrzymywać zestawienie czynności każdego pracownika sądu. To powszechnie przyjęte w biznesie rozwiązanie pozwoli na zbadanie rzeczywistej wydajności poszczególnych osób w sądach.

UPROSZCZENIE POSTĘPOWAŃ I ICH TRANSPARENTNOŚĆ

W naszych procedurach należy wprowadzić kilka prostych zmian, które ułatwią wszystkim pracę i wpłyną na wzrost zaufania do sądów. Przede wszystkim po wpłynięciu sprawy do sądu niech następuje losowanie wydziału, który ma prowadzić postępowanie, a następnie sędziego prowadzącego. Losowanie jest nagrywane, strony mają prawo w nim uczestniczyć. Nieprzeprowadzenie losowania jest równoznaczne z nieważnością postępowania i stanowi delikt dyscyplinarny przewodniczącego wydziału lub prezesa sądu. Należy ujednolić termin zaskarżeń we wszystkich procedurach. Zażalenie – 14 dni, apelacja – 30 dni, skarga kasacyjna – dwa miesiące. Każdy wyrok powinien być doręczony stronie, jeżeli nie była podczas ogłoszenia – od dnia doręczenia liczy się termin do zaskarżenia. Każdy wyrok zawiera uzasadnienie – spisane motywy ustne. Pełne uzasadnienie na życzenie. Należy znieść wszystkie obostrzenia odnośnie do pomyłek w adresowaniu środków odwoławczych, które służą jedynie odrzucaniu i „poprawie statystyki". Powinniśmy przywrócić dawne rozwiązania: środek zaskarżenia może być odrzucony jedynie wtedy, gdy został złożony po terminie lub nieopłacony. Pomyłki co do adresu lub numeru konta nie powinny mieć znaczenia – liczy się data stempla pocztowego bądź przelewu, nie zaś data jego przekazania pomiędzy organami państwa. Obecne rozwiązania są ewidentnie korupcjogenne. Sądy powinny same uzyskiwać odpisy z KRS, a nie wzywać do tego strony – to sądy prowadzą przecież rejestry w jawnej formie elektronicznej.

Jeżelibyśmy jeszcze do tego dodali sędziów pokoju wybieranych przez obywateli, to mamy szansę na system działający – w przeciwieństwie do obecnego, z którego nikt nie jest zadowolony oprócz osób w nim zatrudnionych.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Wojna o muzeum wojny

FOT. JAN ANDERMAN/FORUM

Tomasz Kaźmierowski

W debacie nad Muzeum II Wojny Światowej emocje i polityczny spór wzięły górę nad tym, co bardziej istotne – jakością placówki

Spór o Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku nie ma kilkutygodniowej historii, jak chcieliby jego dotychczasowe kierownictwo oraz politycy koalicji rządzącej w latach 2007–2015. Od 2008 r., szczególnie zaś od określenia składu Rady Muzeum, wyznaczenia na jego dyrektora prof. Pawła Machcewicza i przyjęcia założeń programowych było oczywiste, że ta ważna i ogromna w sensie wysiłku finansowo-organizacyjnego inwestycja (blisko 500 mln z budżetu państwa) będzie realizowana bez porozumienia ponad bieżącymi podziałami politycznymi.

W debacie nad gdańskim muzeum najrzadziej, niestety, strony poruszają temat profesjonalizmu i jakości. Profesor Machcewicz bardzo chciałby w tym obszarze swoich oponentów zdeprecjonować, przedstawiając ich pretensje i działania jako nieprofesjonalne oraz powierzchowne, ale jego zespół również nie ustrzegł się mniej i bardziej poważnych błędów, a także uchybień. Nie miejsce tu, by omawiać je szczegółowo, lecz konieczne wydaje się wspomnienie choćby o kilku.

GRZECHY GŁÓWNE

Muzeum przygotowane pod kierunkiem prof. Machcewicza ma kilka istotnych mankamentów. Można je podzielić na narracyjne, funkcjonalne i zasobowe.

1. Problemy narracyjne

Do Rady Muzeum (a potem do Rady Powierniczej i Kolegium Programowego) weszło wielu wybitnych polskich i zagranicznych historyków, przy czym poważniejsze, kreatywne i operacyjne – a nie tylko doradcze – doświadczenie w budowaniu komunikacji dużych muzeów mieli tylko profesorowie Israel Gutman i Andrzej Chwalba. Nie miał go sam prof. Machcewicz. Podkreślę tu, że czynnikiem tzw. podstawowej higieny przy tego rodzaju przedsięwzięciach jest tworzenie ich wyłącznie w oparciu o historyków, muzealników i profesjonalistów w dziedzinie komunikacji z wielokrotnie potwierdzonymi osiągnięciami.

Oprócz czołowych historyków w radzie znalazło się miejsce dla kilku osób mniej, jak się zdaje, kompetentnych w materii budowania ekspozycji dotyczących II wojny światowej i, szerzej, jakichkolwiek poważnych ekspozycji. Szczególnie zaskakiwać może członkostwo w Radzie Powierniczej gdańskiego wydawcy, Grzegorza Fortuny, z pewnością godnego szacunku współautora albumów z cyklu „Był sobie Gdańsk" oraz publikacji „Wydarzyło się w Gdańsku" (obie wspólnie z Donaldem Tuskiem). Grzegorz Fortuna od 2008 r. pełnił też funkcję głównego doradcy prezesa Rady Ministrów, a w 1998 r. został laureatem Nagrody Prezydenta Miasta Gdańska. Nie znalazło się w żadnym z tych ciał miejsce dla któregokolwiek z licznych, poważanych w Polsce historyków, którzy proponowaliby inne rozłożenie akcentów. Dopiero po wyborach w 2015 r. podjęto działania, według oponentów pozorowane, mające zaprzeczyć twierdzeniom o niedopuszczaniu do głosu części środowiska historycznego. Za pośrednictwem bez wątpienia stronniczego w tej sprawie prezydenta Gdańska zaproponowano m.in. prof. Janowi Żarynowi debatę, choć jednocześnie zespół muzeum oświadczał, że jego praca jest skończona i niczego już nie będzie zmieniać.

Profesor Machcewicz akceptował tak skonstruowany zespół i formułę przedsięwzięcia. Tym bardziej dziwić muszą jego niefortunne wypowiedzi o rzekomym zaskoczeniu skróceniem jego kadencji w efekcie zmian prawnych dotyczących muzeum jako podmiotu, która miała gwarantować autonomiczność zespołu. Sam prof. Machcewicz swoimi osobistymi wyborami również nie przyczynił się do budowania owej autonomiczności zespołu, przyjmując funkcję głównego doradcy w Gabinecie Politycznym Prezesa Rady Ministrów i kandydując w 2007 r. z rekomendacji PO do Kolegium IPN.

Tyle o zespole. Każde podobne wielkie przedsięwzięcie muzealno-wystawiennicze od wielu dekad nie może obyć się

eprasa.pl be20e2503b

bez udziału profesjonalistów w zakresie kreacji i komunikacji. Żadna z firm mających doświadczenie w najlepszych muzeach świata nie otrzymała zlecenia. Kontrakt wygrała w 2009 r. belgijska firma Tempora.

Przewodniczący sądu konkursowego, wybitny, lecz niemający doświadczenia w muzealnictwie ani we współczesnej interaktywnej, multimedialnej komunikacji artysta, Andrzej Pągowski, powiedział, że „o zwycięstwie Belgów zdecydowało zaplanowanie w przestrzeni wystawy miejsc edukacyjnych przeznaczonych dla dzieci. To była chyba jedyna praca, w której pomyślano o dzieciakach, o ich edukacji". Brzmi to bardzo powierzchownie i mało przekonująco. Szczególnie wziąwszy pod uwagę to, jak wtórne są gry i zadania proponowane dzieciom.

Poza znacznie skromniejszymi projektami lokalnymi na koncie Tempora nie może pochwalić się nawet jednym projektem porównywalnym z realizacjami najlepszych anglosaskich specjalistów pracujących dla British Museum, Imperial War Museum, Tate Modern i wielu innych ze światowej czołówki. Firma ta bez wątpienia jest za to lubiana przez europejską centralę. Przy jej współfinansowaniu znalazła niedawno pracę nad projektem Muzeum Europy w Brukseli, przy wystawach takich jak „Europa – to nasza historia!" oraz „Islam – to także nasza historia". Tylko w Polsce posypały się kontrakty dla najwyraźniej posiadających klucz do polskiego rynku Belgów, że wymienię Centrum Historii Ostrowa Tumskiego i Muzeum Pamięci Sybiru.

Jednym z głównych celów muzeum – jak to określały zasadnicze dokumenty przedsięwzięcia – było „pokazanie światu doświadczenia wojennego Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, pod wieloma względami odmiennego i mało znanego w Europie Zachodniej i w krajach pozaeuropejskich".

Narracja zbudowana przez zespół dotychczasowego dyrektora muzeum w dalece niewystarczającym stopniu ten cel realizuje. Debata, a raczej głuchy telefon między krytykami dzieła a jego autorami, ani nie przypomina dyskusji naukowej, ani nie opiera się na jakichkolwiek uzgodnionych narzędziach ewaluacji. Wynika to w znacznym stopniu ze zignorowania opinii krytyków w okresie do 2015 r. oraz z napisania przez tych ostatnich recenzji na zlecenie ministra Piotra Glińskiego chyba w zbyt dużym pośpiechu. Wszystko to sprowadza obustronne wypowiedzi do wskazywania potknięć oponenta. Na usłyszane w mediach, przedstawione skrótowo i cząstkowo zarzuty (potem powtórzone w wyżej wspomnianych recenzjach prof. Jana Żaryna, dr. hab. Piotra Niwińskiego i red. Piotra Semki) prof. Machcewicz odpowiada, wskazując drobniejsze lub istotniejsze obiekty lub grupy obiektów w muzeum, których obecność miałaby deprecjonować opinie krytyczne. Najlepszym bodaj tego przykładem była odpowiedź na, skądinąd zbyt ogólnikowe, zarzuty pominięcia w narracji masowych ofiar rzezi Woli w powstaniu warszawskim. Na takie opinie prof. Machcewicz odpowiada wskazaniem zdjęcia eksponatu z podpisem: „Dziecięcy bucik należący do jednej z ofiar rzezi cywilnych mieszkańców Woli podczas Powstania Warszawskiego".

Nie komentując stopnia szczegółowości recenzji ani innych przejawów krytycznych opinii o narracji muzeum, chciałbym przychylić się do kilku ocen i konkluzji, które krytyka ta wyraziła w sposób mniej lub bardziej koherentny.

Pierwszą i najważniejszą z nich jest postulat bardziej konsekwentnego komunikowania wyjątkowości sytuacji Polski w II wojnie. Chodzi oczywiście o wyjątkowość – i jej tragizm – wynikającą z tego, że Polska jako jedyny kraj w Europie została zaatakowana i wiele ucierpiała z rąk dwóch głównych wrogów w tym konflikcie. Oraz że na jej terytorium życie straciła większość żydowskich i cygańskich ofiar Holokaustu, że jej ofiary cywilne i wysiłek wojskowy (siły zbrojne i ruch oporu) były nieporównywalne z większością zaatakowanych i okupowanych państw. Wreszcie – że żadne europejskie państwo nie straciło tak ogromnej części swojej inteligencji.

Obejrzałem ekspozycję dwukrotnie i byłbym skłonny zasadniczo przychylić się do opinii krytyków. Bez wątpienia nie ustawiono punktu ciężkości przekazu w taki sposób, by zwiedzający wychodził z przekonaniem o wyjątkowej sytuacji Polski.

Do pozostałych kwestii wartych głębszej analizy zaliczyłbym brak zachowania proporcji w przedstawieniu ofiar obu totalitaryzmów (o ile ideologie III Rzeszy i sowieckiej Rosji zostały pokazane w sposób zrównoważony, o tyle ofiary obu tych systemów już nie). Również determinująca powojenny los Polski i jej podziemia niepodległościowego rola sowieckiej Rosji pozostaje w głębokim tle głównych osi przekazu.

Gdańska placówka wciąż ma szanse, by stać się najważniejszym w Europie muzeum opowiadającym o II wojnie światowej

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Ofiary polskiej wsi, a więc ofiary pacyfikacji (z wielokrotnie przecież większą liczbą ofiar niż we wszystkich państwach Europy Zachodniej i Środkowej razem wziętych), wywózek do obozów i na roboty, akcji przeciwpartyzanckich (oraz nieznanych w Europie Zachodniej represji za ukrywanie Żydów, żołnierzy ruchu oporu, lotników), wypędzeń, germanizacji dzieci, kontyngentów, rabunku, drenażu finansowego stanowią główną kategorię polskich strat. Terror i degradacja, jakiej poddał okupant polską wieś, pozostają mało znanym zjawiskiem. Narracja, owszem, zawiera w różnym stopniu wszystkie te elementy, lecz przyjęte proporcje wobec innych,

eprasa.pl be20e2503b

licznych przecież tragedii ludności cywilnej powodują jej rozmycie. Odniosłem ponadto wrażenie, że twórcy ekspozycji mniej lub bardziej świadomie (a może pod wpływem Tempora SA) ulegli dominującemu od kilku dekad trendowi „umiastawiania" narracji muzealnych (urban issues, urban experience) w celu ułatwienia odbioru przekazu przez niemal zupełnie zurbanizowane społeczeństwo. Polskie doświadczenie w tym zakresie, jak wiadomo, jest zupełnie inne – podczas wojny mieszkańcy wsi stanowili 76 proc. populacji Polski.

Podobnie, jak się wydaje, analizy przez szerszy, bardziej reprezentatywny zespół historyków wymagają: przedstawienie Intelligenzaktion oraz wysiłku wojennego Polski (wojna obronna we wrześniu 1939 r. pokazana jest niedbale, jakby zabrakło w zespole kompetentnego historyka wojskowości lub go zmarginalizowano), dość szeroko krytykowana, bardzo wybiórcza prezentacja roli Kościołów i niemal całkowicie pominięte zagadnienia doskonale zorganizowanej, niebywałej, materialnej oraz finansowej eksploatacji zasobów Polski przez III Rzeszę.

Muzeum brakuje też moim zdaniem miejsca lub obiektu ogniskującego kluczowe elementy narracji. Czegoś, co potem nie tylko pojawia się we wspomnieniach, lecz także dzielone jest na portalach społecznościowych i w rozmaitych aplikacjach komunikacyjnych. Tak jak Wielki Dziedziniec w British Museum, jak Blitz i Wieża Holokaustu Libeskinda w berlińskim Muzeum Żydowskim. Dobrze wybrany focal point jest wart więcej niż tysiąc metrów przestrzeni ekspozycyjnej i setki żmudnie pozyskiwanych eksponatów.

2. Problemy funkcjonalne i infrastrukturalne

Pobieżnie rzecz ujmując, jak się wydaje, do dziś zauważonymi przez odwiedzających problemami są zła nawigacja wokół gmachu i w samym muzeum (strażnicy już mają serdecznie dość informowania zirytowanych ludzi, jak się dostać na ekspozycję i którędy z niej się wydostać), a także marne wykonanie nawierzchni wokół budynku, co pokazuje dziesiątkami sztuk wypadająca lub wystająca jak niezamierzone potykacze kostka. To niedostatki łatwe do poprawienia.

3. Problemy zasobowe

Twórcy, z ich niezwykłą ambicją opowiedzenia o II wojnie światowej z perspektywy ludzi z różnych biorących w niej udział krajów (za to bym ich nie krytykował), pokazali w marcu ekspozycję ze stosunkowo skromnym – wziąwszy pod uwagę przestrzeń i budżet – zasobem oryginalnych eksponatów. To stan rzeczy na dziś, jednak przy właściwym zdefiniowaniu celów działania i dobrej organizacji pracy ten element powinien ulegać stopniowej poprawie.

MIEJSCE Z POTENCJAŁEM

Muzeum ma jednak również niezaprzeczalne atuty. Sam pomysł jego powołania i cel, jakiemu ma służyć, są wielkim potencjałem, częściowo tylko dziś wykorzystanym, dalej jednak otwartym. Ma wciąż wszelkie szanse, by stać się najważniejszym w Europie muzeum opowiadającym o tym konflikcie i tej katastrofie.

Ten potencjał ma solidne wsparcie w architekturze obiektu, jego rozmiarze (sercem muzeum jest wystawa główna, zajmująca powierzchnię niemal 5 tys. mkw., co czyni ją jedną z największych na świecie), wielofunkcyjności, elastyczności i konsekwencji wykonania. Przestrzeń je otaczająca także daje dodatkowe możliwości. Mogłoby, notabene, tylko jeszcze więcej zyskać dzięki „satelitom" w postaci Westerplatte, Stutthofu, Piaśnicy, Poczty Gdańskiej, Rejonu Umocnionego Hel i kilku innych.

Efektywne użycie plakatu w narracji jest już dziś bardzo mocną stroną wystawy, a w związku z celami muzeum, wśród których objaśnienie losu Polski zaatakowanej przez dwa totalitarne mocarstwa ma pierwszorzędne znaczenie, rozwój tego zasobu daje dalsze możliwości, a to ze względu na kluczową rolę masowej, wizualnej propagandy wdrożonej przez obu totalitarnych sprawców tej wojny.

Gdyby podchodzić do rzeczy profesjonalnie (nie tyle w obszarze historii i muzealnictwa, ile pod kątem zarządzania skomplikowanymi przedsięwzięciami), należałoby proponować stronom tej emocjonalnej i politycznie motywowanej debaty uzgodnienie współpracy w ramach procesu obejmującego następujące etapy:

- uzgodnienie interpretacji założeń programowych muzeum włącznie ze zdefiniowaniem kluczowych terminów i priorytetów narracyjnych,
- szczegółowe spisanie rozbieżności i ogłoszenie ich publicznie,
- przekazanie ww. rozbieżności do analizy przez jednogłośnie zestawione zespoły ekspertów, których rekomendacje zostaną poddane ocenie przez reprezentatywną, poszerzoną o polskich historyków i włączającą kilku nowych, doświadczonych muzealników zagranicznych Radę Powierniczą,
- publiczne przedstawienie rekomendacji Rady Powierniczej,
- poszerzenie obecnego zespołu muzeum o osoby gwarantujące zrównoważone wdrożenie rekomendacji.

Inicjatywa leży po stronie MKiDN. Uważam, iż przeprowadzając taki proces, ministerstwo mogłoby zarówno odnieść sukces polityczny, jak i zoptymalizować narrację muzeum z punktu widzenia interesów (uprzednio jasno zdefiniowanych i przyjętych przez ww. zespół) polskiej polityki historycznej.

Sukces polityczny polegałby na tym, że – w przeciwieństwie do modus operandi zespołu prof. Machcewicza – proces ten obejmowałby szerokie, reprezentatywne grono historyków i byłby w pełni przejrzysty. Wszyscy zainteresowani nim komentatorzy siłą rzeczy porównywaliby go z bardziej jednostronnym i częściowo zamkniętym na szeroką debatę przedsięwzięciem poprzedników. Sukces merytoryczny w postaci szeroko przedyskutowanej i w sposób transparentny uzgodnionej narracji pozwoliłby na poprawę narracji oraz dałby znacznie większe szanse na zajęcie przez placówkę pierwszorzędnego miejsca wśród europejskich muzeów kształtujących postrzeganie II wojny.

Wbrew podgrzewanym przez liczne media emocjom pozycje historyków nie są tak dramatycznie od siebie odległe. Profesor Żaryn podkreśla, iż „nowi włodarze nie powinni zbyt pochopnie zmieniać wszystkiego tylko dlatego, że nie oni to zrobili. Wystawa główna pozwala bowiem prowadzić rzeczowy dialog na temat celów tej ekspozycji". Bardzo wyważone stanowisko zajął prof. Andrzej Nowak, który wraz z Timothym Snyderem napisał w tej sprawie krótki list pozbawiony uproszczonych ocen i dramatycznych wezwań. Dobrze, choć bez głośnych pochwał, został on przyjęty przez część historyków współpracujących z prof. Machcewiczem.

Najbliższy czas pokaże, czy politycy i historycy w Polsce są zdolni do przeprowadzenia żmudnego, wymagającego asertywności, spokoju i wzajemnego szacunku procesu. Czy deklarowana obustronnie gotowość do kompromisu i wzgląd na długofalowy interes państwa pozwolą im dokonać rzeczy podobnej, choć nie aż tak trudnej, jaką w Niemczech był kompromis CDU i SPD w sprawie Centrum przeciwko Wypędzeniom?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem zarządu fundacji Identitas.

eprasa.pl be20e2503b

WYWIAD NIEAUTORYZOWANY

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Z Borysem Budką, posłem PO
rozmawia Marek Migalski

Każdy w polityce ma chwilę słabości

MAREK MIGALSKI: Jak to się stało, że pan, jeszcze trzy lata temu prawie nikt w polityce, jest dziś jedną z kilku najważniejszych twarzy najsilniejszej partii opozycyjnej?

BORYS BUDKA: Przede wszystkim to wynik ciężkiej pracy…

Chce pan powiedzieć, że inni posłowie PO są po prostu leniwi?

Nie, chcę powiedzieć, że to był splot kilku okoliczności. Po pierwsze byłem bardzo mocno zaangażowany w pracę sejmową.

I kto to dostrzegł? Ewa Kopacz?

Przede wszystkim Ewa Kopacz.

Proponując panu Ministerstwo Sprawiedliwości?

Tak. Ponieważ wiedziała, że głęboko siedzę w sprawach prawnych i ustrojowych.

I to potem pozwoliło panu na rzucenie rękawicy Schetynie, bo bez tego pół roku w ministerstwie pan by się na to nie odważył?

Oczywiście. Poza tym to była kwestia pewnej hierarchiczności w partii. Stałem się także w większym stopniu rozpoznawalny. Byłem kojarzony z tym nowym pokoleniem PO.

To dlaczego potem się pan wycofał z walki o przywództwo w partii? Schetyna pogroził i pan umknął z pola walki?

Nie było gróźb, lecz realna propozycja współpracy.

Na czym polegała?

Grzegorz powiedział tak: „W PO jest miejsce dla każdego, każdy może dla niej pracować. Zaufaj mojemu doświadczeniu, bo jestem trochę dłużej w polityce i wiem, jak z PiS wygrać. I dlatego działajmy razem".

I pan go posłuchał?

Tak, bo wewnętrze wybory w partii zawsze wywołują wiele emocji, nawet jeśli przebiegają tak fair, jak w PO. Nigdy nie było żadnych gróźb. Grzegorz zaproponował współpracę i słowa dotrzymał, bo dziś wspólnie decydujemy o wielu rzeczach.

Panu się to opłaciło. Jest pan teraz dopieszczany przez szefa, ale czy inni politycy nie mieli do pana pretensji? Na przykład Ewa Kopacz. Była pana patronką, a pan ją zdradził.

Ewa Kopacz jest nadal przewodniczącą, na marszu przemawiała zaraz po Schetynie, jej głos zawsze jest słuchany na posiedzeniu zarządu.

Jeśli Schetyna mówi, że ona się będzie w gabinecie cieni zajmować polityką senioralną, to jednak jest to pewne lekceważenie.

Nie zgadzam się z tym. Ona jest wiceszefową gabinetu cieni. Oczywiście te emocje były, zwłaszcza na początku, bardzo silne, ale dziś mamy w PO mocny zespół i dla każdego jest miejsce.

Jednak kilka osób musieliście wyrzucić. Kamińskiego, Protasiewicza, Niesiołowskiego.

Pewne problemy się skończyły.

Z odejściem tej trójki?

Ubolewam, że te decyzje musiały zapaść, ale albo ktoś dostrzega potrzebę pracy zespołowej, albo ktoś jest w polityce singlem. Jednak cieszę się, że relacje z Michałem Kamińskim i Stefanem Niesiołowskim są dziś na tyle poprawne, że mówimy często wspólnym głosem. Nie widzę problemu, by w przyszłości – na wspólnych listach – iść razem do wyborów.

eprasa.pl be20e2503b

Nie wymienił pan Protasiewicza.
Ja akurat nie mam z nim takiego kontaktu, jak z tamtą dwójką. Zwłaszcza w debatach sejmowych. Przykład Marka Sowy pokazuje jednak, że można odejść, zmienić barwy partyjne, ale nadal współpracować.

Marek Sowa, odchodzący od was kilka miesięcy temu do Nowoczesnej, postąpił tak sprytnie, jak ktoś wstępujący do PZPR w 1988 r.
Każdy w polityce ma chwile słabości. On jednak nigdy nie atakował potem PO i wierzę, że kiedyś znów będziemy razem.

À propos posłów Nowoczesnej – „dojedziecie" ich tą polityką przytulania. Czujecie już dziś swoje zwycięstwo nad nimi? Podobnie jak z KOD. Rok temu musieliście płacić, by wystąpić na jego wiecu, a w czasie ostatniego marszu Kijowski nawet nie został wpuszczony na scenę.
…

Bardzo długo pan milczy.
Zastanawiam się, jak najlepiej odpowiedzieć na pytanie. Z jednej strony dobrze jest znać swoją siłę, ale z drugiej nie warto być pysznym i nie czuć pokory.

Przecież wiecie, że wybory samorządowe będą należeć do was i do PSL, a Nowoczesna się wtedy wykrwawi. Pewnie liczycie więc, że oni wtedy zobaczą, że są martwi, i wówczas kilka osób z Nowoczesnej będziecie mogli przyjąć na swoje listy. Taki jest plan?
Ja liczę na to, że Nowoczesna znajdzie się wspólnie z nami na listach…

Na waszych listach.
Kwestie techniczne są drugorzędne. Zwłaszcza że nie wiemy jeszcze dziś, jaka będzie ordynacja. Błędy Nowoczesnej wynikały z zachowań jej polityków, a zwłaszcza lidera. Tutaj nie było naszej ingerencji. To oni nas atakowali, a nie my ich.

No ale oni powstali jako alternatywa dla PiS, ale także dla was.
Myśmy się Nowoczesną nie zajmowali, a oni nami tak.

Uważali, że zniszczyliście gospodarkę za swoich rządów.
Nowoczesna w sprawach ekonomicznych reprezentuje taki XVIII-wieczny liberalizm. Ja też jestem liberałem ekonomicznym, ale będąc w UE, nie da się być całkowicie liberalnym, bo tam obowiązują zasady subsydiarności.

Czyli znowu zła Unia narzuca nam socjalistyczne reguły?
Nie, ale EU nie jest już klasycznie wolnorynkowa. Podobnie jak USA. Wystarczy zobaczyć, jakie są dopłaty do rolnictwa czy jak ratowano system bankowy.

Czyli wy jesteście bardziej socjaldemokratyczni niż Nowoczesna?
Jesteśmy partią centrową, wolnościową, ale wiemy, że nie da się wprowadzać takiego XVIII-wiecznego liberalizmu, bo współczesne państwa nie są samotnymi wyspami.

PiS pyta o wasz stosunek do „500+" czy wieku emerytalnego. To co z tym „500+"?
„500+" może być utrzymane, jeśli będzie mocna gospodarka.

A jak będzie słaba, to odbierzecie to świadczenie?
Nie. Jeżeli będzie słaba, to trzeba będzie zdecydować, na co będą szły pieniądze publiczne.

Czyli możecie wtedy zlikwidować „500+"?
Nikt nie zlikwiduje „500+", bo Polacy pokazali, że wolą dostać pieniądze do kieszeni, aniżeli inwestować w infrastrukturę.

Schetyna mówił jednak o jakichś warunkach otrzymywania „500+". Wspominał o tym, że to ma być tylko dla osób pracujących. Jakie zatem będą warunki otrzymywania tego świadczenia pod waszymi rządami?
Szczegółowe rozstrzygnięcia będą przedstawione przez naszych ekspertów gospodarczych.

Czyli jeszcze nie wiecie?
Od dwóch miesięcy mamy to szczęście, że pracujemy z prof. Rzońcą…

Nie wiem, czy to jest takie szczęście, bo to właśnie on został wykorzystany w spocie PiS, gdy się nieco wyśmiewa z programu „500+" i twierdzi, że on się nie utrzyma.
Będzie musiał tak zbudować ten program, by Polacy dostali jasną odpowiedź na pytania, na jakich zasadach można ten program rozszerzyć na pierwsze dziecko…

Ja wciąż nie mam jasności.
Byłbym wyjątkowo nieodpowiedzialny, gdybym w tej chwili zadeklarował dokładne zasady rozszerzenia tego programu, jeśli nie wiemy, jaka będzie sytuacja budżetowa za dwa lata.

Czyli jednak uzależniacie trwanie lub rozszerzenie „500+" od sytuacji budżetowej państwa?
Tak. Nie ma mowy o tym, by zabrać ten program najbardziej potrzebującym. System ten winien być podzielony na system wspomagający demografię oraz świadczenia społeczne. W tej chwili…

To wciąż nie jest dla mnie jasne, jakie wy macie w tej materii stanowisko.
Obecnie ten program pomija blisko 3 mln pierwszych dzieci, czyniąc z nich gorszy sort, i zupełnie nie uwzględnia sytuacji ekonomicznej rodzin, dając tę pomoc nawet rodzinom, w których na osobę przypada kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Zgadzam się z tym zarzutem, ale wciąż nie wiem, jaka jest wasza propozycja.
Dlatego my ten program przedstawimy z wyliczeniami co do złotówki, ale dziś to nie jest czas, by dokładnie te propozycje przedstawiać, bo do wyborów jeszcze dwa lata i nie wiemy, co czeka nas w gospodarce. Słuchamy także, co w tej kwestii mają do powiedzenia Polacy.

Ostrożnie z tym słuchaniem Polaków, bo pamięta pan, ile milionów podpisów zebranych przez was zmieliliście na makulaturę?
Dlatego mówimy, że…

Pamięta pan jednak, ile to było milionów?
Nie, nie pamiętam, bo wtedy jeszcze nie byłem w PO. Uważam jednak, że to był bardzo duży błąd. Kiedy słyszę Pawła Kukiza, który chce, by każde referendum było wiążące, to mam wrażenie, że gdyby ogłosić, że wiek emerytalny ma się zaczynać w wieku lat 50, to wynik takiego głosowania jest oczywisty, a jego efekty rozsadziłyby państwo.

To zatrzymajmy się przy tym wieku emerytalnym: przywrócicie poprzedni wiek emerytalny?
Nikt w PO nie prowadzi dyskusji o podwyższeniu wieku emerytalnego…

Naprawdę? Szkoda, bo to akurat była jedna z niewielu sensownych rzeczy, które wprowadziły wasze rządy.
Pokażemy Polakom konkretne wyliczenia. Pokażemy…

Znowu ich nie macie i znowu chcecie kiedyś pokazywać?
Wyliczenia się nie zmieniają od czasu poprzedniej reformy. My to powtórzymy, ale pokażemy to wariantowo. Żeby wyborcy mieli świadomość, że to jest jedno

eprasa.pl be20e2503b

wielkie oszustwo ze strony prezydenta Dudy i obozu władzy, kiedy wmawia się im, że obniżenie wieku emerytalnego nie odbije się na wysokości ich emerytur. Trzeba w tym kontekście rozmawiać o stażu pracy jako wyznaczniku wieku emerytalnego, ponieważ to jest uczciwe podejście.

Czyli mówiąc wprost – wrócicie do tego, co było?
Nie będzie takiego prostego powrotu. Trzeba będzie w tym uwzględnić staż pracy oraz realia ekonomiczne. Natomiast jasno będziemy pokazywać, że system zaproponowany przez PiS zbankrutuje.

Jako partia obywatelska na pewno jesteście zachwyceni propozycją referendum w sprawie konstytucji, które zaproponował prezydent.
Nie ma żadnego referendum.

Jednak jest jego zapowiedź.
Muszą paść konkretne propozycje. Jeśli prezydent myśli, że 38 mln Polaków napisze za niego propozycje konstytucyjne, to znaczy, że niepoważnie traktuje obywateli lub urząd, który sprawuje.

A gdyby przedstawił zestaw 10 pytań, to przyklaśniecie temu?
Na razie nie ma rozmowy z osobą, która konstytucji nie szanuje.

Czyli cokolwiek on zaproponuje, to wy będziecie na nie?
Jeżeli Andrzej Duda pokaże swoje propozycje, to wówczas na pewno się do nich merytorycznie odniesiemy. Natomiast obecnie konstytucja wykorzystywana jest po raz kolejny przez obóz władzy do rozpętania sporu politycznego. Jedyną propozycją PiS w tej kwestii jest projekt z 2010 r., który wprowadzał system autorytarny…

Nieautorytarny. Prezydencki. Inaczej konstytucję amerykańską musiałby pan nazwać autorytarną.
W PiS-owskim projekcie nie mówiło się jednak w ogóle o prawach człowieka, wprowadzało się sztywny zakaz aborcji, czyli igrano życiem i zdrowiem polskich kobiet…

Rozmawiamy o projekcie widmie, który nawet zniknął ze stron internetowych PiS.
W 2010 r. Andrzej Duda był członkiem PiS, zatem wydaje się, że jak na razie podpisuje się nadal pod tym, pod czym był podpisany jako członek swojej ówczesnej partii.

Mamy dziś w PO mocny zespół i dla każdego jest miejsce – mówi Borys Budka. Na zdjęciu z Grzegorzem Schetyną i Ewą Kopacz podczas ostatniego Marszu Wolności FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Pan jest dobrym prawnikiem i pan wie, że tego typu sylogizm jest nieprawdziwy.
Zobaczmy zatem, co prezydent przedstawi.

Nadal jednak jesteście za zniesieniem Senatu?
O tym nie ma na razie dyskusji.

Chcecie zmniejszenia liczby posłów o połowę?
Nie wiem, czy o połowę, ale na pewno bylibyśmy za jej ograniczeniem.

Chcecie nadal zniesienia immunitetu?
Tylko wówczas, gdybyśmy wpisali do konstytucji niezależność prokuratury. Jednak nie w sytuacji skrajnego upolitycznienia prokuratury, z czym mamy do czynienia obecnie.

A jeśli chodzi o model ustrojowy, to PO jest za systemem prezydenckim? Ponieważ tego chcą Polacy. I PiS. Zatem Kaczyński jest po stronie obywateli, a wy jesteście marudzącą mniejszością.
Cała pułapka, która może być zastawiona na Polaków, w tego typu sondażach, to…

To żeby zrobić to, czego oni chcą?
To żeby udawać, że zrobi się to, czego oni chcą. Kaczyński ma w głowie zaprogramowany ustrój, który będzie dobry dla niego, a nie dla ludzi. A pomysł prezydenta i PiS jest taki, by pójść do wyborów pod hasłem zmiany ustroju i pytaniami, czy chce się być pięknym i bogatym. W Sejmie te zmiany nie przejdą, bo będą antydemokratyczne i wówczas partia rządząca będzie mogła agitować, że potrzebuje władzy, bo tylko zmiany konstytucji umożliwią PiS realizację programu…

Dzięki któremu Polakom będzie się żyło dostatnio, a Polska będzie rosła w siłę?
Dokładnie. A to będzie kolejne PiS-owskie kłamstwo. Ponieważ Kaczyński chce modelu państwa, które zbankrutowało w 1989 r. – czyli państwa centralistycznego, decydującego, co należy czytać i z kim można sypiać. A Polacy tego nie znoszą. I PiS na tym przegra.

Kim pan chce być w polityce za 10 lat?
Hm, tu znów długa przerwa, prawda?

(śmiech) Trochę tak.
No więc może zabrzmi to zbyt górnolotnie…

No to ja już wiem, że zabrzmi.
Chciałbym jednak własne ambicje trochę schować…

To znaczy, że pan nie jest politykiem.
(śmiech). Owszem, jestem, ale chciałbym móc współdecydować o kształcie przyszłej polityki.

Dzięki jakiej funkcji?
Czy to będzie funkcja w Sejmie, czy w rządzie…

Lub w Pałacu Prezydenckim.
Lub w Pałacu Prezydenckim. Ważne, by we wszystko wkładać jak najwięcej pracy i serca. A czasami od losu dostaje się wówczas coś na kredyt. Chciałbym jednak, by była to gra zespołowa. I tak właśnie jest dziś w Platformie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Francuski łącznik

Po francuskich wyborach hucznie świętowano w Polsce porażkę rzekomej sojuszniczki PiS, czyli Marine Le Pen. Tak naprawdę na francuskiego patrona Jarosława Kaczyńskiego nadaje się zupełnie kto inny.

Charles de Gaulle jest czczony we Francji i wszystko, co duże, nosi tam jego imię. Głównie dlatego, że – jak by to ująć – podnosił Francję z kolan. Podnosił tak asertywnie i tak dziarsko, że zachodni sojusznicy wysokiego generała po prostu go nie znosili. Zachowało się wiele opisów epickich awantur, w jakie przeradzały się rozmowy Winstona Churchilla z przywódcą Wolnej Francji. De Gaulle do mistrzostwa opanował dwa gesty, które są najbardziej zabójczą bronią Francuzów: prychnięcie i wzruszanie ramionami. Głównie w ten sposób reagował na żądania, które stawiali mu Anglicy i Amerykanie (ci drudzy bardzo długo nie chcieli go zresztą w ogóle uznać). Był on wobec Anglosasów bardzo nieustępliwy, choć to oni uzbrajali jego armię, wyzwalali jego ojczyznę, a potem wyciągali ją z biedy pożyczkami i planem Marshalla. A oni nie mogli pojąć, jak można było być tak bezczelnym i niewdzięcznym.

De Gaulle był niebywale małostkowy. Na defiladzie zwycięstwa, po wyzwoleniu Paryża w 1944 r., nie załopotała ani jedna flaga brytyjska czy amerykańska, choć francuscy żołnierze poruszali się amerykańskimi czołgami i dzierżyli angielskie karabiny. Gdy Union Jack pojawiła się na sanitarkach Wolnych Francuzów, naburmuszony de Gaulle natychmiast kazał rozwiązać oddział, a jego brytyjskich członków wydalić z Francji.

Na złość Anglosasom de Gaulle flirtował najpierw ze Stalinem, a potem z Chruszczowem, co raczej nie służyło zachodniej solidarności. Gdy nakazał amerykańskim żołnierzom opuszczenie Francji, wściekły prezydent Johnson zapytał, czy ma zabrać także tych pochowanych we francuskiej ziemi. A podczas wizyty w Kanadzie kokietował francuskojęzyczną ludność (de Gaulle, nie Johnson). Przywódcy świata Zachodu dostawali mdłości na jego widok. Jednak on na to prychał. Albo wzruszał ramionami.

Generał był opętany Francją. Kiedy o niej mówił, była to zawsze dumna Francja, wielka Francja, wspaniała Francja – jakby nie było kolaborantów z Vichy, żałosnej klęski 1940 r. ani powojennej słabości. Zirytowany tą retoryką Jean Monnet (jeden z ojców zjednoczonej Europy) rzucił kiedyś celnie do de Gaulle'a: „Mówi pan o wielkości, ale Francuzi są dziś Pigmejami".

Aha, no i de Gaulle był zwolennikiem czegoś, co nazwał Europą ojczyzn. Nie chciał europejskiego superpaństwa, tak jak nie chciał zjednoczonych Niemiec, bo bał się ich dominacji na kontynencie. Chciał suwerennej, silnej Francji, z którą świat będzie się liczył. Taki właśnie był de Gaulle.

Potwornie irytująca postać. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wybór Marianny

Pod pewnymi względami wybór stojący przed Francuzami przypominał ten, który przed dwoma laty mieli Polacy, a przed pół rokiem USA.

Kandydaci establishmentowi przypominali trochę naszych opozycjonistów totalnych: Macron – Ryszarda Petru, Fillon – Grzegorza Schetynę, a Mélenchon – krzyżówkę Zandberga z Palikotem.

Żeby było jasne, pani Le Pen to nie Jarosław Kaczyński w spódnicy. Nie brakuje jej odwagi i determinacji. Z resztą było gorzej. Owszem, jest antyemigrancka, ale bez przesady, za to antyunijna ponad miarę. A postulat wyjścia z Unii, gdy ta daje namiastkę potęgi i finansowe korzyści, w uszach przeciętnego Francuza brzmiał jak absurd. Również ten afekt do Putina? (Skądinąd cechujący prawie wszystkich kandydatów).

Nie wierzę, że ktoś taki jak Macron stawi zwycięsko czoło wyzwaniom takim jak kryzys Unii czy islamski potop

W dodatku prawicowość Frontu Narodowego też jest w wysokim stopniu problematyczna. Pani Marine, chociaż dwa małżeństwa temu przedstawiała się jako katolicka integrystka, dziś prezentuje się jako zwolenniczka wartości laickich, jest za aborcją i nie proponuje powrotu do chrześcijańskich korzeni.

Jak zatem zamierza przeciwstawić się nawale islamu?

Pod tymi względami akurat przypomina większość swoich rodaków, którzy z grubsza wiedzą, czego nie chcą (zwłaszcza wysiłku, wyrzeczeń, ryzyka), i dali temu wyraz, wykopując dwie tradycyjne siły V Republiki (socjalistów i republikanów) na aut i zawierzając teflonowemu chłoptasiowi bez właściwości.

Teraz się cieszą z „całą postępową Europą". A do mnie powraca obraz ze starych kronik – radosnych tłumów witających brytyjskiego premiera Chamberlaina wracającego w 1938 r. z Monachium z hasłem na ustach: „Przywożę wam pokój". Celnie skomentował to szeregowy wówczas poseł Winston Churchill: „W Monachium mieli do wyboru hańbę i wojnę. Wybrali hańbę i wojnę też będą mieli!".

Nie wierzę, że ktoś taki jak Macron (swoją drogą historia znała już jednego Makrona, prefekta pretorianów, który na spółkę z Kaligulą zamordował Tyberiusza, rzucając Rzym w odmęty tyranii) stawi zwycięsko czoło wyzwaniom takim jak kryzys Unii czy islamski potop.

Biedna Marianna! Czas płynie, problemy rosną, bomba demograficzna tyka...

Ktoś twierdzi, że Europę może ocalić tylko dłuższa, bezlitosna okupacja muzułmańska. Co do całej Europy nie jestem przekonany, ale jeśli chodzi o Francję, to na pewno! ©℗

eprasa.pl be20e2503b

Czarny protest na Wybrzeżu

Sebastian Ligarski

W 1971 r. pochody pierwszomajowe w Szczecinie i Gdańsku stały się miejscem otwartej manifestacji społeczeństwa przeciwko nierozliczeniu zbrodni Grudnia '70

Już w połowie kwietnia 1971 r. szczecińska Służba Bezpieczeństwa była niemal pewna, że 1 maja dojdzie w Szczecinie do próby zakłócenia pochodu. Odnotowywano, że w mieście mówiono, iż protest może mieć charakter manifestacyjny – stoczniowcy mieli wyjść z zakładu z czarnymi opaskami na rękach i z flagami, nieść ze sobą czarne trumny, prezentować transparenty z „wrogimi hasłami", przygotowane miały być drewniane karabiny i pistolety zabawki, którymi miano markować strzelanie do osób na trybunie. „W przypadku obecności na trybunie Komendanta Wojewódzkiego MO płk. J[uliana] Urantówki i Prokuratora Wojewódzkiego [Zdzisława] Rozuma stoczniowcy zamierzają zdemolować trybunę, aby przepłoszyć ich" – opisywał historyk Eryk Krasucki.

Przygotowania w stoczni trwały w kilku niezwiązanych ze sobą grupach i miały charakter spontaniczny. Jak informował bezpiekę 20 kwietnia 1971 r. TW „Ślusarz": „Dziewiałtowicz Grzegorz […] w gronie 15 osób mówił, że trzeba zrobić na pochód 1-go maja tablice z hasłami". Treść haseł: „Precz z Cyrankiewiczem", „Precz z rządem", „Powiesić Moczara" oraz „Precz z Urantówką" [Julian Urantówka był szefem SB w Szczecinie – przyp. red.], „Żądamy ukarania pachołków Urantówki". Według wiedzy SB takie tablice przygotowano.

Zdzisław Wójcik opisywał problemy z pozyskaniem czarnego materiału na opaski i wstążki: „W Szczecinie, Stargardzie, Goleniowie, nigdzie nie można było przed pierwszym majem kupić czarnej wstążki. Ale ja, jako młody chłopak, pracowałem w Łobzie [...]. Więc znałem ludzi w Łobzie i umówiłem się, że dla nas spod lady będzie czarna wstążka. […] Wstążkę, którą kupiłem w Łobzie, trzymaliśmy w kieszeniach. Cięliśmy nożyczkami i dawaliśmy każdemu, kto chciał. Ludzie przewiązywali wszystkie sztandary i szturmówki".

ŻAŁOBNY POCHÓD

Pochód prowadzony był przez uczniów Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów i Technikum Budowy Okrętów. Następnie za nimi, ale przed kierownictwem stoczni, w pierwszym szeregu szli: Henryk Toczek (brat zabitego 17 grudnia 1970 r. Zygmunta Toczka, robotnik z Wydziału W-4 stoczni) razem z matką w żałobie, rodzice Stanisława Nadratowskiego (żołnierza, który zginął 19 grudnia 1970 r. w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach) i dalej kierownictwo stoczni i stoczniowcy. Liczba ludzi, w tym tych, którzy nieśli przepasane kirem flagi i transparenty, z każdą chwilą rosła.

„Miałem wtedy synka w wózeczku, szedłem wzdłuż pochodu. On mi w tym wózeczku usnął. Droga była nierówna,

eprasa.pl be20e2503b

Podczas pierwszomajowego pochodu w Gdańsku mieszkańcy upamiętnili zabitych stoczniowców, m.in. złożyli kwiaty przed stocznią FOT. ZBIGNIEW KOSYCARZ/KFP

wyboista, zboczyłem na asfalt i dołączyłem do pochodu koło Parkowej. Patrzę – włosy mi się zjeżyły – to żałobny pochód" – wspominał Marian Juszczuk.

Na ul. Parkowej w grudniu 1970 r. płonął milicyjny samochód i to w tym miejscu część stoczniowców postanowiła, „że to jest właśnie miejsce, gdzie powinniśmy wyjąć transparent. Zdjęliśmy czerwone szturmówki z kijów i schowaliśmy w bramie. Na te kije nasadziliśmy płótno, było tak po bokach zszyte, by kij nie przeleciał". Na transparentach widniały hasła: „Żądamy ukarania winnych zbrodni grudniowych", „Żądamy ukarania winnych masakry bezbronnych ludzi" oraz „Czcimy pamięć poległych podczas wydarzeń grudniowych".

Po dotarciu pod trybunę honorową, na której stali m.in. członek KC PZPR Kazimierz Barcikowski, konsulowie ZSRS, Czechosłowacji i NRD, kolumna się zatrzymała. Toczek, Nadratowscy oraz osoby trzymające transparenty odwrócili się w stronę trybuny honorowej. Orkiestra przestała grać, zamilkł też spiker pochodu. Toczek uniósł w górę i wyciągnął przed siebie lewą dłoń ubraną w czarną rękawiczkę i zamarł. Jak pisał Paziewski: „Pięści na około 5 minut podnieśli także uczniowie ZSBO i TBO. Jeden ze stoczniowców zrzucił oficerowi MO czapkę z głowy, uznając, że nie oddaje on hołdu pomordowanym". Po kilkunastu sekundach orkiestra zagrała marsz żałobny.

Stanisław Wądołowski: „Pochód się zatrzymał, stłoczył, ludzie myśleli, że to milicja interweniuje. Ale potem wszystko rozładowało się, rozluźniło. Poszliśmy dalej". Niezatrzymywany przez służby pochód dotarł do Cmentarza Centralnego na ul. Ku Słońcu, gdzie na grobach ofiar Grudnia '70 złożono wieńce z okolicznościowymi szarfami, kwiaty i transparenty. Marian Jurczyk: „Niosłem chorągiewkę biało-czerwoną spowitą kirem. Było spokojnie. Nikt nas nie rozganiał [...]. Nie przypominam sobie, żeby na cmentarzu ktoś przemawiał. Milczeliśmy raczej". Uroczystość zakończono odśpiewaniem hymnu narodowego. Całość została sfilmowana m.in. przez ekipę SB.

ROZLICZENI PRZEZ SB

Ten niezwykły protest nie został zrozumiany ani doceniony przez mieszkańców miasta. Wielu uważało go za niepotrzebny wybryk i eskalowanie emocji, inni sądzili, że zwracał uwagę na stocznię, powodując, iż inne zakłady pracy i ich robotnicy czuli się pozostawieni sami sobie. Na taką formę protestu źle reagowali też starsi stoczniowcy nawołujący do tonowania nastrojów. Służba Bezpieczeństwa przystąpiła zaś do rozliczania winnych tej demonstracji.

„Awanturę wywołała grupka osób, która skupiła wokół siebie element awanturniczy, lecz bierny, dalej taki element, który jest silny na zakładzie, lecz na mieście czujący się niepewnie" – raportowano do Warszawy.

SB założyła sprawę o kryptonimie Defilada. Jeden z robotników opowiadał na antenie Radia Wolna Europa: „Jak w poniedziałek trzeciego maja przyszliśmy do pracy, to mówiło się sporo o tym, że przeprowadzane są rozmaite dochodzenia, że jacyś »ubowcy« kręcili się po stoczni, żeby dowiedzieć się, kto wymyślił te rozmaite hasła, kto zajmował się pochodem na cmentarz, ale do chwili mojego wyjazdu nie słyszałem, żeby kogoś aresztowano w związku z Pierwszym Majem". A jednak. SB nie odpuściła choćby Henrykowi Toczkowi. Został aresztowany 16 czerwca 1971 r. Zarzucono mu wywołanie awantury na koncercie Czerwono-Czarnych przy Hucie Szczecin. Toczek miał tam wtargnąć na scenę i domagać się od bawiących się nastolatków uczczenia minutą ciszy poległych w grudniu 1970 r. Wobec braku reakcji widzów wraz z kolegami rozgonił całą imprezę. 350 robotników ze stoczni podjęło strajk w obronie Toczka – robotnika zwolniono, a potem sąd wymierzył mu też dość łagodną grzywnę w wysokości 5 tys. zł.

Do podobnej kontrmanifestacji doszło w Gdańsku. Pod koniec kwietnia 1970 r. w mieście kolportowano ulotkę wzywającą do spotkania się: „1 maja o godz. 10 pod Reichstagiem [budynek KW PZPR w Gdańsku przy ul. Wałowej – przyp. S.L.], aby odciąć się od morderców, zdrajców narodu, ojczyzny, pachołków i giermków okupanta!!! Wszyscy w czarnych okularach lub w żałobie. Na prowokację: próby rozpędzenia, aresztowania, przerywania łączności telefonicznej i innej – odpowiadamy strajkiem generalnym!!!".

Chociaż SB otrzymywała sygnały o przygotowaniach do takiej manifestacji, to jej nie zapobiegła. Podczas pochodu robotnicy Stoczni Gdańskiej nieśli transparenty z hasłami: „Żądamy ukarania winnych za zajścia grudniowe oraz żądamy odsłonięcia tablicy ku czci poległych stoczniowców S.G.". Pod bramą nr 2 stoczni składano wieńce i kwiaty, a miejsce to – jak relacjonowała SB – zostało nazwane ścianą płaczu ze względu na starsze kobiety, które na widok wieńców zaczynały szlochać. Na liście osób uznanych przez SB za organizatorów i inspiratorów tej akcji widniały 134 osoby.

Działania operacyjne esbeków spowodowały, że pomimo podjętych przygotowań nie udało się zakłócić przebiegu 1 maja w Gdyni. Odnotowano tylko incydenty, m.in. 30 kwietnia przed III Komisariatem MO w Gdyni przywiązano konia z tabliczką: „Jestem porządkowym w defiladzie 1 maja i czuwam na stanowisku swojej służby ORMO. Za wynagrodzenie żądam worek siana lub kwiaty, bo inaczej Szlag Was trafi jak ludzi z Gdyni-Stoczni na pomoście z polecenia rozkazu osła Kociołka. Koń stary, pies milicyjny".

1 maja ok. 60 osób na pomoście przy stacji Szybkiej Kolei Miejskiej w Gdyni-Stoczni zebrało się, aby złożyć wiązankę przy balustradzie. Godzinę później funkcjonariusze dostrzegli tam karton z napisem: „Miejsce uświęcone krwią poległych w wydarzeniach grudniowych w 1970 r.". I wiązankę, i karton szybko usunięto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Goodbye, panie Marx

Wojciech Wybranowski

„Ludzie czerwonego mroku" to wyśmienite kompendium wiedzy o strasznych czasach powstawania i realizowania socjalistycznych utopii

Wydawać by się mogło, że w Polsce tak dotkniętej patologiami socjalistycznych utopii, zwłaszcza komunizmem czerpiącym pełnymi garściami z teorii marksizmu i leninizmu, nie znajdzie się nikt przy zdrowych zmysłach, kto gotów będzie bronić Karola Marksa i jego doktryny. A jednak niedawno „Gazeta Wyborcza" i „Newsweek" rzuciły się, by bronić współtwórcy Związku Komunistów. Powód? Jedna z polskich firm, Red Is Bad, wypuściła kolekcję antymarksistowskiej odzieży ilustrowanej hasłem: „Goodbye, Mr. Marx". Według lewicowych dziennikarzy Marx to „wybitny filozof" i „twórca współczesnej ekonomii". Dlaczego o tym wspominam?

Do księgarń trafiła bowiem właśnie książka Jakuba Maciejewskiego „Ludzie czerwonego mroku. Rewolucja październikowa. Kulisy krwawego terroru". Publicysta „Arcanów" w wyśmienity sposób przybliża prawdziwy obraz komunistycznej rewolucji z 1917 r., poglądy ideologów i filozofów, a także wciąż zbyt słabo znany obraz leninowsko-stalinowskiego terroru. Publikacja z wielu względów zasługuje na określenie mianem prawdziwej perełki i tu na pierwszy plan wybija się sposób jej wydania – bogato ilustrowana rycinami, szkicami i fotografiami z epoki książka przypomina nieco papierem, jakością i drukiem periodyki z tamtego okresu.

Sama praca Maciejewskiego – choć można mieć zastrzeżenia do stylu, zbyt rozfilozofowanego, miejscami nadmiernie patetycznego – robi wstrząsające wrażenie. Autor w sposób przejmujący przybliża założenia ideologii marksistowskiej, jej korzenie, ludzi i sposób, w jaki doszli do władzy, utrzymali ją i przekształcili w machinę socjalistycznej zbrodni, która pochłonęła miliony ofiar.

„Każdy mężczyzna powinien dołożyć kroplę potu do zwycięstwa w wojnie cywilizacyjnej. Ja podjąłem próbę napisania podręcznika antykomunizmu – w stulecie bolszewickiej rewolucji" – napisał Maciejewski na swoim profilu facebookowym, zapowiadając książkę. I rzeczywiście można powiedzieć, że z dużym powodzeniem swój zamiar zrealizował. „Ludzie czerwonego mroku" pod strzechy trafiają w przededniu setnej rocznicy rewolucji październikowej, dokładnie oddając wydarzenia z tamtego okresu i przedstawiając czołowe postacie psychopatycznych twórców socjalizmu, poczynając od samego Karola Marksa, Lenina, Stalina, zafascynowanych ich poglądami lewicowych intelektualistów pokroju Sartre'a i Marcusego, a na dzisiejszych kontynuatorach marksistowskiej „religii" ubranej w nieco podkolorowane europejskie szatki kończąc. Sporo uwagi Maciejewski poświęcił także roli, jaką marksizm, ideologia komunistyczna czy socjalistyczna, odegrał w niszczeniu zwykłego człowieka, zabijaniu jego marzeń, samodzielności, ambicji życiowych, moralności. Jak degenerował tę podstawową komórkę społeczną, jaką jest rodzina.

Momentami aż przerażająco trafnie autor książki udowadnia, że marksizm nie umarł wraz z jego twórcą, komunizm nie odszedł wraz ze Stalinem, a lewicowi intelektualiści – także dziennikarze – nie porzucili go mimo świadomości, ile ofiar pochłonęła ideologia, która właśnie z marksizmu czerpała pełnymi garściami. Swoistym suplementem „Ludzi czerwonego mroku" jest przedstawiony przez autora zbiór organizacji i stowarzyszeń, których założenia nadal niepokojąco przypominają postulaty Karola Marksa oraz jego kontynuatorów.

Książka Jakuba Maciejewskiego jest świetnym kompendium wiedzy o powstaniu i realizacji straszliwej lewicowej utopii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

★★★★★★

JAKUB MACIEJEWSKI „LUDZIE CZERWONEGO MROKU" WYDAWNICTWO M 2017

eprasa.pl be20e2503b

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Nasi Tatarzy

Ci z Państwa, którzy czytają moje artykuły, wiedzą, że – oprócz komunizmu – najbardziej nielubianą przeze mnie ideologią jest nacjonalizm. Stworzenie współczesnej jednolitej etnicznie Polski uważam za nieszczęście dla Polaków. Rzeczpospolita, z jaką się identyfikuję i do jakiej tęsknię, to wielonarodowe mocarstwo rozciągające się od Bałtyku po Morze Czarne.

Ojczyzna ludzi wielu religii i nacji. Litwinów, Białorusinów, Rusinów, Ukraińców, Polaków, Żydów, Ormian, Karaimów i oczywiście Tatarów. Do tej ostatniej społeczności mam szczególny sentyment. Była ona nieodłącznym elementem wielobarwnej ludzkiej mozaiki, która tworzyła Wielkie Księstwo Litewskie.

Niestety, z tamtej wspaniałej Rzeczypospolitej został nam już tylko ogryzek. Mamy jednak nadal swoich Tatarów! O tym, że społeczność ta istnieje, ma się dobrze i kultywuje tradycje swoich przodków, świadczy choćby kapitalna książka Aleksandra Miśkiewicza „Tatarzy wierni Polsce". Jest to prawdziwa kopalnia wiedzy o naszych Tatarach!

Mnie najbardziej zainteresował rozdział poświęcony służbie Tatarów w Wojsku Polskim. W momencie odzyskania niepodległości na polecenie marszałka Piłsudskiego stworzono jazdę tatarską, która mężnie stawała przeciwko bolszewikom. Z okresu tego zachowała się nawet żurawiejka:

Z przodu księżyc, z tyłu gwiazda,
To tatarska nasza jazda.
Pół Tatarów, pół Polanów,
To trzynasty pułk ułanów.

Tatarzy służyli w polskiej armii w dwudziestoleciu międzywojennym, a później bili się w kampanii 1939 r.

„Ułani wyznania muzułmańskiego – pisze Miśkiewicz – odbywali swą modlitwę w świetlicy szwadronowej. Znajdowały się w niej dywaniki modlitewne, które w ciągu dnia zawieszone były na ścianach. Oprócz tego ściany zdobiły różnego rodzaju obrazy. Obok muhirów zawierających stylizowane alfabetem arabskim wersety koraniczne także sceny przedstawiające żołnierzy tatarskich dawnej Rzeczypospolitej. Świetlica była zaopatrzona w czasopisma – »Rocznik Tatarski« czy »Życie Tatarskie«".

Ech, stare dobre czasy! ©℗

★★★★★★

ALEKSANDER MIŚKIEWICZ
„TATARZY WIERNI POLSCE"
PATRIA MEDIA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Problemy Wita Stwosza

Niewiele wiadomo o młodych latach genialnego rzeźbiarza. Urodził się w okolicach Stuttgartu, zawodu uczył się w Nadrenii, zapewne przez pewien czas przebywał w Brukseli. Do Krakowa trafił w wieku 30 lat, był już człowiekiem żonatym i miał syna. Musiał już się cieszyć pewną renomą, skoro powierzono mu wykonanie ołtarza dla najważniejszej świątyni w mieście. Wit wraz z rodziną zamieszkał pod Wawelem, tutaj urodził się jego drugi syn. 25 maja 1477 r. rozpoczął prace nad ołtarzem, które trwały 12 lat. Rada miasta była bardzo z ich postępów zadowolona i w połowie robót zwolniono artystę z płacenia podatków.

> **Na takie zlecenie mogło sobie pozwolić tylko bardzo bogate miasto**

Krakowski ołtarz jest szczytowym osiągnięciem późnego gotyku, a w chwili swojego powstania był największą tego rodzaju konstrukcją w Europie. To zaprzeczenie teorii, że sztuka średniowiecza była prosta i pozbawiona finezji. Inna sprawa, że na takie zlecenie mogło sobie pozwolić tylko bardzo bogate miasto, co najlepiej świadczy o sytuacji Krakowa w czasach panowania Kazimierza Jagiellończyka.

Dzieło nie przyniosło jednak szczęścia swojemu twórcy. Wprawdzie Wit Stwosz cieszył się ogromnym uznaniem pod Wawelem i dostawał kolejne lukratywne zlecenia, ale w 1496 r. przeniósł się do Norymbergi. Tam wpadł w tarapaty, pożyczył bowiem znaczną sumę znajomemu kupcowi, który zbankrutował. Nie mając środków do życia, podrobił weksel bankowy, a gdy fałszerstwo wyszło na jaw, stanął przed sądem. Groziła mu kara śmierci, ale dzięki wstawiennictwu przyjaciół sprawa skończyła się „tylko" wypaleniem piętna na twarzy i zakazem opuszczania miasta. Pomimo tych kłopotów odbudował swoją pozycję artystyczną i w dzisiejszej Norymberdze można oglądać kilka jego znakomitych prac. Jednak ołtarz dla kościoła Karmelitów, będący najważniejszym dziełem mistrza z tego okresu, nigdy nie stanął w przeznaczonej mu świątyni. Zaczęła się bowiem reformacja i mieszczanie Norymbergi mieli ważniejsze sprawy na głowie, w efekcie konstrukcja trafiła do katedry w Bambergu.

W 1939 r., tuż przed wybuchem II wojny światowej, krakowski ołtarz został zdemontowany i przewieziony do Sandomierza, skąd miał być ewakuowany do Szwecji. Wpadł jednak w ręce hitlerowców i do Polski powrócił w 1946 r. Niestety, nie miał tyle szczęścia „Portret młodzieńca" Rafaela, którego do dziś nie odnaleziono. Podobnie jak wielu innych skarbów z polskich kolekcji muzealnych, których szansa na powrót z roku na rok jest coraz mniejsza. ©℗

eprasa.pl be20e2503b

Co dalej z tą Francją?

Olivier Bault

Po wygranej Emmanuela Macrona można na razie jasno stwierdzić tylko jedną rzecz: we Francji układ skutecznie się wybronił!

Wybrany w II turze wyborów prezydenckich na najmłodszego prezydenta V Republiki 39-letni były sekretarz socjalistycznego prezydenta François Hollande'a i były minister gospodarki w rządzie Manuela Vallsa wygrał z poparciem obu wyjątkowo nielubianych liderów wybory, które miały być teoretycznie „nie do przegrania" dla kandydata centroprawicy François Fillona. Jest to rzecz niezwykła, zwłaszcza że były to pierwsze wybory, do których stanął ten były wspólnik banku Rothschilda, zwany w swoim dawnym bankowym środowisku „Mozartem finansów".

Przejście w 2012 r. z finansjery do pracy w Pałacu Elizejskim nie było jednak jego pierwszym krokiem w świecie polityki. Wcześniej, w 2007 r., dołączył do komisji powołanej przez ówczesnego prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego, która pod przewodnictwem Jacques'a Attaliego, byłego specjalnego doradcy socjalistycznego prezydenta François Mitterranda, prowadziła analizę reform potrzebnych do odblokowania francuskiej gospodarki. To właśnie koneksje Attaliego pozwoliły Macronowi, wtedy młodemu urzędnikowi francuskiej generalnej inspekcji finansowej, absolwentowi francuskiej krajowej szkoły administracji (ENA – przez którą

eprasa.pl be20e2503b

FOT. REGIS DUVIGNAU/REUTERS/FORUM

przeszło większość francuskich liderów politycznych), wejść do banku Rothschilda w 2008 r.

MILIONER PROGRESISTA

Chociaż, pomimo kariery politycznej za prezydentury Hollande'a, Macron przedstawia się jako nienależący do partyjnych układów, formalnie w latach 2006–2009 należał do francuskiej Partii Socjalistycznej (PS). U Rothschildów w latach 2008–2012 dorobił się ok. 3 mln euro, ale z jego oświadczenia majątkowego złożonego w momencie objęcia teki ministerialnej w 2014 r. wynika, że praktycznie wszystko roztrwonił, bo był już bez grosza. Tego, czy wówczas nie skłamał, nie dowiemy się prawdopodobnie nigdy, ponieważ w kampanii wyborczej mainstreamowe media i prokuratura finansowa powołana do życia za rządów socjalistów były w stosunku do niego dużo mniej dociekliwe niż w przypadku oskarżeń wobec kandydata centroprawicy François Fillona. Zarówno w tej sprawie, jak i w innych kwestiach mogących potencjalnie skompromitować Macrona.

Nie mając własnej partii, w kwietniu 2016 r., będąc jeszcze wówczas ministrem gospodarki, Emmanuel Macron założył własny ruch En Marche!. Z funkcji ministra zrezygnował dopiero pod koniec sierpnia 2016 r. Główne postulaty nowego ruchu politycznego Macrona to odrzucanie wszelkiej formy konserwatyzmu, progresizm (również w sferze nowych praw, o które walczą lobby LGBT), przywiązanie do Unii Europejskiej, przystosowanie Francji do globalizacji, wola moralizowania i unowocześnienia życia politycznego we Francji. Co ciekawe, założenie tej nowej lewicowo-liberalnej partii nastąpiło dwa lata po tym, jak Emmanuel Macron uczestniczył w spotkaniu Grupy Bilderberg w Kopenhadze, czyli nieformalnego międzynarodowego stowarzyszenia wpływowych osób świata polityki i biznesu. Z kolei pierwsza siedziba ruchu En Marche! mieściła się w mieszkaniu dyrektora Instytutu Montaigne. To lewicowo-liberalny think tank, którego prezesem jest Henri de Castries, były prezes ubezpieczyciela AXA i przewodniczący komitetu dyrekcji… spotkań Grupy Bilderberg!

Nic zatem dziwnego, że Emmanuel Macron cieszył się w kampanii wyborczej tak masowym poparciem mainstreamowych mediów francuskich, gdyż te są w rękach wielkiego kapitału należącego do miliarderów, którym spotkania Grupy Bilderberg nie są obce. Może to brzmieć jak teoria spiskowa, ale przy tak masowym poparciu mediów i elit udzielonym jednemu kandydatowi można zaryzykować stwierdzenie, że razem z Fillonem i Le Pen w ostatnich wyborach prezydenckich nad Sekwaną przegrała też w pewnym sensie demokracja. Nie należy jednak w tym przypadku spodziewać się reakcji pierwszego wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej do spraw praworządności Fransa Timmermansa, który sam bywał na spotkaniach Grupy Bilderberg i który jako holenderski socjalista podziela lewicowo-liberalną, antynarodową ideologię nowego prezydenta Francji.

A zatem po wyjątkowo nielubianym François Hollandzie Francuzi wybrali na prezydenta Emmanuela Macrona. Jednak choć Macron wygrał w II turze z komfortową przewagą głosów (66 proc. do 34 proc., na niekorzyść jego kontrkandydatki Marine Le Pen), nie oznacza to, że cieszy się masowym poparciem wśród Francuzów. Jeśli odnieść te 20,7 mln głosów oddanych na niego do ogółu uprawnionych do głosowania, to Emmanuel Macron tak naprawdę został prezydentem Francji z poparciem niecałych 44 proc. wyborców. Przy tym przegrana Marine Le Pen, która otrzymała wynik wyraźnie poniżej oczekiwań, gdyż liczyła na co najmniej 40 proc., nie zmienia faktu, że 10,6 mln głosów oddanych na nią w II turze (w porównaniu z rekordową dotychczas liczbą 6,8 mln głosów na listy Frontu Narodowego w II turze wyborów regionalnych w grudniu 2015 r. i 7,7 mln na nią w I turze wyborów prezydenckich) oznacza dalszy postęp Frontu Narodowego. Bez sojuszu z nim trudno będzie centroprawicowej LR wrócić do władzy poza scenariuszem wielkiej koalicji sił „postępowych" wokół prezydenta Macrona.

Wyjątkowo wysoka absencja wyborcza jak na francuskie wybory prezydenckie – na poziomie 25 proc., tj. najwyższa od 1969 r. – oraz niespotykana dotąd liczba głosów pustych lub nieważnych (12 proc.) to odzwierciedlenie sytuacji, w której Emmanuel Macron wygrał wybory bardziej z powodu niechęci do Marine Le Pen, przeciwko której występowały wszystkie główne media, niż dzięki poparciu dla jego projektu prezydenckiego. Sondaż opublikowany nazajutrz po wyborach przez centroprawicowy dziennik „Le Figaro" (popierał François Fillona w I turze i Emmanuela Macrona w II turze) pokazuje już, że większość Francuzów nie chce, aby ugrupowanie En Marche! prezydenta Macrona dysponowało większością głosów w Zgromadzeniu Narodowym. W I turze wyborów parlamentarnych planowanych na 11 czerwca na En Marche! zamierza głosować tylko 24 proc. Francuzów. Na centroprawicową partię Les Républicains (Republikanie, czyli LR – były UMP Sarkozy'ego) chce zagłosować 22 proc.,

eprasa.pl be20e2503b

a na Front Narodowy 21 proc. wyborców. Francuska partia socjalistyczna może zniknąć, wysysana z prawej strony przez partię Macrona, a z lewej przez partię Jeana-Luca Mélanchona, który dostał 19 proc. głosów w I turze wyborów prezydenckich, niemal tyle samo co François Fillon (20 proc.), podczas gdy oficjalny kandydat socjalistów zgromadził tylko 6 proc. głosów.

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

Trudno zatem w tej chwili prognozować, jak będzie wyglądała polityka Francji w najbliższych latach, gdyż będzie ona w dużej mierze zależeć od wyniku wyborów parlamentarnych 11 oraz 18 czerwca i od większości, która się z nich wyłoni. Można sobie wyobrażać podział także centroprawicowej LR z odpływem części jej liderów do Macrona. Chodzi o tych bardziej lewicowo-liberalnych, choć nominalnie prawicowych polityków, jak byli premierzy Alain Juppé, Jean-Pierre Raffarin czy Dominique de Villepin.

Przyszły kształt obozu centroprawicowego stoi zatem pod znakiem zapytania, podobnie jak kierunek, który obierze Front Narodowy po przegranej Marine Le Pen. W sprawach najważniejszych dla Francuzów, tj. w kwestiach imigracji, przestępczości i walki z terroryzmem, poglądy większości są bliższe propozycjom Frontu Narodowego niż pomysłom Emmanuela Macrona, ale nie jest tak w kwestii wyjścia z Unii Europejskiej czy nawet ze strefy euro. W kampanii wyborczej i w debacie między obiema turami Marine Le Pen nie umiała oddzielać kwestii wyjścia z UE od wyboru nowego prezydenta, choć mogła, skoro zapowiedziała wcześniej w tych materiach referendum. Postanowiła jednak zwracać się głównie do wyborców Mélanchona, mówiąc o protekcjonizmie gospodarczym i o ochronie socjalnej. Przy tym nie udało się jej przyciągnąć do siebie wyborców skrajnie lewicowej partii. Odstraszyła za to część wyborców centroprawicowego Fillona, którzy wcześniej byli gotowi na nią zagłosować. Jeśli Front Narodowy chce stać się główną opozycją na prawicy, to będzie musiał prawdopodobnie zrezygnować z postulatu wyjścia z UE i ze strefy euro bez choćby przeprowadzania referendum oraz powrócić do większego liberalizmu gospodarczego.

Do takiej strategii mogącej zjednoczyć francuską „prawdziwą" prawicę Marine Le Pen jest od lat namawiana bez skutku przez tych, którzy krytykują jej lewicowy przechył w sferze socjalnej i dla których główną stawką jest ratowanie Francji przed islamizacją z jednej strony, a przed chorymi reformami obyczajowymi postępowców z drugiej.

Zakładając jednak, że nowemu prezydentowi uda się zbudować większość parlamentarną we francuskim Zgromadzeniu Narodowym po czerwcowych wyborach, warto się zastanowić, jakie jego wygrana może mieć konsekwencje dla przyszłości Unii Europejskiej i stosunków z Polską. Prezydent RP Andrzej Duda w gratulacjach wysłanych do zwycięzcy francuskich wyborów prezydenckich podkreślił potrzebę odbudowy zaufania. Trudno się temu dziwić po słowach Macrona wypowiedzianych w trakcie kampanii wyborczej, kiedy obiecywał, że będzie dążył do nałożenia sankcji na Polskę w ciągu trzech miesięcy od objęcia urzędu, i kiedy mówił o autorytarnych reżimach Putina, Orbána i Kaczyńskiego, w których liczne swobody obywatelskie miałyby być deptane. Francja Macrona może w istocie przyczyniać się do większej konfliktowości wewnątrz Unii Europejskiej, dążąc do zintensyfikowania dotychczasowych błędów: zmierzanie do federalizacji, mieszanie się w coraz to nowe obszary suwerenności państw członkowskich itp. Na pewno wybór Macrona na prezydenta Francji tworzy zarówno dla Polski rządzonej przez PiS, jak i dla Węgier rządzonych przez Fidesz sytuację mniej wygodną, niż gdyby wygrał je François Fillon, którego program wyborczy nie zakładał dążenia do federalizacji w ramach wybranej grupy krajów wewnątrz Unii Europejskiej.

Trudno jednak jednoznacznie stwierdzić, na ile nowy prezydent Francji był szczery, kiedy tak ostro wyrażał się na temat Polski i Węgier. Przez całą kampanię Macron był krytykowany za to, że mówił mało konkretnie, posługiwał się głównie hasłami i starał się przypodobać wszystkim wyborcom, nawet jeśli miało to oznaczać, że sam sobie zaprzecza. Zresztą bardzo długo zwlekał z opublikowaniem swojego programu, a nawet stwierdził, że programy wyborcze są niepotrzebne, bo i tak nie są później realizowane.

Wypowiedź na temat sankcji wobec Polski była motywowana wyprowadzką fabryki firmy Whirlpool z jego rodzimego Amiens do polskiej Łodzi. Grożenie Polsce artykułem 7. Traktatu UE z powodu domniemanego dumpingu socjalnego ze strony Polski to kolejna pusta i pełna sprzeczności wypowiedź Macrona w trakcie kampanii. Można było w zasadzie z niej wywnioskować, że dumping socjalny wewnątrz UE jest do zaakceptowania, ale nie ze strony kraju oskarżonego o łamanie „zasad europejskich" w dziedzinie imigracji i praworządności. Słowa te były oczywiście skierowane do lewicowego elektoratu Mélanchona i miały zatrzeć złe wrażenie po tym, jak po I turze wyborów Marine Le Pen w zakładzie Whirlpool w Amiens była witana brawami, a sam Macron został przez pracowników wygwizdany.

LEPSZY, CZYLI GORSZY HOLLANDE

Poza tym, nawet jeśli był w swych wypowiedziach szczery, Polska i Węgry to niejedyne kraje, którym mogą się nie podobać pomysły Macrona co do UE dwóch prędkości. Francja, mająca rekordowe bezrobocie i zadłużenie na poziomie blisko 100 proc. PKB, po pięciu latach prezydentury Hollande'a będzie i tak mocno uzależniona od dobrej woli Niemiec oraz niczego nie zdoła przeforsować bez wsparcia ze strony Berlina. Dlatego też Marine Le Pen podczas debaty prezydenckiej przed II turą wyborów mogła pozwolić sobie na stwierdzenie, że tak czy owak Francją będzie rządziła kobieta: albo ona, albo Angela Merkel.

Zwolennicy Macrona liczą jednak, że okaże się on Blairem czy Schroederem francuskiej lewicy i że jako pierwszy na poważnie zreformuje francuską gospodarkę i sprawi, że stanie się ona wreszcie znowu konkurencyjna. Jednak czy już nie wyszło na jaw, że zostali oszukani? Podczas obchodów 8 maja, gdy przyszły prezydent stał u boku urzędującego prezydenta, François Hollande wyglądał na wyraźnie zadowolonego, choć teoretycznie powinien ubolewać, że sam, jako polityk wyjątkowo niepopularny, nie mógł ponownie stanąć do wyborów. Bez żenady oznajmił: „Szedł za mną przez wszystkie te ostatnie lata, gdy sam byłem kandydatem, a następnie prezydentem. Był ministrem. To do niego teraz należy, dzięki sile doświadczenia, które zdobył u mojego boku i dzięki sile płynącej z tego, co zrobiliśmy razem, kontynuować ten marsz". Podobnie w czasie kampanii wyborczej profil polityczny i osobowościowy Macrona podsumował były specjalny doradca Hollande'a – Aquilino Morelle, mówiąc: „Macron to taki lepszy Hollande, co oznacza, że jest jeszcze gorszy".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

FACEBOOK PRAWDĘ CI POWIE

Całkiem niedawno europosłowie zastanawiali się, jak będą walczyć z nieprawdziwymi informacjami w Internecie. O takich działaniach najgłośniej mówiono tuż po wyborach w USA, gdy okazało się, że prezydentem został Donald Trump. Władcy społecznościowych portali głośno zapowiadali też wprowadzenie cenzury tuż przed niedawnymi wyborami prezydenckimi we Francji. A wszystko oczywiście dla dobra ludzi – aby uchronić ich przed podejmowaniem decyzji opartych na nieprawdziwych doniesieniach. Uznano, że internauci nie mają tyle oleju w głowie, by odróżnić nieprawdę od prawdy i żeby wiedzieć, które źródła wiadomości są wiarygodne, a które nie. I dlatego decydować ma o tym portal społecznościowy. A konkretniej – algorytm wymyślony przez jego właścicieli. Jak doniosła brytyjska prasa, już miesiąc przed wyborami parlamentarnymi na Wyspach Facebook miał zaostrzyć metody zwalczania „fake news". Algorytm nie tylko miał usuwać niewiarygodne informacje, lecz także kasować profile, które je rozpowszechniają. Witajcie w nowym wspaniałym świecie, w którym Wielki Brat dostarczy wam samych właściwych informacji.

FOT. FOTOLIA

SŁAWA PRZEZ POMYŁKĘ

Tymczasem nowoczesne technologie, które mają lepiej oceniać informacje niż ludzie, raczej wciąż potrafią przysparzać kłopotów. Dobrym przykładem jest norweska wieś Fossmork, która niespodziewanie przeżywa najazd turystów. Jak relacjonowali jej mieszkańcy – dziennie przyjeżdża tam nawet 15 samochodów turystów. Niestety, nie przyjeżdżają tam z własnej woli. Przez błąd w Google Maps, wybierając się na piękny klif Preikestolen, docierają do oddalonej od niego o 20 mil miejscowości. Droga jest trudna, kręta i muszą nią wracać, nie obejrzawszy morza z góry.

WYSKOKI PRZY FONTANNIE

Zupełnie inny kłopot z turystami mają władze Rzymu. Docierają tam setki tysięcy turystów spragnionych zabytków wiecznego miasta i część z nich tych zabytków uszanować nie potrafi. Bardzo wielu próbuje (i często im się udaje) wskoczyć do fontanny di Trevi, choć grozi za to mandat w kwocie 450 euro. Burmistrz przyznała, że nie może wysłać do pilnowania fontanny więcej strażników, bo chronić trzeba też inne zabytki. Uznała więc, że jedynym sposobem będzie wprowadzenie sytemu oglądania „w marszu". Turyści będą mogli podziwiać fontannę, maszerując wyznaczonym korytarzem.

NAJBARDZIEJ BEZUŻYTECZNE LOTNISKO

Znalazł się ktoś, kto przebił pomysł rządów PO-PSL na budowanie małych regionalnych lotnisk, z których mało kto wybiera się w podniebną podróż. Brytyjczycy zbudowali bardzo drogie lotnisko na Wyspie Świętej Heleny (tak, to ta sama wyspa, na którą wysłano Napoleona po tym, jak uciekł z Elby). Kosztowało 250 mln funtów. Jego otwarcie długo odkładano, ponieważ w tym miejscu na Atlantyku wiatr wieje z wielką siłą, a jego kierunek często się zmienia, więc warunki do lądowania i startów samolotów są dramatycznie trudne. W końcu, jak podała brytyjska prasa, na wyspie wylądował pierwszy samolot. Przywiózł 60 pasażerów.

ŻONKA SKARBONKA

Gdy Brytyjczycy trwonią miliony na bezsensowne inwestycje, inni posuwają się do heroicznych czynów, by chronić oszczędności. Pewna Kolumbijka pokłóciła się z mężem o pieniądze, które odkładali, by spędzić za nie wakacje. Małżonek chciał je przeznaczyć na inny cel, więc kobieta postanowiła je przed nim uchronić – połknęła 7 tys. dol. Lekarze z Bucaramangi wyciągnęli je z jej żołądka podczas operacji. Niestety, nie wszystkie banknoty udało się uratować. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl be20e2503b

Zabójcy dusz

Jacek Przybylski

Co najmniej kilka tysięcy uczniów rocznie pada w USA ofiarą molestowania przez rówieśników. Najmłodsi napastnicy mają po pięć, sześć lat

Od jesieni 2011 do wiosny 2015 r. doszło do co najmniej 17 tys. przypadków molestowania seksualnego uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych przez inne dzieci. Tę szokującą liczbę ustalili podczas trwającego rok śledztwa dziennikarskiego reporterzy agencji Associated Press, analizując m.in. przypadki zmuszenia do stosunku seksualnego zgłoszone w placówkach edukacyjnych, opisane w pozwach sądowych, w wiadomościach lokalnych mediów, a także w raportach dotyczących przestępstw na tle seksualnym w całej Ameryce. Uwzględnili też przypadki gwałtu z użyciem przedmiotów: w 2015 r. jeden z graczy ze szkolnej drużyny bejsbolowej trafił do szpitala po tym, jak został zgwałcony za pomocą wieszaka, trzy lata wcześniej jeden ze sportowców popełnił samobójstwo po tym, gdy jego koledzy z drużyny zgwałcili go, używając miotły.

NAJŁATWIEJ NIE WIERZYĆ

Sami dziennikarze zwracają uwagę na to, że ustalona przez nich liczba to zapewne jedynie wierzchołek góry lodowej. Wiele gwałtów nie jest zgłaszanych, a nawet jeśli inne dzieci molestowane przez kolegów z klasy w końcu poskarżą się nauczycielom, to dyrektorzy szkół, starając się ochronić dobry wizerunek swojej placówki, często próbują tuszować tego typu sprawy. Niektóre takie incydenty traktowane są też jako przypadki „dręczenia", „złego zachowania" lub „niewłaściwego kontaktu fizycznego".

I chociaż na pierwsze strony gazet najczęściej trafiają przypadki molestowania dzieci przez dorosłych – np. nauczyciela o skłonnościach pedofilskich czy trenera-zwyrodnialca – to z policyjnych statystyk wynika, że ryzyko, iż sprawcą molestowania seksualnego dziecka będzie inny uczeń, jest aż siedem razy większe niż to, że agresorem będzie dorosły. Do ataków dochodzi m.in. w szkolnych szatniach, pod prysznicami i w autobusach, kiedy dzieci zostają bez odpowiedniej opieki. Według AP zdarza się też, że np. gracze ze szkolnych drużyn bejsbolowych w jednym roku padają ofiarą ataków, a w następnym roku sami stają się agresorami.

Zamiatanie tego typu przypadków pod dywan ułatwia to, że w przeciwieństwie do incydentów związanych z bronią palną czy narkotykami znalezionymi na terenie szkoły nie istnieje prawo, które zmuszałoby dyrektorów placówek oświatowych w całej Ameryce do prowadzenia statystyk dotyczących ataków seksualnych dokonywanych przez dzieci na dzieci.

Emily Schmall, współautorka raportu, zauważyła też w wywiadzie dla PBS, że często zarówno nauczyciele, jak i rodzice lekceważą opowieści związane z molestowaniem. Są bowiem przekonani, że tak małe dzieci nie mogą paść ofiarami przemocy seksualnej, a także że nie mogą być jej sprawcami. Tymczasem zdarza się, że i najmłodsze ofiary, i najmłodsi napastnicy mają zaledwie pięć, sześć lat. Z przytoczonych przez telewizję ABC News danych FBI wynika, że dzieci w tym wieku dotyczy 5 proc. spraw związanych z przemocą seksualną. Wśród pięcio- i sześcioletnich ofiar molestowania ok. 40 proc. stanowią chłopcy. Z wiekiem zwiększa się liczba wykorzystywanych dziewcząt, które najczęściej padają ofiarą molestowania, gdy mają 14 lat. W sumie wśród wszystkich nastoletnich ofiar dziewczynki stanowią 85 proc.

– Badania z 2004 r., które zrobiłem na ogólnopolskiej próbie 5 tys. 18-latków, wykazały, że 34 proc. doznało różnych form przemocy seksualnej. 12 proc. było zaś sprawcami rówieśniczej agresji seksualnej. W wielu krajach, m.in. w USA, resorty edukacji i zdrowia starają się przeciwdziałać takim przypadkom, prowadzić programy pomocy dla ofiar oraz pracować z młodocianymi sprawcami. Niestety, w Polsce nikt się tym problemem nie zajmuje. Nie mamy programów terapeutycznych dla młodocia-

eprasa.pl be20e2503b

FOT. FOTOLIA

nych sprawców ani dobrych programów dla ofiar przemocy seksualnej. Mamy też problem z bardzo niskim poziomem edukacji seksualnej, a przecież w szkołach powinno się mówić o pozytywnym rozwoju seksualnym człowieka, a także o patologiach – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Zbigniew Izdebski, pedagog i seksuolog z Uniwersytetu Zielonogórskiego i Uniwersytetu Warszawskiego. – Często rodzice oburzają się, jeśli nauczyciele podejmą temat przemocy seksualnej lub nie życzą sobie słyszeć, że ich dziecko przejawia skłonności do przemocy, w tym do przemocy seksualnej. Taka reakcja wynika m.in. z faktu, że rodzice nie wiedzą, co z tym zrobić. Również dyrektorzy czy nauczyciele wolą pewnych tematów nie podejmować – dodaje.

Prowadzenie spraw o molestowanie seksualne utrudnia również to, że do ataków dochodzi zazwyczaj bez świadków (choć w przypadku niemal 12 proc. ataków na tle seksualnym w USA w przestępstwie brał udział więcej niż jeden sprawca). Ofiary początkowo długo milczą, a gdy zdecydują się mówić, śledczym trudno jest znaleźć fizyczne dowody przestępstwa. Policjanci i prokuratorzy często nie decydują się więc na ściganie nieletnich sprawców. Tak było choćby w przypadku nastoletnich członków drużyny bejsbola, którzy podczas wyjazdu na mistrzostwa nagle wpadli do pokoju hotelowego jednego z młodszych zawodników, siłą rzucili go na łóżko i zaczęli molestować. W sumie ofiarami tego wieczoru miało być co najmniej czterech chłopców. Według „The Atlanta Journal-Constitution" po kilku miesiącach policja uznała, że szkodliwość czynu jest zbyt mała, aby ciągać po sądach 15-letnie dzieci. Skończyło się więc na krótkotrwałym zawieszeniu sprawców w prawach ucznia. W szkolnych drużynach sportowych dochodzi też do gwałtów, np. z użyciem różnego rodzaju przedmiotów. Trenerzy często jednak nie reagują na jakiekolwiek skargi, uważając, że będące elementem fali molestowanie seksualne młodszych zawodników przez ich starszych kolegów to po prostu „tradycja",

eprasa.pl be20e2503b

która wzmacnia w drużynie siłę walki. – Często dzieci nie zdają sobie sprawy z tego, że to, co robią, jest formą agresji seksualnej. Chcą pokazać swoją dominację, wskazać komuś miejsce w szeregu, nauczyć pokory i nie uzmysławiają sobie, że np. zmuszanie do kontaktów oralnych to forma przemocy seksualnej – zauważa prof. Zbigniew Izdebski. I dodaje, że większość ofiar przemocy seksualnej o tym nie mówi. – Często wstydzą się, że są ofiarą. Zdecydowana większość przypadków jest nieujawniana. Często takie zdarzenia prowadzą do samobójstw. Dzieci nie radzą sobie bowiem z przemocą seksualną, nie wiedzą, gdzie szukać pomocy lub nie chcą jej szukać, bo wstydzą się tego, co się stało – zauważa pedagog i seksuolog.

Nieszczęścia dopełnia to, że wielu prawników odmawia rodzinom molestowanych dzieci podjęcia się trudnych, długotrwałych i skomplikowanych spraw – np. o zaniedbanie obowiązku ochrony uczniów przez pracowników szkoły – które nie muszą zakończyć się wypłatą wysokich odszkodowań.

GIMNASTYCZNA SEKSAFERA

W USA rośnie również liczba ataków seksualnych na dzieci, których sprawcami są dorośli. Akcje edukacyjne, które uświadamiają maluchom, by nie ufały nieznajomym, są mało skuteczne. W zdecydowanej większości przypadków sprawcą napaści seksualnej była bowiem osoba, którą dziecko dobrze znało – krewny, sąsiad, nauczyciel lub trener szkolnej drużyny sportowej.

W zeszłym roku śledztwo dziennikarskie gazety „Indianapolis Star" ukazało wstrząsający obraz prawdziwego świata amerykańskich gimnastyczek. Aż 368 dziewczynek i młodych kobiet z USA przyznało, że padło ofiarą napastowania przez trenerów, zawodników oraz właścicieli sal gimnastycznych. Najczęściej miały być molestowane między 13. a 20. rokiem życia (kiedy większość zawodniczek kończy karierę). Wśród pokrzywdzonych zawodniczek znalazły się m.in. gimnastyczki z kadry narodowej, a nawet olimpijskie medalistki. Dziennikarskie śledztwo sprawiło, że na światło dzienne wyszły sprawy z ostatnich 20 lat. Dlaczego zawodniczki tak długo milczały? Według prokuratorów m.in. ze strachu przed oprawcami, a także z obawy, że ujawnienie molestowania sprawi, iż zostaną wyrzucone z drużyny. Część zawodniczek bała się również, że jeśli ich historie wyjdą na jaw, to stracą kontrakty ze sponsorami.

O molestowaniu gimnastyczek zrobiło się głośno, gdy jeden z najbardziej znanych szkoleniowców Marvin Sharp trafił za kratki pod zarzutem molestowania nieletnich podopiecznych. 48-letni mężczyzna miał m.in. dotykać miejsc intymnych dziewczynek oraz robić im zdjęcia.

Światem amerykańskiego sportu wstrząsnęła również sprawa lekarza amerykańskiej kadry gimnastyczek Larry'ego Nassara – pracował z zawodniczkami przez niemal 30 lat – przeciwko któremu złożono kilkanaście pozwów dotyczących molestowania nieletnich i którego oskarżono m.in. o posiadanie pornografii dziecięcej. Jedną z osób, które oskarżyły go o wykorzystywanie seksualne, jest Jamie Dantzscher. Brązowa medalistka olimpijska z 2000 r. w tym roku zdecydowała się publicznie opowiedzieć przed komisją w amerykańskim senacie, że gdy była nastolatką, lekarz wkładał palce do jej pochwy, przekonując, że ta procedura pomoże na ból pleców oraz biodra. „Trzymał we mnie rękę tak długo, że wydawało mi się, że to cała wieczność" – napisała gimnastyczka w sądowym pozwie. Inna gimnastyczka Lindsey Lemke twierdzi zaś, że w ciągu mniej więcej czterech lat Nassar seksualnie wykorzystał ją „ok. 600 razy", np. przesuwając ręce podczas masażu z pleców na pośladki, a także dotykając miejsc intymnych zawodniczki bez jej zgody. Sam Nassar utrzymuje, że jest niewinny.

Dzięki mediom wyszło na jaw, że ofiarą napastowania przez trenerów i zawodników padło 368 amerykańskich gimnastyczek

Problem leży jednak nie tylko w seksualnych atakach, lecz także w braku reakcji na wiadomości dotyczące molestowania zawodniczek. Według „Daily Mail" po złożeniu pozwu adwokaci krajowej federacji gimnastycznej kontaktowali się z byłymi chłopakami Jamie Dantzscher, wypytując o brudy dotyczące jej życia seksualnego. Zwolennicy znanego lekarza próbowali też obarczać winą rodziców ofiary lub zrzucać odpowiedzialność na „jej charakter". „To mocno mnie ubodło. Nie zrobiłam niczego poza tym, że opowiedziałam prawdę, co się stało, gdy byłam małą dziewczynką. Ich reakcja polegała zaś na tym, aby winą obarczyć ofiarę" – napisała olimpijska medalistka. – Widać już bardzo wyraźnie, że federacja gimnastyczna nie zrobiła zbyt wiele, aby bronić atletki przed jakąkolwiek formą wykorzystywania – mówiła podczas zeznań w senacie trzykrotna mistrzyni USA w gimnastyce artystycznej Jessica Howard.

OCHRONIĆ NIELETNICH

Jeden z adwokatów, reprezentujący ponad 70 gimnastyczek, które padły ofiarą gwałtów i molestowania seksualnego, zażądał od Komitetu Olimpijskiego Stanów Zjednoczonych przeprowadzenia gruntownych zmian w krajowej federacji gimnastycznej. W związku z aferą ze stanowiskiem prezesa federacji pożegnał się jej szef Steve Penny. Sprawa stała się zaś tak głośna, że amerykański senat zaczął prace nad ustawą, która ma wprowadzić obowiązek natychmiastowego zgłaszania podejrzeń dotyczących molestowania seksualnego do organów ścigania, a także organizacji zajmujących się ochroną praw dziecka. Trenerzy i lekarze mają też lepiej przestrzegać już wcześniej obowiązujących procedur (np. Larry Nassar spotykał się z zawodniczkami sam na sam, co jest sprzeczne z zasadami federacji).

W amerykańskich szkołach wyższych i na uniwersytetach obowiązują przepisy wprowadzone po przypadkach drastycznych gwałtów w latach 80., które nakazują m.in. prowadzenie odpowiednich szkoleń dla pracowników, a także jawnych zapisów dotyczących przypadków napaści seksualnych. Tego typu rozwiązania mogłyby też pomóc dzieciom szkół podstawowych. Jak podał „Houston Chronicle", politycy w Teksasie – w którym liczba zarzutów dotyczących napaści seksualnych na dzieci wzrosła w zeszłym roku do rekordowego poziomu 51 tys. – ustalili, że rozszerzą specjalne szkolenia, które mają pomóc obronić się przed zwyrodnialcami. Aby pięciolatkom łatwiej było wyobrazić sobie ewentualne zagrożenia, nauczyciele mają wykorzystywać m.in. pluszowe misie oraz kukiełki. Podczas zajęć dzieci będą mogły się nauczyć, jak powiedzieć „nie" osobie, która dotyka ich w nieodpowiedni sposób. Będą też zachęcane, aby natychmiast mówiły o swych podejrzeniach rodzicom lub nauczycielom. Jeśli takie szkolenia staną się powszechne, to może uda się otworzyć oczy dorosłym na piekło, przez które przechodzą ofiary molestowania, i ochronić przed zniszczeniem tysiące dziecięcych dusz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Odzyskał Polskę – zniszczył polskość

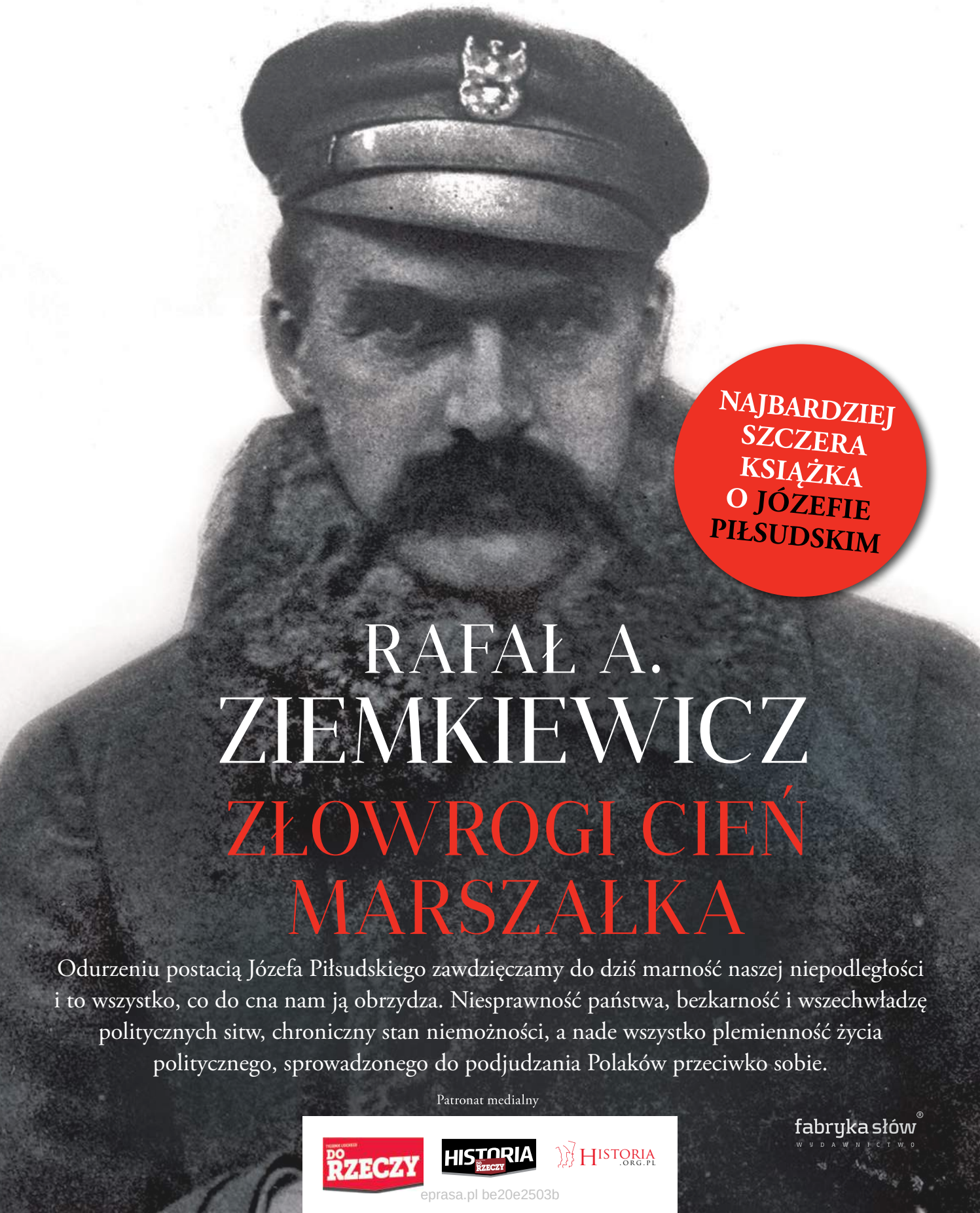

NAJBARDZIEJ SZCZERA KSIĄŻKA O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA

Odurzeniu postacią Józefa Piłsudskiego zawdzięczamy do dziś marność naszej niepodległości i to wszystko, co do cna nam ją obrzydza. Niesprawność państwa, bezkarność i wszechwładzę politycznych sitw, chroniczny stan niemożności, a nade wszystko plemienność życia politycznego, sprowadzonego do podjudzania Polaków przeciwko sobie.

Patronat medialny

DO RZECZY HISTORIA DO RZECZY HISTORIA.ORG.PL

fabryka słów® WYDAWNICTWO

eprasa.pl be20e2503b

Procenty w wódce, orzeźwienie w piwie

W debacie „Do Rzeczy" wzięli udział m.in. przedstawiciele Stowarzyszenia Regionalnych Browarów Polskich, Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie, piwoznawca i specjalista psychoterapii uzależnień FOT. MONIKA GUT/PROFESJONALNA.TV

debata DO RZECZY

Edyta Hołdyńska

Wino w rodzinnym gronie, piwo na spotkaniu z przyjaciółmi, a na imprezie wódka – CBOS zbadało modele picia napojów alkoholowych przez Polaków

Chociaż najpopularniejszym napojem alkoholowym w Polsce jest piwo, to Polakom najczęściej zdarza się upijać wódką. Pijąc wódkę, przeciętny konsument przyjmuje jednorazowo niemal dwa razy więcej czystego alkoholu, niż pijąc piwo, i prawie trzy razy więcej niż wtedy, gdy pije wino. Badanie CBOS przeprowadzono na ogólnopolskiej próbie 1309 osób powyżej 18. roku życia, uzyskując informacje o ponad 2 tys. unikalnych sytuacji spożywania alkoholu. Przynajmniej raz w miesiącu po wino i wódkę sięga niemal połowa Polaków (odpowiednio: 46,1 proc. i 48,3 proc.), po piwo prawie trzy czwarte badanych. Każdy rodzaj alkoholu pijemy w nieco innych sytuacjach i z inną motywacją.

– Z przeprowadzonego badania wynika, że alkohol spożywany jest zwykle w radosnych okolicznościach. Piją go (w tym upijają się nim) najczęściej mężczyźni w wieku młodym i średnim, co jest zgodne z wynikami badań nad wzorcami picia alkoholu prowadzonymi na całym świecie. Panie wypijają ok. 60 proc. ilości alkoholu spożywanego przez mężczyzn, i to niezależnie od rodzaju trunku – mówi dr Małgorzata Dragan, psycholog z Uniwersytetu Warszawskiego.

PIWO DLA RELAKSU, WÓDKA DLA HUMORKU

Badanie pokazało, że intencje, z jakimi Polacy podnoszą do ust kieliszek wódki, są zupełnie inne od powodów, dla których napełniają kufel piwem. Konsumenci sięgają po piwo przede

eprasa.pl be20e2503b

wszystkim ze względu na jego walory smakowe (18,4 proc.) oraz z uwagi na to, że dobrze gasi pragnienie (15,3 proc.). Wódka jest natomiast trunkiem o bardziej „imprezowym" wizerunku. W opinii respondentów najlepiej sprawdza się podczas spotkań towarzyskich – pomaga stworzyć odpowiedni nastrój (19,4 proc.) i pasuje do celebrowania specjalnych okazji (18,2 proc.). Piwo zaś towarzyszy z reguły spotkaniom w niedużym gronie znajomych bądź odpoczynkowi w domowym zaciszu, czyli sytuacjom, które pozwalają na smakowanie pitych trunków.

– Kultura piwna rozwija się wraz z poznawaniem nowych smaków przez Polaków – komentuje Hubert Buksowicz, członek zarządu Stowarzyszenia Regionalnych Browarów Polskich. – Mamy teraz w Polsce dostęp do kuchni i produktów z całego świata, których wcześniej nie znaliśmy. I wśród Polaków obserwujemy teraz prawdziwy boom na odkrywanie nowych smaków oraz rodzajów piwa. Poszliśmy już nawet dalej w tym zakresie niż kraje słynące z browarnictwa, np. Belgia.

O JEDEN KIELISZEK ZA DALEKO...

Jak tłumaczy Marcin Herrmann, analityk CBOS, w Polsce możemy mówić o kilku kulturach picia alkoholu. A to, jak zachowujemy się pod jego wpływem, zależy od rodzaju alkoholu. – Pijąc wódkę, przy jednej okazji wypijamy znacznie więcej czystego alkoholu, niż spożywając piwo czy wino – mówi Marcin Herrmann. – Z dużo większą częstotliwością alkohol piją mężczyźni niż kobiety i to mężczyźni częściej się nim upijają – dodaje.

Badania CBOS pokazały, że najliczniej upijającą się grupą są osoby do 32. roku życia, po 53. roku życia zaś odsetek upijających się wyraźnie maleje. Uzyskane rezultaty potwierdzają te publikowane w innych badaniach (np. CBOS, 2010; WHO, 2014), wskazujące na to, że wraz z wiekiem spada częstotliwość picia alkoholu i upijania się, a efekt ten dotyczy zwłaszcza osób z najstarszych grup wiekowych oraz kobiet.

Wódka jest alkoholem, którym Polacy upijają się najczęściej bez względu na płeć czy wiek. Ci, którzy w badaniu przyznali się, że zdarzyło im się upić w ciągu ostatniego roku, najczęściej upijali się właśnie wódką (65,7 proc.). Co istotne, wódką upijały się również osoby, które zwykle po nią nie sięgają, wybierając na co dzień raczej piwo lub wino.

– Wódka jest trunkiem bardziej „wyskokowym" niż inne rodzaje alkoholu, nie tylko ze względu na to, że częściej towarzyszy hucznym wydarzeniom towarzyskim, lecz także przede wszystkim dlatego, że przeciętnie – niezależnie od okoliczności – pijąc wódkę przyjmujemy większą ilość czystego alkoholu niż wtedy, gdy pijemy piwo lub wino – mówi dr Małgorzata Dragan.

Piwo i wino są spożywane w sposób umiarkowany, pozwalający zachować kontrolę nad swoim zachowaniem. Przy jednej okazji statystycznie konsumujemy średnio trzy półlitrowe piwa, co odpowiada sześciu standardowym jednostkom alkoholu (SJA), w przypadku wina są to cztery SJA. W przypadku wódki przy jednej okazji wypijamy 11 kieliszków o pojemności 30 ml, co odpowiada 11 SJA, czyli pijąc wódkę, konsumujemy prawie dwukrotnie więcej czystego alkoholu niż wtedy, gdy pijemy piwo, i niemal trzy razy tyle, gdy pijemy wino.

– Piwem trudniej jest się upić niż wódką. Kufel piwa (pół litra), w którym zawarte jest 20 g czystego alkoholu, sączymy dobre pół godziny. Spożycie tych samych 20 g alkoholu w postaci wódki odpowiada wypiciu dwóch małych jej kieliszków (30 ml) i zajmuje kilka minut. Przy piwie można spędzić cały wieczór bez upijania się. Wódka stwarza większe ryzyko przekroczenia granicy umiarkowanej konsumpcji – wyjaśnia dr Dragan.

– Wszystkie porównywane rodzaje napojów alkoholowych są spożywane najczęściej we własnym domu, jednak znacznie częściej piwo i wino niż wódka, która również nierzadko spożywana jest w domu znajomych lub rodziny. We wcześniejszych badaniach podobnie wykazywano, że w Polsce alkohol najchętniej pity jest w domach (np. PARPA, 2008; CBOS, 2010), wzorzec picia zatem w tym zakresie nie ulega zmianie. Niezależnie od rodzaju alkoholu jest on spożywany najczęściej wieczorem, a spotkania, którym towarzyszy picie, są najdłuższe w przypadku wódki – dodaje Małgorzata Dragan.

POLACY TO NIE PIJACY

Czy to znaczy, że Polacy są pijakami? Według danych Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych spożycie czystego alkoholu per capita wyniosło w 2015 r. 9,41 l, co plasuje Polskę dokładnie w połowie europejskiej stawki. Rezultat ten jest niemal identyczny jak w roku 2014 (9,4 l) i niższy od wielkości spożycia czystego alkoholu w 2013 r. (9,67 l). W przypadku 2013 r. nie można jednak mówić o faktycznie większej konsumpcji, ponieważ w tym właśnie roku rządowa zapowiedź podwyższenia akcyzy na wyroby spirytusowe sprawiła, że produkowano i kupowano je na zapas. Dane PARPA wskazują, że spożycie poszczególnych rodzajów alkoholu oscyluje od kilku lat na tym samym poziomie.

Statystyki biorące pod uwagę tylko konsumpcję czystego alkoholu na jedną osobę nie oddają zmian w kulturze picia. A te w Polsce niewątpliwie zaszły. W ciągu ostatnich dwóch dekad przeszliśmy od alkoholi mocnych (wódka) w kierunku alkoholi słabszych, takich jak piwo, wino i cydr. Według PARPA w 2014 r. piwo stanowiło 57,9 proc. wszystkich spożywanych alkoholi w Polsce (w 1998 r. – 42,5 proc.). Pijemy go dziś (per capita) najwięcej w Europie po Czechach, Niemcach i Austriakach. Sięgając po piwo, coraz chętniej wybieramy te o niskiej zawartości alkoholu lub piwo bezalkoholowe, co wyraźnie odzwierciedlają dane rynkowe.

Zdaniem Macieja Chołdrycha, piwoznawcy, piwa dostępne dziś na rynku mają bardzo różne przeznaczenie i różny skład. Jednak to cena jest najczęściej wyznacznikiem dobrego jakościowego trunku. Chociaż niejedynym. – Minimum rozeznania w dobrych gatunkowo piwach można mieć już, czytając etykiety na butelkach – mówi Maciej Chołdrych. – Warto zwrócić uwagę na chmiel, słód i to, skąd pochodzą. Dobrze, jeśli napisane jest, w którym browarze dane piwo powstało. A potem pozostaje ocenić smak i zapach. Jak rozpoznać kiepskie piwo? Jeśli ma dużą zawartość alkoholu i jest tanie, to można od razu założyć, że nie jest dobre.

Nie warto jednak zapominać, że alkohol nie jest takim samym produktem jak chleb czy mleko, i przestrzegać przed negatywnymi skutkami jego nadmiernego spożywania. Jednakże sama PARPA w raportach wykazuje, że 80 proc. Polaków pije umiarkowanie – do 6 l czystego alkoholu rocznie na osobę, czyli mniej niż przeciętny mieszkaniec Szwecji (7,4 l per capita) – kraju o najniższej

eprasa.pl be20e2503b

konsumpcji alkoholu w Europie według danych OECD.

NIE TAKA MAŁPKA NIEWINNA, JAK JĄ MALUJĄ

Alarmujący jest jednak fakt, że alkoholowe „małpki", nazywane również „setkami" (od pojemności 100 ml) stały się rynkowym hitem i cieszą się w Polsce rosnącą popularnością. Branża spirytusowa szacuje, że udział opakowań o pojemności 200 ml i mniejszych sięga 36 proc. wódki sprzedawanej w małych sklepach. Firma Stock Polska, producent m.in. wódek Żołądkowej i Lubelskiej, zbadała, w jakich godzinach „małpki" sprzedają się w naszym kraju najlepiej. Wyniki dają do myślenia, bowiem kupowane są najchętniej z samego rana – w godzinach 6.30–8.30. Druga największa fala klientów po „setki" przychodzi w godz. 16–18. Trudno za pozytywny uznać fakt, że część Polaków pierwszą wódkę pije już o godz. 6–8 rano.

– Chodzi o motywy spożywania alkoholu. „Małpki" są poręczne, można je schować do torebki, do kieszeni – mówi dr Adam Kłodecki, specjalista psychoterapii uzależnień. – Łatwiej po nie sięgnąć i łatwiej ulec pokusie kupienia następnej – dodaje.

W ubiegłym roku głośno było o planach Ministerstwa Zdrowia dotyczących wprowadzenia zakazu sprzedaży „małpek". Krzysztof Brzózka, dyrektor Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, publicznie skrytykował pomysł wycofania ich ze sklepów, tłumacząc, że spowoduje to, iż ludzie będą częściej kupowali alkohol w większych butelkach, co przyczyni się do wzrostu ilości spożywanego alkoholu.

Według badania RARHA SEAS, na które ostatnio powołuje się PARPA, większość Polaków (63 proc.) jest przeciwna restrykcjom ograniczającym dostępność alkoholu. Ponad połowa uważa, że zmniejszenie liczby punktów sprzedaży alkoholu oraz podniesienie cen alkoholu nie są skutecznymi sposobami minimalizowania szkód związanych z jego nadużywaniem. Niemal dwie trzecie respondentów do nieskutecznych rozwiązań w walce ze szkodami alkoholowymi zalicza też ograniczenie godzin sprzedaży napojów alkoholowych.

Jak uważa Danuta Gut, dyrektor biura zarządu Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego Browary Polskie, idealnym scenariuszem byłoby, gdyby do debat nad kształtowaniem polityki alkoholowej w Polsce zapraszani byli nie tylko eksperci i badacze, lecz także przedstawiciele branży alkoholowej. – Jeżeli mówimy o profilaktyce i rozwiązaniach ograniczających alkoholizm, to głos przemysłu musi być usłyszany. Polityka nie może być kreowana wyłącznie na podstawie negatywnych emocji towarzyszących spożyciu alkoholu, ale także na wiedzy i doświadczeniu biznesu – mówi Danuta Gut.

Według wskaźników ilościowych zaproponowanych przez Światową Organizację Zdrowia ryzykowne jest dzienne wypijanie więcej niż 40–60 g czystego alkoholu etylowego przez mężczyzn i 20–40 g przez kobiety. Według innych kryteriów szczególnie niekorzystne jest jednorazowe wypijanie więcej niż sześciu standardowych porcji alkoholu w przypadku mężczyzn i czterech w przypadku kobiet.

Doktor Adam Kłodecki podkreśla także, że należy skończyć z mitem Polaka pijaka. Już w latach 70. pisano, że Polacy piją w stylu samobójczym, do oporu i do dna. – Jednak od tamtego czasu wiele się zmieniło, coraz więcej osób sięga po alkohole niskoprocentowe i coraz mniej pije na umór – zaznacza.

I dodaje, że warto bacznie obserwować wszystkie badania dotyczące picia alkoholu i w oparciu o nie kształtować bezpieczny, tzw. kulturalny model picia. Czyli: dbać o profilaktykę, o świadomość konsekwencji nadużywania alkoholu, o edukowanie, czym jest uzależnienie i jakie są skutki prawne, zdrowotne oraz społeczne utraty kontroli nad piciem.

Ponieważ wciąż pomimo różnorodnych działań realizowanych przez organizacje rządowe i pozarządowe w sposób ryzykowny pije 7 proc. społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

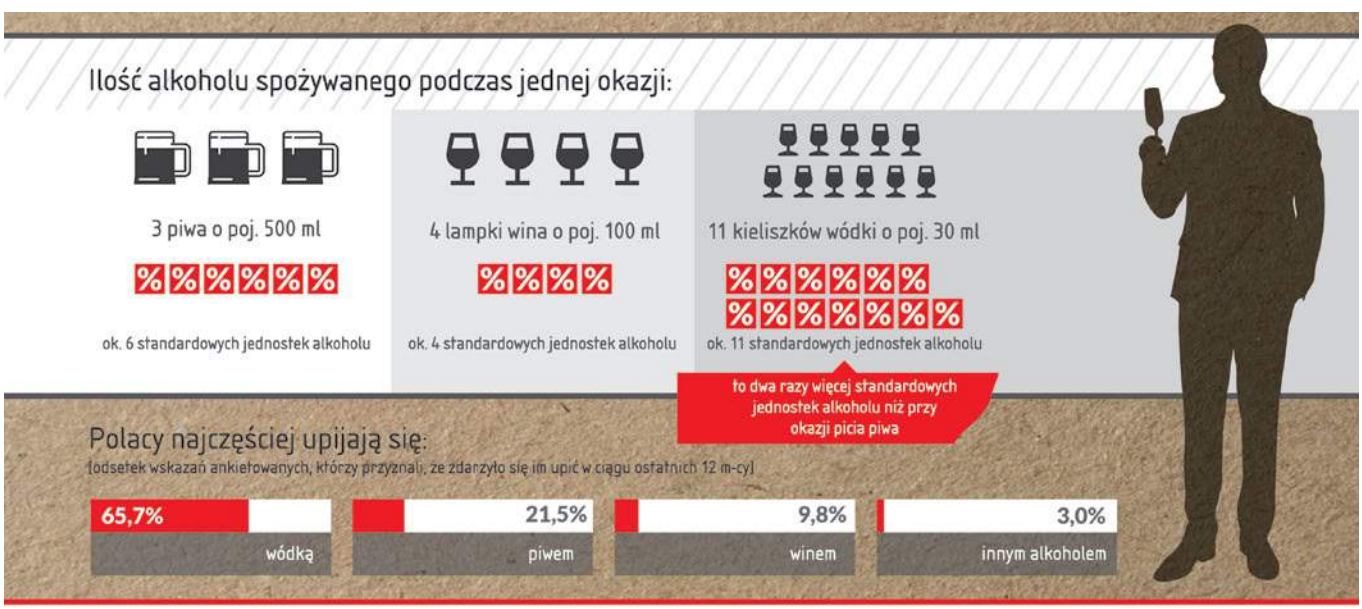

Źródło danych:
Ogólnopolskie badanie „Modele picia napojów alkoholowych w Polsce" przeprowadzone przez CBOS w lutym 2017 r. w grupie 1309 osób powyżej 18 r.ż. na zlecenie ZPPP Browary Polskie.

eprasa.pl be20e2503b

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KOSZULKA „ŻOŁNIERZE WYKLĘCI: NIEŚMIERTELNI BOHATEROWIE”

Koszulka patriotyczna poświęcona Żołnierzom Wyklętym. Dopracowana w najdrobniejszych detalach, ilustracja przedstawia na tle klimatycznego lasu majora Łupaszkę, majora Zaporę, podporucznika Olecha, st. sierżanta Roja oraz podpułkownika Pługa. Całość została wpisana w kształt nawiązujący do polskiego orzełka wojskowego.

RED IS BAD to kultowa marka odzieży patriotycznej. Najwyższa jakość i w pełni polska produkcja. www.redisbad.pl

220 zł oszczędzasz 227 zł

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + DWIE KSIĄŻKI: „LODA HALAMA” ORAZ „GAR’INGAWI WYSPA SZCZĘŚLIWA”

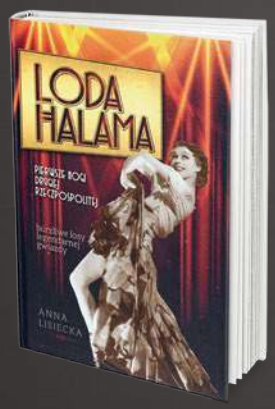

139 zł

oszczędzasz 115 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl be20e2503b

Brutalne prawa globalizacji

Tomasz Wróblewski

Chiński model globalizacji niewiele odstaje od brytyjskiej kolonizacji w XVIII–XIX w., a niemiecki sprowadza się do miękkiej wersji podboju ekonomicznego

Jak to się stało, że najokrutniejsze reżimy nowożytnej historii niepostrzeżenie stały się największymi obrońcami globalizacji i wolnego handlu, a najstarsze gospodarki wolnorynkowe, takie jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, zamykają się przed światem?

Chiński prezydent Xi Jinping wystąpił na marcowej konferencji w Davos z poruszającą tyradą w obronie wolności rynkowych. Mowa, której nie powstydziłby się Milton Friedman, ojciec współczesnego liberalizmu gospodarczego. Niczym wierny student Smitha i Johna Locke'a Xi odwoływał się do „globalnej odpowiedzialności" i „moralności narodów". Rozanielona finansjera, która zleciała na tych kilka dni do szwajcarskiego kurortu, wyjeżdżała w głębokim przekonaniu, że świat – choć stracił obrońcę wolności gospodarczych w Ameryce – zyskał nowego potężnego sojusznika. Zachodnie media epatowały kontrastem między liberałem ze Wschodu a tyranem z Zachodu.

Chiny poszerzają granice wolności gospodarczych do tego stopnia, że najbardziej innowacyjne firmy boją się patentować swoje inwencje, bo chińscy producenci traktują księgi patentowe jak poradniki wykradania technologii. Apologeci chińskiego liberalizmu pogodzili się z zagładą narodu tybetańskiego, z prześladowaniami mniejszości religijnych, nie widzą związku między ekspansją gospodarczą a rosnącą potęgą militarną. Nie widzą kraju, który ani myśli rezygnować ze swojego totalitarnego ustroju. Przeciwnie, globalizm wypruty z oryginalnych wartości wolnościowych pozwala Chinom być tym, czym zawsze ich dyktatorzy chcieli być – imperium narzucającym porządek polityczno-gospodarczy całej dalekiej Azji, a z czasem – światu.

Intelektualny chaos w głowach zachodnich elit nie pozwala im odróżnić wolności, jaką jest globalna wymiana handlowa wzmacniająca konkurencję, prawa człowieka i fundamentalne wolności, od wolności, jaką jest swobodny podbój gospodarczy słabszych narodów świata. Chiński model globalizacji niewiele odstaje od brytyjskiej kolonizacji z XVIII–XIX w. Roztaczając przy tym niepowtarzalne możliwości finansowe również dla europejskich elit, które – czy to ze zwykłego lenistwa intelektualnego, czy dobrze skalkulowanej hipokryzji – uznają globalną ekspansję Chin za pas transmisyjny dla zachodnich idei liberalizmu. Tak jak niegdyś afrykańskie, indyjskie podboje brytyjskiej korony czy francuskiej republiki opisywane były w mesjańskich kategoriach krzewienia cywilizacji.

Złym bohaterem tej wielkiej przemiany okrzyknięci zostali Donald Trump, zwolennicy Brexitu i kilkanaście pomniejszych formacji, głównie w najwyżej rozwiniętych państwach przestrzegających przed instrumentalnym traktowaniem idei globalnego handlu i nieprzekreślaniem protekcjonizmu. Teatr, jaki rozegrał się przy okazji pierwszego spotkania Angeli Merkel z Donaldem Trumpem w Waszyngtonie, był doskonałą ilustracją zaklinania rzeczywistości. Dziennik „The New York Times" nazwał Merkel „ostatnią obrończynią liberalnego Zachodu", a „The Washington Post" określił jej wizytę jako „misję wolnego świata w obronie zachodnich wartości".

MIĘKKI PODBÓJ

Tak jak w przypadku prezydenta Chin celebrowanie globalizacji jest narzędziem do osiągnięcia konkretnych celów, tak dla kanclerz Merkel polityka otwartości i obrony wolnego handlu jest przede wszystkim sposobem na zapewnienie Niemcom hegemonii w Europie. Niemiecka wersja „Make Germany Great Again" sprowadza się do podporządkowania europejskich rynków interesom niemieckiego przemysłu.

Tak jak wszystkie państwa w dzisiejszej Europie Niemcy również mają swoją eurosceptyczną opozycję. Z tą jedną różnicą, że Alternatywa dla Niemiec (AfD) ani myśli o wyprowadzaniu swojego kraju z Unii Europejskiej. Co do samej Unii w Niemczech panuje konsensus – to całkiem skuteczne narzędzie do kontroli Europy i wykorzystywania jej do wzmacniania swojej imperialnej pozycji. Wszelkie próby podważenia ich roli zawsze skazane były na porażkę. Oskarżenia o nadmierną pomoc publiczną dla niemieckich stoczni albo dla przemysłu energetycznego, gdzie gospodarstwa domowe płacą nieproporcjonalnie wyższą cenę za energię, żeby zapewnić konkurencyjne ceny przemysłowi, kończyły się fiaskiem. I tak Komisja Europejska twardo wspiera wyśrubowane normy ekologiczne. Ewidentnie sprzeczna z unijną filozofią rosyjsko-niemiecka umowa gazowa na budowę Nord Stream II wciąż nie doczekała się twardego stanowiska.

Nie ma niczego liberalnego ani demokratycznego w narzucaniu swojego

eprasa.pl be20e2503b

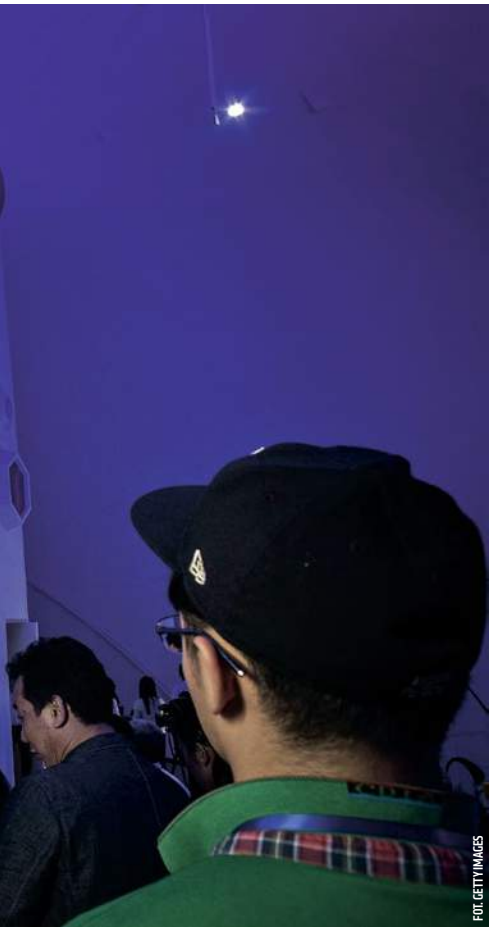
FOT. GETTY IMAGES

porządku polityczno-gospodarczego słabszym państwom. Polityka Berlina względem Grecji czy Hiszpanii nie ma nic wspólnego z szerzeniem wolności rynkowych. Globalizm w niemieckim wydaniu sprowadza się do miękkiej wersji podboju ekonomicznego.

Grecja, tak jak wiele państw na świecie w równie dramatycznej sytuacji gospodarczej, dawno temu powinna ogłosić swoją niewypłacalność i zacząć odbudowę szkieletu gospodarki narodowej. To oznaczałoby jednak wyjście ze strefy euro i narażenie całej strefy, a zwłaszcza Niemiec, na znaczące perturbacje. Stąd niekończące się próby sztucznego podtrzymywania kraju przy życiu. Grecji udało się ostatecznie wypracować w kwietniu nadwyżkę budżetową na poziomie 3,9 proc. To nie zmienia faktu, że kraj dalej nie jest w stanie wyjść ze spirali zadłużenia przekraczającego 360 mld euro, czyli 180 proc. PKB.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy apeluje do Niemiec, żeby umorzyły część greckiego długu, bo w innym razie naród do końca świata będzie egzystował na granicy nędzy. Berlin nie chce jednak słyszeć o redukcji zobowiązań, tak jak nie chce pozwolić Grekom zbankrutować ani wyjść ze strefy euro. Kasuje za to kolejne miliardy w odsetkach. A Angela Merkel chętnie odwzajemnia się lekcjami odpowiedzialności za finanse.

W Polsce panuje konsensus w sprawie ogromnego, pozytywnego znaczenia funduszy unijnych. Trudno nie zauważyć nowych dróg, kwitnących parków, basenów ani tysięcy firm wzmocnionych unijnymi funduszami. Trudno jest też jednak nie dostrzec, jak te pieniądze są dystrybuowane. W jakim stopniu wpływają na budowę autentycznej niezależnej polskiej gospodarki, a w jakim konserwują nasze miejsce w łańcuchu dostaw dla niemieckiego przemysłu eksportowego. Zarówno jeżeli chodzi o nowe drogi pozwalające na lepszy transport Wschód–Zachód, ambitne projekty autostrad, które z nieznanych powodów do niedawna zawsze wpasowywały się w interesy niemieckiego handlu, jak i z uwagi na dotychczasową konstrukcję podatkową gwarantującą zagranicznym inwestorom szczególnie uprzywilejowany status w ramach stref handlowych czy ulg na tworzenie miejsc pracy.

Od 2004 r. Polska otrzymała z UE 125 mld euro, do końca następnej perspektywy unijnej otrzyma kolejne 106 mld. Łącznie ponad 230 mld euro. Dla porównania: cały plan Marshalla, program powojennej pomocy Ameryki dla Europy, wynosił na dzisiejsze pieniądze 130 mld dol. i odmienił pół kontynentu. Doceniając pomoc UE dla Polski, jej efekty zdają się niewspółmiernie mniejsze. Nie dlatego, że nie umiemy wydawać darowanych pieniędzy, ale dlatego, że darowane są z innym przeznaczeniem.

To komisarz ds. rynku wewnętrznego i usług Elżbieta Bieńkowska przekonywała zagraniczne rządy, że pieniądze unijne dla Polski i tak w 60 proc. wracają na Zachód. Dzisiaj z każdego euro 70 centów ponownie odpływa za granicę. Kraj otworzył swój rynek dla zagranicznych firm, co było warunkiem wejścia do UE, ale przez kolejne pokolenia przyjdzie nam mierzyć się z inercją społeczną i nisko branżowym przemysłem. Jeżeli coś może być symbolem nieefektywności europejskiej pomocy, to z pewnością program budowy dróg w Polsce, gdzie na koniec poprzedniej perspektywy unijnej zostaliśmy ze zbankrutowanymi, z wyjątkiem jednej, polskimi firmami, a beneficjentami były głównie firmy niemieckie i austriackie. Chociaż warto też podkreślić korzyści polityczne dla zachodnich rządów, coraz częściej traktujących fundusze pomocowe jako formę nacisku.

Pamiętają państwo ostateczny argument, po jaki sięgali Angela Merkel i jej politycy w sprawie przyjęcia przez Polskę imigrantów? „Jak nie, to zaczniemy wam obcinać pieniądze pomocowe". Takie postawienie sprawy pozostawiało światową opinię publiczną w przekonaniu, że ma do czynienia z niewdzięcznymi Polakami i wspaniałomyślnymi Niemcami, którzy niosą na Wschód kaganek wolnego rynku. Charakterystyczne jednak, że Angela Merkel nigdy nie konsultuje swoich aktów wspaniałomyślności z innymi członkami UE. Decyzja o zaproszeniu imigrantów z Afryki i Azji nie została przedyskutowana z żadnym z państw, które pierwsze padły ofiarą przemieszczających się mas ludzkich. Decyzja została podjęta w imię partykularnych interesów Niemiec. Po części żeby wzmocnić starzejący się rynek pracy w Niemczech, a po części żeby napływowe ludy ze swoją obcą kulturą osłabiły wewnętrzną spójność państw narodowych Europy Środkowej.

NOWE METODY, STARE TORY

Kiedy 21 kwietnia w Waszyngtonie szefowie banków centralnych państw członkowskich Międzynarodowego Funduszu Walutowego wydali ostatecznie swój komunikat, nie było w nim tradycyjnych odwołań do globalizmu. Wspomniano o potrzebie rozwoju handlu międzynarodowego, ale ani słowa nie było o walce z protekcjonizmem. Agustín Carstens, szef meksykańskiego banku centralnego Maksyku, który przewodzi obecnie międzynarodowemu komitetowi MFW, na pytanie o protekcjonizm odpowiedział: „To, w jaki sposób rozmaite państwa używają słowa »protekcjonizm«, może być mocno mylące i dwuznaczne". Zapewnił, że celem wszystkich państw w ramach MFW jest wzmacnianie handlu międzynarodowego dla poprawy warunków życia i wzrostu dobrobytu, ale też „wszyscy uważamy, że nade wszystko potrzebujemy sprawiedliwych zasad w handlu".

Był o krok od powiedzenia, że niczym niepohamowanej wolności ekspansji gospodarczej nie można utożsamiać z wolnym rynkiem. Przeciwnie, tak jak każda wolność wymaga twardych regulacji, które wszystkim zapewnią równe szanse. W innym razie ekspansja gospodarcza od ekspansji militarnej różnić się będzie tylko liczbą ofiar. Co jest pewnym postępem od czasów wojen światowych, ale w niepokojący sposób znosi dawne dyktatury na stare tory.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl be20e2503b

Emigracja ambicji

Edyta Hołdyńska

Polacy od wieków wyjeżdżali z ojczyzny z wielu powodów. Ostatnia fala opuściła kraj w poszukiwaniu lepszej pracy, zapewniającej godne życie

Dwadzieścia milionów – na tyle szacuje się ogrom Polonii rozsianej po całym świecie. Polaków od lat zamieszkujących obczyznę. Wyjeżdżających w większości za lepszym jutrem. Gotowych, by wszystko zostawić, zapomnieć i zacząć od nowa. Skazanych na wieczną tęsknotę. Za granicą – za Polską. W Polsce – za swoim domem poza ojczyzną.

1 MAJA 2004 R.

Dwanaście złotych gwiazd na błękitnym tle. Flaga Unii Europejskiej o północy została wciągnięta na sam szczyt masztu na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Przez cały dzień samotnie, ale dumnie powiewała w słońcu.

Piotr Bednarski ogląda informacje z wypiekami na twarzy. Jest świeżo po studiach na jednej z prywatnych warszawskich uczelni. Właśnie dostał esemes od siostry mieszkającej już w Londynie. „Przyjeżdżaj. Na początku Ci pomogę" – widnieje na ekranie nokii 6610i. Nie odpisuje, bo w jego sieci roaming jest kosmicznie drogi. Wystarczy, że za odbieranie esemesów słono płaci. Dorota pracuje w City na czarno. Ale od tego dnia i ona, i jej brat będą mogli pracować legalnie. Jak zapewniają gadające głowy z telewizji, od 1 maja 2004 roku swoje rynki pracy otworzą dla Polaków, znosząc wszystkie lub prawie wszystkie ograniczenia, Wielka Brytania i Irlandia. Z pracą w kraju jest bardzo krucho. W rodzinnej Ustce bezrobocie przekracza 20 procent. W całej Polsce wynosi 19 procent.

MARZENIE O CITY

Po ukończeniu studiów Piotr nie ma wielu możliwości. A lada moment będzie musiał zacząć spłacać kredyt studencki zaciągnięty na utrzymanie i opłacenie szkoły. Po ekonomii w Warszawie można zaczepić się w banku. Trzeba mieć jednak dużo szczęścia, by się tam dostać, i wytrwałości, by przeczekać najgorsze pierwsze lata pracy za 1600 zł miesięcznie. Na umowie-zleceniu. Piotr nawet próbował. Rekrutację do najlepszych banków ciągle wygrywali z nim jednak bardziej doświadczeni. Piotr też chciałby zdobywać doświadczenie w bankowości. Tylko jak, skoro nikt nie chciał go zatrudnić właśnie ze względu na jego brak? Miesiąc wcześniej zarejestrował się w Urzędzie Pracy. Odstał swoje w długiej, zakręcającej aż na zewnątrz kolejce w pośredniaku. Spotkał się z urzędniczką. Ta dokładnie przejrzała jego dokumenty i świadectwa.

> **W kraju nie widzieli dla siebie szans. Ból rozłąki z bliskimi przegrywał z zarobkami**

Wychodząc, zgodnie z zaleceniem przejrzał jeszcze tablicę z ofertami pracy. Choć była uboga, w pamięć młodemu ekonomiście zapadło jedno. Więcej zarobiłby jako spawacz albo kierowca autobusu z prawem jazdy kategorii C. To dlatego wątpliwości co do tego, że musi wyjechać, było bardzo mało.

Owszem, zastanawiał się, czy będzie tęsknił, jak sobie poradzi i czy warto ryzykować. Jednak pragnienie może niekoniecznie wysokich, ale zwyczajnie godnych zarobków było silniejsze. Praca menedżera w londyńskim supermarkecie na początek Piotrowi wystarczy.

Na rękę dostanie 8 funtów za godzinę. Funt jest wart siedem razy więcej niż złotówka. Co oznacza, szybko licząc… o cholera! 56 złotych za godzinę! 448 złotych dziennie, 2240 złotych tygodniowo, 8960 złotych miesięcznie! To połowa jego zaciągniętego na czas studiów kredytu. Najtęższe głowy na zlecenie władz Wielkiej Brytanii oszacowały, jaka będzie skala imigracji z nowych krajów Unii Europejskiej. Wyliczyły, że po włączeniu dziesięciu państw w 2004 roku należy oczekiwać około trzynastu tysięcy pracowników rocznie. Nikt się nie spodziewał, że dekadę później będzie mowa już o milionie osób swobodnie mówiących po polsku na brytyjskich ulicach. I że będzie to drugi język, zaraz po angielskim, którym posługują się mieszkańcy Londynu.

Los zawsze rzucał Polaków po całym świecie. Najwięcej, bo ponad dziesięć milionów osób, żyje w Stanach Zjednoczonych. Największe skupiska znajdują się w Nowym Jorku, Chicago. Rodacy mają już w tych miastach swoje dzielnice. Z polskimi sklepami, kościołami, klubami, restauracjami…

W kraju ludzie nowej emigracji nie widzieli dla siebie szans. Ból rozłąki z bliskimi przegrywał w starciu z wysokimi zarobkami. Bo przy emigracji chodziło i nadal chodzi o pieniądze. Dlatego choć nie zawsze udaje się od razu, a upokorzenia bywają przeszywająco dotkliwe, w rozmowach telefonicznych z rodzinami promienieją, a przed znajomymi udają, że wszystko jest w porządku. Bo to wstyd wrócić bez pieniędzy. Przecież na emigracji każdy zarabia krocie – tak myślą ci, którzy zostają w Polsce. Nie widzą jednak ogromu poświęcenia i ciężkiej pracy, jaką co dzień, od świtu do nocy, w pocie czoła i przy pogardliwych spojrzeniach tamtejszych wykonują nasi emigranci.

EDYTA HOŁDYŃSKA „EMIGRACJA AMBICJI" ZYSK I S-KA 2017

Zapraszamy na spotkanie autorskie z Edytą Hołdyńską 16 maja o godz. 18 w Warszawie w Domu Polonii przy ul. Krakowskie Przedmieście 64, Sala Zielona. Poprowadzi je Rafał A. Ziemkiewicz. ©℗

eprasa.pl be20e2503b

TYLKO U NAS!

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ O ZGUBNYM KULCIE MARSZAŁKA

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Jan Pisuliński – Zbrodnia „Wisła" / **Jakub Ostromęcki** – **Zagadka śmierci Świerczewskiego** / David M. Crowe – Prawdziwe oblicze Schindlera / **Piotr Semka** – **Afera pułkownika Redla** / Aleksander Podrabinek – Koszmar sowieckich psychuszek / **Arkadiusz Karbowiak** – **Łotysze w Waffen-SS** / Łukasz Czarnecki – Historia harakiri

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl be20e2503b

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Morawiecki Plus?

Coraz więcej dobrych wieści dobiega z czeluści Ministerstwa Finansów, wszelako z odtrąbieniem sukcesu trzeba poczekać, by móc ocenić, ile z nich było efektem pracy, a ile – księgowych tricków: przerzucania budżetowych wydatków między rokiem 2016 a 2017, spowalniania samorządowych inwestycji czy zmiany terminów rozliczeń podatkowych. Najważniejszą z nich jest ta, że rząd PiS zadłuża Polskę wolniej od rządów Platformy, co samo w sobie nie jest zadaniem przesadnie ambitnym, zważywszy na legendarną rozrzutność PO, lecz na pewno zasługuje na pochwałę.

Otóż w 2016 r., mimo wydania niemal 20 mld zł na program „500+", rząd PiS potrafił tak gospodarować groszem, że deficyt finansów publicznych (a więc rządu i samorządów) wyniósł 44,7 mld zł. I choć to suma ogromna, to jednak wypada dodać – tylko 44,7 mld zł, bo deficyt ekipy PO i PSL pod koniec ich rządów, gdy przecież nie wypłacano dodatków z programu „500+", sięgnął 46,1 mld zł w 2015 r., 59,9 mld zł w 2014 r. i aż 68,1 mld zł w 2013 r. A jak wskazują analitycy, od początku 2017 r. rząd PiS zaczął jeszcze mocniej zaciskać pasa i – jeśli nie liczyć „500+" – w pierwszym kwartale tego roku wydał o ok. 5 mld zł mniej niż przed rokiem.

Natomiast po drugiej stronie tego budżetowego równania, czyli wpływów do kasy państwa, rząd PiS radzi sobie już bez porównania lepiej od poprzedników, notując spore sukcesy w walce z oszustami podatkowymi. Ot, choćby luka w podatku VAT, której rządy PO i PSL pozwoliły urosnąć do niebotycznych rozmiarów, sięgających nawet 60 mld zł rocznie (3,7 proc. PKB!), wreszcie zaczyna się kurczyć. W każdym razie dane za ostatnie miesiące są pod tym względem krzepiące – w pierwszym kwartale 2017 r. wpływy z VAT były aż o 40 proc. (czyli o 12 mld zł) wyższe niż przed rokiem. Natomiast z CIT wzrosły w tym czasie o 15 proc. A zsumowane dochody z VAT, PIT, CIT i akcyzy były w pierwszym kwartale 2017 r. wyższe o 14,5 mld zł niż w tym samym okresie minionego roku.

Nie wolno jednak zapominać, że nasz stosunkowo niski deficyt finansów publicznych w 2016 r. – na poziomie 2,4 proc. – robi wrażenie tylko w porównaniu z kompletnie nieodpowiedzialnymi rządami PO i PSL. Już jednak na tle ostatnich osiągnięć wielu tych krajów, które powinny być dla nas wzorem, wygląda on wciąż marnie. W 2016 r. aż 13 państw UE w ogóle bowiem nie miało deficytu finansów publicznych, a niektóre z nich (Niemcy, Estonia, Luksemburg, Szwecja) kolejny rok z rzędu mogły się poszczycić nadwyżką. I to jest prawdziwa skala wyzwań, które stoją przed Polską, po zapuszczeniu jej finansów przez rządy Tuska i Kopacz. Zwłaszcza że mimo niższego deficytu w 2016 r. nasz dług publiczny i tak znów urósł – z 51,1 do aż 54,4 proc. PKB. W 2016 r. był to trzeci największy wzrost długu w UE – po Bułgarii i Łotwie. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Miasto na ścieżce kariery

W debacie na temat przekształcenia Warszawy w metropolię obejmującą okoliczne gminy zupełnie abstrahuje się od istotnych zmian, które zachodzą i które czynią z mojego rodzinnego miasta wspaniałe miejsce do prowadzenia biznesu i do rozwoju dla młodych ludzi.

Warszawa stała się miastem międzynarodowym. W dowolnej restauracji słychać kilka języków: angielski, rosyjski, francuski, niemiecki, nawet chiński. Mamy różnorodne kuchnie, z całego świata. Są dobre kluby, które oferują różne rodzaje muzyki. Są wspólne przestrzenie publiczne, które pozwalają aktywnie spędzać czas wolny. Na ścianach budynków są liczne prace polskich artystów street artu, co wskazuje na rosnący poziom kreatywności. Mamy liczne wydarzenia kulturalne. Są prężnie działające inkubatory przedsiębiorczości i wiele uczelni oferujących coraz lepsze programy kształcenia dla studentów z całego świata. W mojej dawnej uczelni, Vistuli, studiują młodzi ludzie z ponad 80 krajów świata. Komunikacja miejska działa bardzo dobrze. Są bardzo dobre szkoły średnie, które zachęcają ekspatów z całego świata do przenoszenia rodzin do Warszawy. Jest wszystko, co trzeba, żeby w Warszawie powstała klasa kreatywna. Te same procesy zachodzą też w innych miastach, we Wrocławiu, w Krakowie, Trójmieście… W XXI w. miasta będą filarem rozwoju społeczno-gospodarczego, w Polsce mamy wiele takich filarów. To dobry prognostyk na przyszłość.

W XXI w. miasta będą filarem rozwoju społeczno-gospodarczego

Te dobre zmiany można jeszcze przyspieszyć. Potrzebne są zmiany w programach nauczania. Na przykład jedną z kluczowych kompetencji XXI w. jest umiejętność analizy danych. To dotyczy zarówno przyszłych ekonomistów, menedżerów, inżynierów, jak i prawników. Wiele globalnych banków zwalnia tysiące prawników, bo ich pracę mogą obecnie wykonywać komputery. Internet of Things (Internet Rzeczy) wkracza szybko w nasze życie. To oznacza, że każdy młody człowiek, niezależnie od przyszłej profesji, powinien mieć umiejętność programowania, analizy i wizualizacji danych, takich jak liczby, tekst czy obraz. W postawie programowej szkół średnich powinno być programowanie w językach Python i R oraz wykorzystanie podstawowych modeli analizy danych do podejmowania decyzji biznesowych. Polska młodzież od lat wygrywa międzynarodowe konkursy programowania, więc mamy wspaniałą kadrę dydaktyczną, która ich do tego przygotowuje. Spróbujmy to rozwinąć, a po kilku latach będą setki nowych start-upów w dziedzinie nowych technologii informacyjnych. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl be20e2503b

TEST „DO RZECZY": PANASONIC SMART HOME

Technologie związane z tzw. inteligentnymi domami błyskawicznie zyskują na popularności. Według analityków IHS Markit w zeszłym roku globalny rynek urządzeń, które mają dodać „mądrości" naszym nieruchomościom, był już wart ok. 9,8 mld dol. Urządzenia związane z Internetem rzeczy (IoT) trafiają również pod polskie strzechy, a wartość tego rynku nad Wisłą również rośnie w imponującym tempie.

W pierwszej dwudziestce światowych producentów o największym udziale w rynku znajduje się Panasonic. Wzięliśmy więc do testów system Smart Home właśnie tej japońskiej firmy. Jest on oparty na niewielkim hubie, do którego można bezprzewodowo podpiąć kamery (np. wewnętrzną oraz zewnętrzną), różnego rodzaju czujniki, inteligentne gniazdka elektryczne, syreny alarmowe, a także czujniki wykrywające ruch, reagujące na otwarcie drzwi lub okien, rozpoznające dźwięk tłuczonego szkła lub czujniki rozpoznające zalanie podłogi. W sumie do huba można podłączyć jednocześnie cztery kamery oraz do 50 różnych czujników. Urządzenia komunikują się ze sobą bezprzewodowo za pomocą systemu DECT, a nie poprzez popularne Wi-Fi. Dzięki temu maksymalny zasięg między hubem a czujnikami czy kamerami wynosi aż 300 m.

Całym systemem można sterować za pomocą aplikacji na smartfon lub tablet (urządzenie współpracuje z systemami Android, iOS oraz Windows). I to właśnie na telefon lub tablet przychodzą specjalne ostrzeżenia, jeśli któryś z czujników wykryje coś podejrzanego.

Poszczególne elementy systemu mogą też ze sobą współpracować, np. jeśli czujnik wykryje dźwięk tłuczonego w oknie szkła, to kamera może automatycznie rozpocząć nagrywanie lub zacząć robić zdjęcia (zapis odbywa się na karcie microSD umieszczonej w hubie). Wewnętrzna kamerka może też teoretycznie działać jako elektroniczna niania – ma nawet kilka wgranych kołysanek, choć mnie dźwięki kojarzą się raczej ze ścieżką dźwiękową z horroru niż ze słodkiej disnejowskiej bajki. Minusem kamerki jest też średnia jakość przy prędkości 6 fps – rozdzielczość 640 x 480 nie zachwyca, rozczarowuje również jakość obrazu zarejestrowanego w ciemności (twarze są wówczas słabo widoczne, więc raczej nie da się wykorzystać tego zapisu do znalezienia ewentualnych włamywaczy). Dobrze sprawdza się za to inteligentne gniazdko elektryczne, które umożliwia np. zdalne włączenie lub wyłączenie podłączonego do niego urządzenia (np. lampy lub radia), co pozwala stworzyć wrażenie, że ktoś jest w domu.

Sam hub jest niewielki i ma nowoczesny design, który powinien pasować do wystroju wnętrz wielu mieszkań i domów. Również pozostałe elementy systemu, takie jak np. czujnik otwarcia drzwi, są białe i nie rzucają się zbytnio w oczy. Niestety, system Smart Home Panasonica jest stosunkowo drogi. Zestaw startowy składający się jedynie z huba, czujnika otwarcia okien/drzwi oraz czujnika ruchu kosztuje ok. 700 zł. Aby stworzyć kompletny system, trzeba dołożyć co najmniej 500 zł na zakup chociaż jednej wewnętrznej kamerki. ©℗ ***Jacek Przybylski***

OKULARY DLA „IWENCIARZY"

Nie ma już dziennikarzy ani tradycyjnych mediów, są za to „iwenciarze", czyli ludzie, którzy za pomocą specjalnych okularów nagrywają obserwowane wydarzenia i wrzucają filmy do Internetu, a ich zarobki zależą od liczby kliknięć. Taki świat w swojej najnowszej książce „Hel 3" kreśli Jarosław Grzędowicz, jeden z najbardziej znanych polskich pisarzy science fiction. Tylko czy to jeszcze „sajens fikszyn"? Projekt Google Glass niestety wstrzymano, ale na rynku pojawiają się naśladowcy, a wśród nich producent FaceShot, czyli okularów ze specjalną kamerką. Tak, wiem, okularów, długopisów, ba, stringów z kamerkami jest już na rynku co niemiara, ale FaceShot zaskakują. Czym? Otóż szerokokątna kamera ukryta jest w ramce stylowych, ładnych okularów przeciwsłonecznych wyposażonych w filtry UVA i UVB. Aby została aktywowana, musi z nich „wyskoczyć", co oczywiście natychmiast demaskuje nagrywającego, ale jest w miarę uczciwe wobec nagrywanych. Film wraz z dźwiękiem FaceShot rejestrują w jakości 1080 p przy 30 klatkach na sekundę, czyli standardowo. Ładowanie wystarcza na ok. 1,5 godziny nagrywania, a sam aparat możemy obracać pod kątem blisko 15 stopni. Docelowo FaceShot mają kosztować ok. 1 tys. zł, czyli zbyt dużo w stosunku do jakości i możliwości, ale na Kickstarterze można je kupić o jakieś 300 zł taniej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

ODTWARZACZ PRAWIE ZA DARMOCHĘ

No dobra, za darmo dzisiaj nawet umrzeć się nie da, ale w tym przypadku muzyki można posłuchać naprawdę tanio, i to legalnie. Quer KOM0547 to miniaturowy odtwarzacz MP3, który kosztuje zaledwie ok. 15 zł. Niemożliwe? A jednak. Urządzenie polskiego producenta firmy Lechpol spod Warszawy nie ma co prawda ekranu z wyświetlaczem LCD, korektora graficznego, jakość dźwięku jest... taka, jaka jest, nie ma też własnej pamięci – do słuchania muzyki potrzebujemy dodatkowej karty pamięci microSD, ale całkiem dobrze rozpoznaje pliki MP3, WAV oraz WMA, a naładowane pracuje ok. czterech godzin. Całość działa na zasadzie podobnej do pendrive'a – trzeba urządzenie podłączyć do komputera, przerzucić pliki z muzyką, i gotowe. Do obsługi odtwarzacza służy pięć przycisków rozmieszczonych na obudowie. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl be20e2503b

Drugie życie

Katarzyna Pinkosz

To zdarza się tak wyjątkowo, że tę chorobę nazywa się ultrarzadką. Jedno na 100 tys. dzieci rodzi się z mukopolisacharydozą. Kiedyś nie było na nią żadnych leków, teraz pojawiają się pierwsze terapie. Dają szansę na życie – bez bólu

Cierpiący na zespół Huntera Kuba rozwija się dobrze dzięki temu, że od kilku lat dostaje terapię enzymatyczną

FOT. ARCHIWUM RODZINY

Teresa Matulka doskonale rozumie sytuację chorych na mukopolisacharydozę (MPS), bo sama na nią choruje, podobnie jak dwoje jej dzieci. Od kiedy pamięta, zawsze bardzo bolały ją kręgosłup i stawy, jednak żaden z lekarzy nie wiązał tych objawów z mukopolisacharydozą. Gdy jej dzieci zaczynały chodzić, zaniepokoiło ją to, że się garbią i w dziwny sposób biegają. Lekarze początkowo twierdzili, że odziedziczyły sylwetkę po mamie. Dopiero ortopeda po prześwietleniu kręgosłupa i stawów zasugerował, że to może być MPS. Badania wykazały, że pani Teresa też cierpi na łagodną postać tej choroby.

GENETYCZNA RULETKA

Mukopolisacharydoza jest chorobą metaboliczną: organizm nie wytwarza enzymów (lub produkuje ich za mało), które rozkładają mukopolisacharydy (długie łańcuchy cukrów). Te, gromadząc się w każdej komórce organizmu, uszkadzają po kolei wszystkie narządy: stawy, serce, wątrobę, śledzionę, płuca, wzrok, słuch, a często także mózg. Powoduje to stopniowe wyniszczenie organizmu. W zależności od enzymu, którego brakuje, wyróżnia się kilka typów choroby. MPS trudno zdiagnozować ze względu na bardzo rzadkie występowanie oraz to, że pierwsze objawy mogą pojawić się w różnym okresie życia (czasem w niemowlęctwie, czasem znacznie później). Początkowo dziecko rozwija się dobrze, ale może np. bardzo często chorować. U małych dzieci infekcje to nic nadzwyczajnego, jednak w późniejszym okresie pojawiają się kolejne objawy: powiększenie wątroby, śledziony, problemy ze słuchem, przykurcze w stawach, biegunki, a nawet wady serca – w zależności od tego, w jakim miejscu gromadzą się mukopolisacharydy. W niektórych typach choroby charakterystyczne są też: niski wzrost, pogrubione rysy twarzy, pochylona, przygarbiona sylwetka. Jeśli mukopolisacharydy odkładają się w mózgu, to dochodzi do upośledzenia umysłowego.

Przyczyną MPS jest mutacja w genie. Pojawienie się choroby to dla rodziców grom z jasnego nieba. Genetyczna ruletka: dwoje zdrowych ludzi nie wie, że jest nosicielami wadliwego genu, aż do przyjścia na świat chorego dziecka. Teresa Matulka jest jedyną na świecie osobą z MPS, której udało się urodzić dzieci – najprawdopodobniej dlatego, że ma łagodną postać choroby.

Pół roku po postawieniu diagnozy (jej i dzieciom) zaczęła działać w zainicjowa-

pl be20e2503b

nym przez prof. Annę Tylki-Szymańską z Centrum Zdrowia Dziecka Stowarzyszeniu Chorych na Mukopolisacharydozę i Choroby Rzadkie.

TERAPIA NADZIEI

W 2008 r., dzięki staraniom stowarzyszenia, lekarzy oraz pozytywnej decyzji Ministerstwa Zdrowia, udało się uruchomić w Polsce program leczenia enzymatyczną terapią zastępczą mukopolisacharydozy typu II (zespół Huntera). Po zakwalifikowaniu do programu przez Zespół Koordynacyjny ds. Chorób Ultrarzadkich chorzy co tydzień dostają bezpłatnie w szpitalu dawkę enzymu.

– Bez leczenia dzieci z ciężką postacią zespołu Huntera nie dożywały pełnoletniości. Choroba degraduje cały organizm. Znam wszystkie dzieci, które dostawały enzym. Każdy rodzic potwierdzi, że lek pomaga. Mieliśmy nawet dziecko w stanie bardzo ciężkim, było leczone ponad dwa lata. Jego mama mówi, że to przedłużyło mu życie o kilka lat – opowiada Matulka.

Bartłomiej Baka ma 35 lat i jest najstarszą w Polsce osobą z zespołem Huntera. Ma lekką postać choroby, jednak jego dzieciństwo to były nieustające wizyty w szpitalach, bóle stawów, infekcje, problemy żołądkowo-jelitowe. W wieku sześciu lat pojawił się silny niedosłuch, a potem wada serca i duszności. – Mógł przejść tylko krótkie dystanse, a przy tym sapał jak lokomotywa. Szkodziło mu wszystko, co jadł, nawet chleb z masłem. Miał problemy ze stawami, przepuklinę pępkową, pachwinową, operowaną cieśń nadgarstka. Często nie był w stanie dojść na lekcje do szkoły, ale udało mu się skończyć liceum zawodowe i zdać maturę – mówi jego mama, Józefa Baka. Później problemy ze stawami tak się nasiliły, że przez pół roku nie chodził, nawet w łóżku trzeba było go przekręcać. Był wychudzony, wycieńczony, a morfologia tak mu się pogorszyła, że lekarze podejrzewali białaczkę.

11 marca 2010 r. pierwszy raz dostał terapię enzymatyczną. Ten dzień to były jego „drugie urodziny". Zyskał nowe życie. Objawy cofały się, co było widać gołym okiem. – Bartek może normalnie jeść, zmniejszyły się problemy z sercem, jest bardziej wydolny oddechowo, jeździ z nami na rowerze na wycieczki nawet 20 km. Wyrównały się u niego wszystkie parametry morfologii. Skończyły się bóle stawów, a wielkość śledziony i wątroby wróciła do normy – opowiada mama chłopaka. Co pół roku zespół koordynacyjny ocenia efekty terapii i podejmuje decyzję o dalszym leczeniu.

– Stan Bartka jest dobry i mamy nadzieję, że będzie mógł kontynuować terapię. Jednak co pół roku jesteśmy jak na tykającej bombie, bo nie wiemy, jaką decyzję podejmie komisja. Po odstawieniu enzymu stan dziecka gwałtownie się pogarsza. Znam dzieci, u których po wycofaniu terapii nastąpiło nieodwracalne pogorszenie stanu zdrowia, a w konsekwencji szybka śmierć – dodaje Józefa Baka.

Terapia enzymatyczna jest droga (koszt ok. 1 mln zł rocznie), ale na razie to jedyny dostępny lek stosowany w terapii zespołu Huntera. Ma go w Polsce niewiele ponad 40 osób (niemal połowa z nich jest aktualnie leczona), więc w skali budżetu wydatek na tę garstkę pacjentów nie jest duży. Rodzice mają nadzieję, że wdrożony zostanie Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich i wreszcie powstaną specjalistyczne ośrodki, w których osoby z chorobami ultrarzadkimi będą mogły uzyskać pomoc. Marzą też, że pojawi się lek, który wyleczy MPS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 14.05-25.06.2017 r. oraz 25.06 - 27.08.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzeniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl be20e2503b

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Poeta i morderca poleca

François Villon, poeta przeklęty, żyjący w połowie XV w. we Francji, pozostawił nam „Wielki testament" i „Mały testament". Wiersze te nawet dzisiaj zadziwiają szyderczym spojrzeniem na późne średniowiecze. Sprawiają wrażenie, że ich autorem jest współczesny człowiek rzucony 500 lat wstecz, opisujący świat hultajów i złodziei, miejskich pachołków oraz sprzedajnych dziewek, tawern i burdeli. Nie jesteśmy pewni, czy autor, który sam siebie określał jako „Françoys Villon", był studentem Uniwersytetu Paryskiego skazanym na banicję z miasta i występującym w aktach sądowych jako Franciszek de Monterbier czy poetą dworskim, który dla literackiej fantazji sam siebie umieścił w środowisku złoczyńców.

Nie wiadomo też, co ostatecznie stało się z poetą skazanym za zabójstwo księdza na banicję z Paryża w roku 1455. A po powrocie i uzyskaniu królewskiego ułaskawienia – na szubienicę w 1463 r., który to wyrok łaskawością parlamentu zamieniono na kolejną banicję na okres 10 lat.

„Wielki testament" to nie tylko spowiedź życia bakałarza i złodzieja, lecz także wierny obraz środowiska średniowiecznego marginesu społecznego, gdzie nie brakuje ciekawostek gastronomicznych. Cóż jadał poeta, złodziej i morderca w towarzystwie włamywaczy, frantów i sprzedajnych niewiast? Villon opisuje różne potrawy w zależności od tego, czy fortuna pozwoliła mu cieszyć się pełną kabzą czy zsyłała głód i niedostatek. Wielokrotnie wspomina gęsi i groch z kapustą. Jako luksusowe danie wymienia świeże jaja kładzione z octem – dzisiejsze jaja w koszulkach. Wspomina o nich już „Kucharz doskonały…" Wielądka pod koniec XVIII w.

Villon i jego kompani jadają w tawernach, często dziczyznę, np. kuropatwy z rożna, które jednak w „Testamencie" w tłumaczeniu Boya-Żeleńskiego mają lekko dwuznaczne znaczenie. Nie jestem w stanie ustalić składu wspominanej „jakobińskiej tłustej zupy" – która nie wywodzi się od jakobinów ani jakobitów, ale zapewne od mnichów z zakonu św. Jakuba z Altopascio istniejącego we Francji po XVI w. albo hiszpańskiego – św. Jakuba z Composteli. Na biedne dni pozostaje chleb „suchy, gruby i owsiany" uważany za danie biedaków, gdyż bogacze jadają ciastka, torty i placki.

Jednak najciekawsze spostrzeżenia zawiera „Ballada o Villonie i Grubiej Małgośce", kiedy podaje kuchnię… burdelową. Gdy bowiem sutener i opiekun udostępniał klientowi swoją młódkę, przynosił poczęstunek – ser, owoce, wino i świeże podpłomyki.

Świat Villona kręcił się w zasadzie wokół karczmy i zamtuza, skąd często droga wiodła na szubienicę. W tych dwóch przybytkach zostawiali swój grosz: czeladnik i mistrz, bakałarz i ksiądz, strażnik i sędzia, rycerz i kramarz. „Gdzie zysk wasz idzie, jak kto mniema?" – zapytuje poeta. I odpowiada: „Wszystko na karczmę i dziewczęta". ©℗

FOT. FOTOLIA

Cassoulet

0,6 kg białej fasoli gotujemy przez godzinę z dodatkiem kilku liści laurowych, gałązki rozmarynu i z kilkoma ząbkami czosnku. Po godzinie odcedzamy. W tym samym czasie bierzemy pół kilograma surowego boczku i dwie małe golonki, gotujemy je w osobnym garnku, aż staną się miękkie, dodając liście laurowe, ziele angielskie, pieprz i sól. Mięso odcedzamy, ale nie wylewamy powstałej zawiesiny.

Po ugotowaniu zdejmujemy skórę z boczku i golonki, kroimy je w kawałki i mieszamy z połową posiekanej główki czosnku. Na patelni (najlepiej na gęsim sadle) podsmażamy kawałki golonki, boczku, dodajemy pociętą w plasterki lub w kostkę białą kiełbasę i dwa kacze uda.

W tym czasie mieszamy fasolę z marchewką pokrojoną w plastry, siekaną łodygą selera naciowego, jedną cebulą w plasterkach i dwoma posiekanymi pomidorami obranymi ze skórki. Doprawiamy tymiankiem, rozmarynem, pieprzem i solą.

Układamy w naczyniu glinianym lub żaroodpornym warstwami, kolejno: fasolę z warzywami i przesmażone mięso. Zalewamy wywarem z gotowania golonki i boczku. Pieczemy pod przykryciem przez dwie godziny. Na koniec posypujemy tartą bułką i dopiekamy, aż wierzch stanie się rumiany. Podajemy z czerwonym wytrawnym winem.

eprasa.pl be20e2503b

WYBUCHOWY PIEKARNIK MONIKI GOŹDZIALSKIEJ

Moje pierwsze kroki z gotowaniem zakończyły się wybuchem piekarnika. Miałam wtedy 14 lat i zaczynałam się malować. W domu mieliśmy stary piekarnik z szufladą na dole, w której zwykle trzymaliśmy bułkę tartą. Moja mama zaczęła tam jednak chować przede mną kosmetyki i dezodoranty, bo bała się, że wszystko jej wymaluję i wypryskam. Ja natomiast chciałam zrobić mamie niespodziankę i upiec ciasto. Kupiłam produkty, wszystko przygotowałam i wstawiłam do piekarnika, który rozgrzał też dezodoranty w szufladzie. Skończyło się ich wybuchem, ale strucel truskawkowy smakował super, choć pachniał dezodorantem.

Przełomem w mojej przygodzie z gotowaniem był udział w programie „MasterChef", który pozwolił mi wyjść z własnej kuchni i gotowania dla rodziny do szerokiej publiczności. Zawsze, również w innych prowadzonych przeze mnie programach kulinarnych, starałam się pokazywać przepisy na proste dania, które mogą zrobić również ludzie mniej zamożni lub niemający czasu na gotowanie. Jeden z takich przepisów prezentuję dziś.

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Jajka na tostach z sosem blue cheese

Składniki:

• 100 g świeżego szpinaku w liściach • 50 ml śmietanki 36 proc. • ser pleśniowy (blue) • 4 jajka • 4 kromki chleba tostowego • 4 grube plastry szynki • ząbek czosnku • oliwa z oliwek • sól, pieprz

Przygotowanie:

Śmietankę wymieszać z serem, gotować 5 min (nadal mieszając), aby powstał sos. Szpinak poddusić z łyżką oliwy z oliwek i roztartym ząbkiem czosnku przez 5 min, dodać sól i pieprz. Szynkę podsmażyć z obu stron. Pieczywo podgrzać w piekarniku lub tosterze. Usmażyć jajka sadzone, tak aby żółtko pozostało półpłynne (doprawić solą i pieprzem). Na tostach układać plaster szynki, łyżkę szpinaku, łyżkę sosu, a na koniec usmażone jajko. Wierzch ponownie polać sosem serowym. ©℗

oprac. raw

Monika Goździalska prowadzi „Kulinarny zawrót głowy" w „Dzień dobry, Polsko" w TVP1.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

50 lat mikrofalówki

W środku zimne, na zewnątrz gorące. Na zewnątrz gorące, w środku całkiem zimne. Sflaczałe, niedorobione. Tak wygląda danie z mikrofalówki.

Mikrofalówka – urządzenie, którego jedni się boją, a które inni potępiają, którego większość używa – skończy w tym roku 50 lat. Samotnicy odgrzeją w nim zamrożonego gotowca kupionego po drodze z pracy, matka rodziny z wdzięcznością zostawi resztkę z obiadu wracającemu z treningu nastolatkowi.

Jak wiele innych elektrosprzętów kuchenka mikrofalowa urodziła się jako produkt uboczny technologii wojskowych. Jej wynalazca, Amerykanin Percy Spencer, przed II wojną światową pracował nad zjawiskiem mikrofal w zakładach Raytheon, tych samych, które dziś produkują system obrony rakietowej Patriot. Ten uzdolniony samouk, chociaż edukację zakończył na szkole podstawowej, w zakładach produkujących radary i lasery doszedł do wysokiego stanowiska.

Któregoś dnia zauważył, że wiązka promieni wypuszczanych z magnetronu rozpuściła batonik, który miał akurat w kieszeni. Postanowił kontynuować próby podgrzewania jedzenia. Puszczał mikrofale na ziarna kukurydzy, co pozwoliło mu dojść do popcornu. Raz chciał sprawdzić, jak zachowa się jajko, które zamknął w czajniku z wywierconą dziurą na promieniowanie mikrofal. Naświetlane jajko eksplodowało i wystrzeliło w jednego z naukowców.

Pierwsza kuchnia mikrofalowa Raytheonu była metalową skrzynią wysokości sporej szafy i ważyła 375 kg, ale i tak magnetron nie zmieścił się w środku, więc stał osobno. Pod koniec lat 60. na rynku amerykańskim pojawiła się pierwsza kuchenka przystosowana do użytku domowego. Miała wielkość telewizora Rubin i kosztowała (w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze) prawie 4 tys. dol. Chociaż obiecywała cudownie skrócone gotowanie, to amatorów nie znalazło się wielu. W latach 80. na rynek wkroczyły Japonia oraz Korea i mikrofalówki zmniejszyły się do rozmiaru dzisiejszych. Grube książki z przepisami dań, które do nich dołączano, miały przekonać, że jest to największy sprzymierzeniec pracującej kobiety. Jednak im kuchenki były tańsze, mniejsze i nowocześniejsze, tym bardziej rosła nieufność do nich. Stawało się oczywiste, że mikrofalówka służy raczej do podgrzania jedzenia i rozmrażania niż jako pełnoprawna kuchnia. Dzisiaj jest najwyżej sprzętem pomocniczym w domu; w gastronomii stała się synonimem taniego i podłego żarcia, w restauracji jest prawie obelgą. ©℗

eprasa.pl be20e2503b

NASZ TEST: MINI JOHN COOPER WORKS

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4), JACEK PRZYBYLSKI

Niewielkie, niepraktyczne, ale drapieżne i dające dużo frajdy z jazdy. Mini John Cooper Works (JCW) to samochód dla singla zawadiaki. Pełna krągłości karoseria stylizowana na retro nie kojarzy się może z prawdziwie męskim wyglądem, ale modne, drogie auto z charakterem i tak co rusz przyciąga uwodzicielskie spojrzenia kobiet.

W KABINIE

Wnętrze to oryginalna mieszanka ekstrawagancji z minimalizmem. Po wejściu do środka w oczy rzuca się duży ekran z ogromnym podświetlanym pierścieniem wokół wyświetlacza, którego kolor zmienia się np. w zależności od tego, na jak wysokie obroty wprowadzimy silnik lub jak głośno słuchamy radia. Miłośnicy klasyki docenią z kolei okrągły prędkościomierz, a także trzy oryginalne wskaźniki zamontowane na desce rozdzielczej (stoper, wskaźnik ciśnienia oleju oraz ciśnienia doładowania).

Trzydrzwiowe mini teoretycznie może zabrać na pokład aż pięć osób, ale w praktyce to auto dla dwóch dorosłych ludzi i maksymalnie trzech krasnali. Miejsca na tylnej kanapie brakuje bowiem zarówno na nogi, jak i nad głową.

Swą wielkością nie zachwyca również kufer. Zaledwie 211 l pojemności pozwala wrzucić do bagażnika jedną walizkę, dwa plecaki lub kilka reklamówek z codziennymi zakupami.

JAZDA

231 koni mechanicznych generowanych przez dwulitrowy silnik rozpędza Mini JWC do pierwszej setki w ciągu 6,1 s. Zarówno w mieście, jak i na trasie błyskawicznie osiągamy maksymalną dozwoloną prędkość (poza granicami Polski maksymalnie tym modelem możemy rozpędzić się do niemal 250 km/godz.). Widok czerwonego światła na skrzyżowaniu wywołuje więc miłą myśl o tym, że znów będzie można zostawić w tyle większość pozostałych kierowców.

Najbardziej ekscytujące w przypadku tego auta są jednak nie tyle maksymalna prędkość i przyspieszenie, ile wrażenia z jazdy, które przypominają zabawę za kierownicą zadziornego gokarta. Auto niezwykle żwawo reaguje na wciśnięcie pedału gazu. Aby dodać jeszcze więcej emocji, do uszu kierowcy docierają nie tylko basowe pomruki silnika, lecz także dźwięki sportowych „wystrzałów" wydobywające się z układu wydechowego.

Układ kierowniczy jest niezwykle precyzyjny. Na suchej nawierzchni auto zachowuje się tak, jakby było przyklejone do asfaltu. Wszelkie manewry – od wyprzedzania do zwykłej zmiany pasa w mieście – dają więc sporo radości. Bardzo dobrze sprawdzają się też wydajne hamulce. Dość sztywne zawieszenie zostało zestrojone tak, by uniknąć przechyłów podczas dynamicznej jazdy po zakrętach. Nie ma więc co liczyć na komfortowe niwelowanie większych nierówności. Zjazd na polne drogi lub dłuższa wycieczka na dziurawe łódzkie ulice będą więc mało przyjemne.

Podczas testu Mini JCW paliło średnio 10,8 l/100 km. Oczywiście gdyby zamiast na zabawę postawić na oszczędność i przełączyć się z trybu sport na ekologiczny, dałoby się osiągnąć wynik na poziomie 7–8 l/100 km. Pytanie jednak: Po co ktoś miałby oszczędzać, skoro stać go na tego typu auto?

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Mini Cooper zdobył cztery gwiazdki na pięć. Auto jest też wyposażone w liczne czujniki, które ostrzegają kierowcę przed różnymi zagrożeniami. Opcjonalnie mini można też wyposażyć w system dynamicznej kontroli trakcji, który ułatwia bezpieczne pokonywanie zakrętów.

CENA

Tak jak w przypadku większości zabawek dla dużych chłopców Mini John Cooper Works do tanich nie należy. Za wersję z manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić co najmniej 135,9 tys. zł. Wersja z automatem kosztuje minimum 144 tys. zł. A to oczywiście dopiero początek, bo po dobraniu różnych dodatków wartość na fakturze szybko może wzrosnąć o kolejne kilkadziesiąt tysięcy.

KONKURENCI

Audi S1, Ford Fiesta ST, Honda Civic Type-R, Mercedes A45 AMG, Peugeot 208 GTi, VW Golf GTI Performance ©℗

JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl be20e2503b

SUPER HISTORIA.pl

NAJMŁODSZY PORTAL HISTORYCZNY W POLSCE

1863

1918

1989

1989

1939

1683

1791

ARTYKUŁY I KOMENTARZE NAJLEPSZYCH PUBLICYSTÓW HISTORYCZNYCH O NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZENIACH Z HISTORII POLSKI I ŚWIATA. RECENZJE I FRAGMENTY KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH.

PARTNERZY SERWISU:

PGNiG

FUNDACJA PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl be20e2503b

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Szczyty i doliny globalizacji

MARCIN MAKOWSKI: Emmanuel Macron wygrał wybory prezydenckie we Francji, podczas gdy Marine Le Pen zdobyła tylko 34 proc. głosów. Europa uratowana?

MATTHEW TYRMAND: Uratowana? Przed czym? Jeśli pytasz o przechył na prawo i w kierunku populizmu, nadal twierdzę, że wybór Trumpa i Brexit to wydarzenia, które zachwiały trwającym dekady trendem wszechobecnej globalizacji. Oczywiście, że po drodze będą się pojawiać odstępstwa. Na rynku giełdowym mówi się, że tzw. szczyty i doliny na wykresie to procesy, a nie punkty. Odosobniony incydent byłby do zbagatelizowania, ale jeśli spojrzy się bliżej, to okaże się, że od Austrii do Włoch – wszędzie – coraz większą popularnością cieszą się partie stawiające na suwerenność narodową bądź skrajnie populistyczne. Właśnie to jest proces, o którym mówię. Nie odwraca go to, że Francja urządziła sobie przedwczesne referendum unijne i wybrała kandydata bardziej „europejskiego". W końcu Unia to projekt, który narodził się na tutejszych uniwersytetach.

Mam wrażenie, że mówisz tak, bo wynik – dobrze przewidziany przez analityków – nie pasuje do twojej tezy o populistycznej rewolucji.

Tym razem analitycy mieli rację, ale ja też twierdziłem, że co prawda z mniejszą przewagą, ale wygra Macron. Dlaczego? Bo Francuzi to mimo wszystko dosyć przewidywalne pod względem ideowym społeczeństwo, które bardzo opornie przyswaja sobie rzeczywistość. Gdy od dawna znane były zbrodnie stalinizmu, francuscy filozofowie i akademicy nadal uważali, że komunizm to humanitarna alternatywa dla demokracji.

Donald Tusk napisał po ogłoszeniu wyników, że „Wolność, równość i braterstwo wygrały z tyranią fake newsów". Wielu dziennikarzy odetchnęło z ulgą...

Raz jeszcze powtarzam, raptem dwa lata temu nikt nie stawiał na partie antyestablishmentowe, dzisiaj kraj po kraju zwiększają one swój stan posiadania. Przy kolejnych wyborach zarówno do europarlamentu, jak i parlamentów narodowych będą nie tyle języczkiem u wagi, ile głównymi konkurentami do przejęcia władzy. Kiedy byłem na szczycie NATO w Warszawie, Federica Mogherini stwierdziła, że eurosceptycyzm narasta, ponieważ ludzie nie są wystarczająco wyedukowani w zakresie korzyści, jakie przynosi im Unia. Moim zdaniem, jeśli coś jest dla ciebie dobre, to nie musisz słuchać wykładu na ten temat, tylko czujesz to instynktownie. Owszem, Unia jest dobra, ale właśnie dla tego typu biurokratów czy dyletantów politycznych w stylu Emmanuela Macrona.

A jednak to on jest prezydentem Francji. Kiedy lud wybiera Brexit, manifestuje swoją wolę, a gdy centrystów i liberałów, jest ogłupiały?

Tego nie powiedziałem, w końcu ludzie głosowali na Clintona i Obamę, wierzą w głębszą integrację. W niektórych krajach nawet połowa społeczeństwa reprezentuje poglądy centrowo-liberalne i racjonalnie myśląca prawica powinna to przyjąć do wiadomości oraz zastanowić się, co zrobić, aby ich przekonać do swoich racji.

Francja urządziła sobie przedwczesne referendum unijne

Le Pen przegrała właśnie dlatego, że nie posiadała tej zdolności. To i tak zaskakujące, jak daleko zaszła, zważywszy na błędy, które popełniała w trakcie kampanii i piętno „niewybieralności", które odziedziczyła po ojcu. Mimo wszystko jedna trzecia społeczeństwa postanowiła jej zaufać, a gdyby zamiast niej wystartował mniejszy radykał, miałby spore szanse na zwycięstwo. Cóż, ostatecznie wygrał francuski Jared Kushner, ale na koniec warto pamiętać o jednym. W czerwcu we Francji odbywają się wybory do Zgromadzenia Narodowego, w których Front Narodowy pod zmienioną nazwą ma szanse na dobry wynik. Jeśli En Marche! Macrona nie wygra, to nie będzie on mógł również wybrać premiera i skorzystać z wielu prezydenckich uprawnień. Wtedy się okaże, na ile samym wizerunkiem da się uprawiać politykę w kraju, którego problemy będą z czasem tylko narastać. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

eprasa.pl be20e2503b

Polska na Dzień Dobry
7:00 - 9:00

Flesz informacyjny

7:20 Kalendarz Historyczny

Flesz informacyjny

7:35 Prosto w oczy - rozmowa polityczna

Flesz informacyjny

7:50 Chłodnym Okiem - Ziemkiewicz, Terlikowski, Nisztor, Stankowski

Flesz informacyjny

8:20 Kultura

Flesz informacyjny

8:35 Ekonomia

Flesz informacyjny

8:50 Chłodnym Okiem II

republika

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line ▶ www.telewizjarepublika.pl

OKIEM BLOGERKI

Stara baba i może

KATARYNA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: *Mężczyzna, który ma drugą mamę zamiast partnerki, raczej nie ma kwalifikacji na męża stanu, tylko na maminsynka stanu.*

Prezydent Francji jest młodszy od swojej żony o tyle samo lat, o ile od swojej jest starszy prezydent Stanów Zjednoczonych, a jednak temu drugiemu nikt nie odmawia politycznych kompetencji tylko z uwagi na wiek wybranki. Chociaż idąc tym tokiem rozumowania, mężczyzna, który zamiast partnerki ma drugą córkę, również nie nadaje się na męża stanu. A co dopiero mówić o mężczyźnie, który ani drugiej mamy, ani drugiej córki nie ma, tylko partia… Ocenianie polityka przez pryzmat wieku jego wybranki jest ryzykowne, zwłaszcza w kraju, gdzie prezydentem o mało co nie został kawaler. Bezdzietny, a doświadczenie bycia ojcem to podobno ważne kryterium w ocenie politycznych kwalifikacji. Tak w każdym razie twierdził Piotr Kraśko w niedawnym wywiadzie dla jednej z gazet obraźliwie dla mnie nazywanych „kobiecymi".

Nie rozumiem, skąd potrzeba rozliczania polityków z wieku żon i liczby dzieci, gdy jest mnóstwo dowodów na to, że ani jedno, ani drugie o niczym nie świadczą

PIOTR KRAŚKO: *Dla mężczyzny doświadczenie bycia ojcem jest bezcenne. I jeśli potraktuje to pani jako aluzję polityczną, to proszę, ale jest coś bardzo ryzykownego w tym, gdy ktoś, kto nie przeżył, jako ojciec, swoich porażek i radości, bierze odpowiedzialność za los milionów ludzi.*

Prezydent Francji, premier Szwecji, premier Holandii, szef Komisji Europejskiej – żaden z nich nie ma „doświadczenia bycia ojcem", ale – jak widać – nie wiedzą, że to ich pozbawia kwalifikacji do rządzenia. Dzieci nie mają też kanclerz Niemiec ani premier Wielkiej Brytanii, wzięcie przez nich odpowiedzialności za los milionów ludzi należy więc uznać za bardzo ryzykowne. Na miejscu Kraśki ostrożniej używałabym tego rodzaju argumentów, nie tylko dlatego, że można się strasznie wygłupić, lecz także dlatego, że ktoś mógłby zacząć rozważać kompetencje człowieka, który zerwał kontakty ze swoim ojcem i z przyrodnią siostrą. To na pewno też o czymś świadczy.

Nie rozumiem, skąd potrzeba rozliczania polityków z wieku żon i liczby dzieci, gdy jest mnóstwo dowodów na to, że ani jedno, ani drugie o niczym nie świadczą. I, szczerze mówiąc, zdrowsze wydaje mi się małżeństwo Macronów niż Trumpów. A i tak nie z tego będziemy ich rozliczać, bo nawet gdybyśmy próbowali, to niewiele o nich wiemy i nic nam do tego.

Nowy prezydent Francji nie budzi mojego entuzjazmu, nawet jako „mniejsze zło", ale z rozliczaniem go z relacji z własną żoną poczekałabym aż na własnym podwórku rozliczymy wreszcie posła Zbonikowskiego i podobno konserwatywną partię, która go chce mieć u siebie. ©℗

PODSŁUCHANE

Zamęt

Janek, weź ty jakoś trzymaj rękę na pulsie!
Trzymam, Grzesiu, nie denerwuj się. O co ci chodzi właściwie?

No przecież widzę, co na Twitterze wypisujesz. Dopiero co napisałeś, że nie będziemy uchodźców przyjmować. Weź ty się, Janek, ogarnij, bo nam zacznie spadać! I tak już dość mamy problemów.
No, ale jak to? Przecież mam tu SMS-a od ciebie sprzed pięciu godzin: „Cześć, zmieniamy linię: żadnych uchodźców w Polsce".

Ale to było pięć godzin temu! Nowy przekaz dnia właśnie poszedł, ja badania dzisiejsze dostałem!
Czekaj, bo ja już nie nadążam. Przekaz poszedł teraz, wcześniej był SMS od ciebie, a wczoraj była wersja, że co? Chyba że przyjmujemy?

Oj, kogo to obchodzi, co wczoraj było. Na przykład wczoraj mówiłem, że damy każdemu pięćset plus, a dzisiaj mówię, że skasujemy całkiem.
Moment, bo ja chyba puściłem parę minut temu do mediów tę poprzednią wersję…

A wiesz… właściwie to nie szkodzi. Będzie zamęt, nikt się już nie połapie, o co nam chodzi, i super. Będziemy jak taka magma, jak żel, jak… no, nieważne. Ale wszystko wypełnimy, każdemu dobrze zrobimy!
Fajnie. Hasło takie mam nawet: „Platforma Obywatelska – mamy każdy pogląd". ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wspólne obsesje, wizja polityki i wspólne, paranoiczne niezrozumienie świata stanowią o tym, że dzisiaj to Kaczyński i Macierewicz są bliźniakami".

RADOSŁAW SIKORSKI *dla „Rzeczpospolitej"*

eprasa.pl be20e2503b

Kuroniówka 9%

fot. Jerzy Gumowski

Stołeczny Teatr Powszechny staje się główną sceniczną tubą priwiślińskiego Salonu, wyraźnie dystansując swych konkurentów prowincjonalnych (Kraków, Bydgoszcz, Wrocław itd.) pod każdym względem, czyli pod każdym b, jako rozsadnik bełkotu, bluźnierstwa, badziewia i bezwstydu fizjologicznego. Jest to charakterystyczne dla naszej salonowej pseudokultury małpowanie nihilistycznej zachodniej gamy scenicznych wyuzdań, notabene już dosyć starej, sprzed lat kilkunastu, że wymienię brukselską inscenizację **„Tannhäusera”** Wagnera, berlińskie (Komische Oper) przedstawienie **„Uprowadzenia z Seraju”** Mozarta, czy zurychską wersję spektaklu **„Attambi”** (były w tych prezentacjach gwałty, sadomasochizmy, orgie, wydalanie i sikanie, ucinanie brodawek sutkowych, masturbacje, womitacje i profanacje, wszelkie obrzydlistwa). Równocześnie z takim teatrem — sztuki plastyczne eksponowały swój analogiczny nihilizm, exemplum **„Szczynowy Chrystus”** Andresa Serrano, **„Marysia Jezus”** Greera Lanktona (Chrystus jako transwestyta), **„NMPanna”** ulepiona z ekskrementów (w nowojorskim Centrum Sztuki Współczesnej), itp. Macherów kierujących Teatrem Powszechnym również interesują chrześcijańskie świętości. Prawdziwe postanowili gnoić bez umiaru, wiercąc krucyfiksem w żeńskim kroczu (osławiony spektakl **„Klątwa”**), lipne zaś nadmuchiwać do rozmiarów tytanicznych, uwznioślając chamidłowate lewactwo. Cóż, uświęcać hucpiarsko można wszystko, nawet ludobójców, czego dowodem współczesna prawosławna ikonografia Ukrainy z noszącym aureolę Stepanem Banderą w otoczeniu aniołów i świętych. Nasz Salon równolegle beatyfikuje/kanonizuje Jacka Kuronia spektaklem Teatru Powszechnego **„Kuroń. Pasja według św. Jacka”** (tekst Małgorzaty Sikorskiej–Miszczuk). Trudno to nazwać inaczej jak cyrkiem pcheł, gdy się zna Kuroniowy żywot.

Zawsze był demokratą. Pierwsza demokracja, którą wspierał, zwała się *„demokracją ludową”* miast *„stalinowskim totalitaryzmem”*. Za młodu najchętniej czytywał dzieła Lenina (wyznał to pamiętnikarsko) i najaktywniej uprawiał propagandę (jako kierownik ZMP–owskiego Wydziału Propagandy), zwąc akowców *„bandytami”* i *„mordercami Żydów”*, Piłsudskiego *„faszystą”*, itp. Później partia powierzyła mu reformę harcerstwa. Stworzył więc *„walterowców”*, czyli *„czerwone harcerstwo”*, najbardziej upadlającą ze wszystkich młodzieżowych organizacji, jakie kiedykolwiek wykreowano w Polsce, istną komunistyczną Hitlerjugend. Zabronił dzieciakom śpiewania tradycyjnej **„Roty”** — jego *„czerwoni harcerze”* śpiewać musieli o chwale bolszewizmu. Ówczesny *„czerwony harcerz”*, Adam Michnik, wspomina: *„Bez sentymentu nie umiem myśleć o tej gromadce chłopców i dziewcząt, która latem 1958 roku w czerwonych chustach nawiedzała chłopskie zagrody, śpiewając piosenki po rosyjsku i po żydowsku”*. Michnik zapamiętał też, że wśród harcerzy Kuronia panował *„nastrój komsomolskich idealistów”*. Kuroń podsycał ów *„idealizm”*, zalecając (prelekcjami) ścisłą współpracę z bezpieką i agitując dzieci w szkołach, by donosiły na swych rodziców słuchających *„wrażych radiostacji”* lub też praktykujących *„szeptanki”* kontrreżimowe.

Ze schyłkiem lat 60–ych politruk Kuroń zmienił skórę zwyczajem gadów — choć dalej był zawziętym trockistą, przybrał szaty *„dysydenta wewnątrzpartyjnego”*. Ta droga zawiodła go do statusu szefa *„opozycji koncesjonowanej”*. Od r. 1980 jego żoliborskie mieszkanie stało się nie tylko centralą KOR–u, lecz i centralą telefoniczną — tam dzwonili wszyscy kontrreżimowcy i stamtąd dzwoniono po całej Polsce, tudzież do zagranicznych mediów, siejąc propagandę antypartyjną, a bezpieka jakoś nie umiała telefonu Jacka K. wyłączyć! Może dlatego, iż nawet nie próbowała. Sam jeżowłosy gensek ze Śląska, Edward Gierek, dziwił się potem (**„Przerwana dekada”**, 1990): *„ — Jakimś dziwnym trafem telefon Kuronia działał bez usterek, nie było żadnych awarii. Sądzę, że odpowiedni funkcjonariusze pilnowali, aby nic się w tej bezcennej aparaturze nie zepsuło”*. Strajki, *„stan wojenny”* i znowu strajki Kuroń przebrylował gwiazdorsko, co kryształowy opozycjonista, współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych, Krzysztof Wyszkowski, wspomni gorzko w 2003 roku: *„Wobec kuroniady długo mieliśmy złudzenia, gdyż Kuroń potrafił ukrywać rzeczywiste motywy swoich działań. Nie wiedzieliśmy, że KOR to typowa leninowska jaczejka (...) Złudzenia straciłem późno, bo nie brałem wtedy pod uwagę trwałego porażenia złem, tkwiącego w człowieku przez zaangażowanie w leninizm”*.

∞

Mikołaj Biernacki (XIX w.):

„Będąc zerem w Warszawie
Można być geniuszem prawie.
Byle zręcznie blagą szumieć,
Ma się rozumieć”.

∞

Bojarowi Komitetu Obrony Robotników jakoś nigdy nie udało się zdobyć zaufania robotników. Ostatni raz proletariat przepędził go spod swych bram (w stołecznym Ursusie) A.D. 1994, pamiętano bowiem jego dawne „zasługi”, pacyfikujące „Solidarność”, jak i nowe, ministerialne (należał do gabinetów Mazowieckiego i Suchockiej). Ministrem był fatalnym, wcale zresztą nie dlatego, że zawsze był schlany jak świnia. Francuski ekonomista Guy Sorman po zetknięciu się z Kuroniem napisze: *„Wódka jest obecna już od rana w gabinecie ministra. On nie tyle pije, co wręcz tonie wewnątrz szklanki. Dziwny, wrzeszczący, fioletowy, przekrzykuje i nie słucha pytań. Czy runie przy mnie na podłogę? (...) W jakim innym kraju taki Kuroń byłby ministrem?”*. Chciał być też prezydentem. Wystawiła go jako kandydata Unia Wolności w 1995 roku. Zainkasował 9% głosów, co było kompromitacją. Kompromitacjami okazały się również jego rozmaite książkowe wspomnienia, pełne — jak słusznie zdiagnozował Krzysztof Masłoń — *„zafałszowań, przemilczeń i prymitywnych sądów”*. Jednej z nich (**„PRL dla początkujących”**) **„Rzeczpospolita”** dała notę: *„Ręce opadają!”*; inną (**„Spoko!, czyli kwadratura koła”**) krakowska **„Arka”** nominowała do Nagrody Intelektualnego Knota Roku; jeszcze inna (**„Moja zupa”**) zyskała powszechne przezwiska: **„Moja dupa”** i **„Moja kupa”**.

Dzięki wyprzedażowej inwencji żony generała Kiszczaka zdołałem nabyć od pewnego antykwariusza egzemplarz książki Kuronia **„Wiara i wina”** zadedykowany ręcznie (długopisem) szefowi bezpieki: *„Panie Czesławie, może ta dedykacja Pana skompromituje w pewnych kręgach (mnie w innych), ale pragnę oświadczyć, że jestem pełen podziwu dla Pana osobiście i roli jaką Pan odegrał w naszej «pokojowej rewolucji». Jacek Kuroń, 11 czerwca 1990”*. Zastępcę Kiszczaka w MSW, płk. Andrzeja Gdulę, uczynił swą ministerialną *„prawą ręką”*, stąd śp. **„Express Wieczorny”** artykułem **„Esbek u Kuronia”** (1993) sugerował, iż *„Kuroń ma wobec Gduli dług wdzięczności z dawnych czasów”*. Miał również duży dług wobec partii — zapytany przed śmiercią przez przyjaciela: *„ — Czy wyleczyłeś się wreszcie z komunizmu?”*, odparł: *„ — Jestem i pozostanę marksistą!”*.

Był i pozostał łachudrą grającą świątka. Umiał pajacować wybornie. Prof. Adam Sarapata: *„Jacek Kuroń posiada wielki kunszt aktorski, wie dobrze jak grać, jak zręcznie blagować, tumanić społeczeństwo”* (1995). Obecnie Powszechny tumani swą naiwną widownię blagą o *„świętym Jacku”*. Wiedzą dobrze jak to grać — salonowi farmazoni we krwi mają mamienie gawiedzi dętą blagą, czyli hucpą. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl be20e2503b

JESTEŚMY STĄD. TO NASZ KRAJ.
NASZA HISTORIA I TRADYCJA.
NASZE BARWY.

Staropolanka wspólnie z RED IS BAD wprowadza limitowaną edycję wody z etykietą inspirowaną biało-czerwonymi barwami.

Staropolanka to najwyższej jakości polska woda mineralna, wydobywana z orzeźwiających źródeł polanickich od ponad 100 lat.

RED IS BAD to marka odzieżowa silnie inspirująca się polską historią, która całą produkcję realizuje w naszym kraju.

Obie marki szczycą się w pełni polskim kapitałem.

www.redisbad.pl www.staropolanka.pl

Staropolanka

EDYCJA LIMITOWANA

RED IS BAD™

eprasa.pl be20e2503b